

O, choinka!

Czyli jak przetrwać święta

O, choinka!

Czyli jak przetrwać święta

Alfabetyczny spis autorów:

1. Ewa Bauer
2. Karolina Dyja
3. Witold Klapper
4. Anna Klejzerowicz
5. Monika Knapczyk
6. Antonina Kostrzewa
7. Rafał Kuleta
8. Krzysztof Maciejewski
9. Magdalena Mikoś
10. Magdalena Witkiewicz
11. Katarzyna T. Nowak
12. Anna Pasikowska
13. Kornelia Romanowska
14. Anna Rybkowska
15. Michał Stonawski
16. Marek Ścieszek
17. Agnieszka Turzyniecka
18. Karolina Wilczyńska

Redaktor wydania: Agnieszka Turzyniecka

Ilustracje: Piotr Olszówka

Projekt okładki: <http://www.babental.com/>

Skład komputerowy: wojPRA

Prawa autorskie poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-272-3391-2

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

Spis treści

Agnieszka Turzyniecka Drogi Czytelniku

Krzysztof Maciejewski Wigilijny K.

Anna Klejzerowicz Bielszy niż śnieg

Karolina Dyja Taki czas

Magdalena Mikoś, Witold Klapper O, choinka! (czyli przypadki Romana G.)

Ewa Bauer Cud narodzin

Krzysztof Maciejewski Jingle Bells

Agnieszka Turzyniecka Złodziej świąt

Magdalena Witkiewicz Wszystko będzie dobrze

Anna Rybkowska Elfy są na świecie

Karolina Wilczyńska Ale on o mnie pamięta...

Michał Stonawski Najcenniejszy prezent

Katarzyna T. Nowak Nie zabieraj nam Stefana

Rafał Kuleta Iglaste tęcze we mgle z kwiecistych płatków śniegu

Marek Ścieszek Dokąd idziesz, dziewczuszko?

Anna Pasikowska Serce w pasterce

Katarzyna T. Nowak Wujek

Kornelia Romanowska Gwiazdne życzenie

Antonina Kostrzewa Opowieść wigilijna, czyli Święta nie istnieją

Ewa Bauer Polowanie

Marek Ścieszek Dziecko

Monika Knapczyk Niebieskie oczy

Karolina Dyja Różnice kulturowe

Drogi Czytelniku To już druga inicjatywa pisarzy zrzeszonych w grupie Twórca. Tym razem osiemnastu znających się w większości jedynie przez Internet autorów postanowiło z okazji zbliżającego się Bożego Narodzenia przedstawić nam swoje wizje tego święta. Raz śmiesznie, raz strasznie, a raz melancholijnie ukazują nam różne oblicza Gwiazdki.

Dlaczego e-book, a nie drukowana książka? Bo chcemy promować rynek polskiej literatury elektronicznej, który dopiero się rozwija. Wiele razy dyskutowaliśmy o jej teraźniejszości i przyszłości. Ale jak wiadomo, samym dyskutowaniem jeszcze nikt niczego nie stworzył, więc postanowiliśmy na słowach nie poprzestać i przekuć je w eprezent, który właśnie ofiarowujemy Ci pod choinkę – *O, choinkę!*

Wesołych Świąt!
Agnieszka Turzyniecka,

redaktor wydania

PATRONAT

SECRETUM.PL
czytelnisko.pl



czytio.pl
zapewniamy komfort czytania

Art-Portalen.eu

SZORTAL
DROGOMU WOC LIRYKA W SZORTACH

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

dużeka.pl
portal
very bardzo
kulturalny



Krzysztof Maciejewski

Wigilijny K.

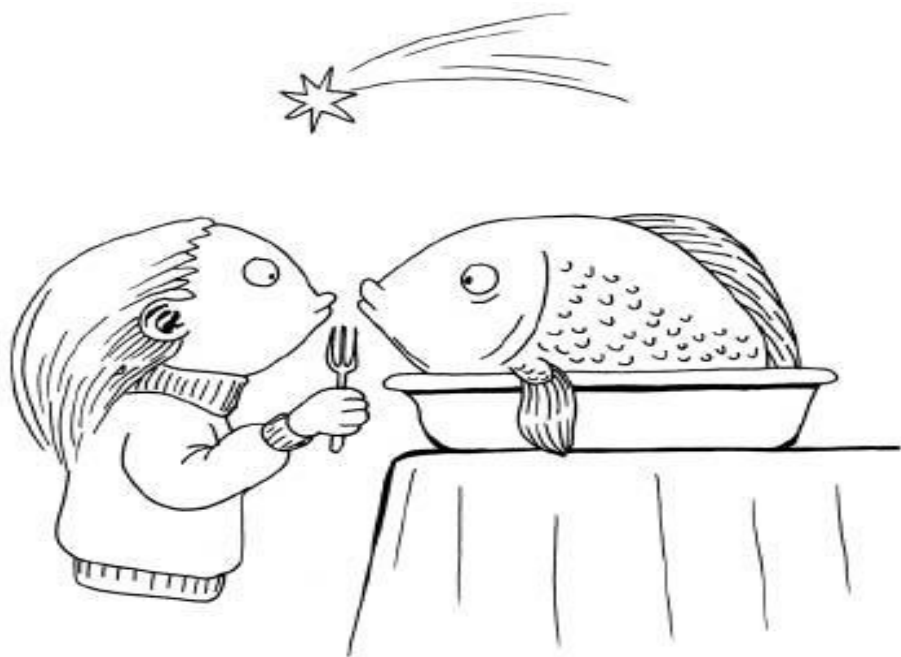
Ale mieliśmy w tym roku święta, mówię ci, istna padaka! Starsi, jak zwykle, zostawili wszystko na ostatnią chwilę, matka nie wyrabiała się z przygotowaniem potraw, ojciec zapomniał kupić choinkę, więc biegał jak pies z wywieszonym ozorem. Mówię ci – pandemonium! Na szczęście, ja miałem spokój, byli zbyt zajęci, by przejmować się dydaktyką i wychowaniem latorośli swych nader licznych. Oczywiście, do czasu... Bo w pewnej chwili ojciec nieprzytomnym wzrokiem wyłowił moją skromną osobę z cienia, w którym wiodłem przykładowy żywot małego obiboka, wyrwał w moim kierunku co sił, wycedził jakieś przekleństwo, którego nie przytoczę, bo jestem zbyt młody i wykrzyknął w kierunku mamy:

– Stara! Zapomniałem go ubić!

Lekko przerażony próbowałem znów skryć się przed jego wzrokiem, lecz było za późno, ale na szczęście, nie o mnie mu chodziło. Uświadomiłem to sobie, gdy potruchtał z tasakiem w kierunku łazienki. No, oczywiście... Ja też zapomniałem, że w naszej wannie od wielu dni pływał ten na „K”, co to nigdy nie mogę sobie przypomnieć jego pełnej nazwy. Nauczycielka mówiła nam w szkole, pamiętasz na pewno, że po kolejnej reformie szkolnictwa, nie powinniśmy już obciążać swoich młodocianych umysłów niepotrzebnymi informacjami. Nazywała to nawet jakimś terminem, którego zgodnie z jej wskazówkami nie zapamiętałem.

Ale do rzeczy, opowiadałem przecież o świętach... Rodzice kiedyś tłumaczyli mi, że to taka wigilijna tradycja, że podaje się zwykle tego na „K” w galarecie, że Wigilia bez „K” nie jest prawdziwą Wigilią. Co prawda, babcia kiedyś wspominała, że to stosunkowo nowy obyczaj, bo doskonale pamięta czasy, kiedy tych na „K” nie było, przynajmniej w Polsce. Co do mnie, to w ogóle by ich mogło nie być, stykam się z nimi sporadycznie, świątecznie, odświętnie... I prawdę mówiąc, nie przepadam za ich smakiem, chociaż zgodnie z obyczajem, co roku zjadam kawałek.

No więc, ojciec popędził z tasakiem do wanny, w której ta istota się pluskała, po chwili usłyszałem jej przerażający skowyt, co było rzecz jasna, złudzeniem, bo te na „K” nie mają głosu. Babcia o tym także kiedyś coś wspomniała, ale nie pamiętam, o co dokładnie chodziło. Acha, za to teraz przypomniałem sobie, że nauczycielka mówiła o redundancji informacyjnej, ja to dopiero mam łeb! W każdym razie, mama zdążyła na czas z przygotowaniami, jaka z niej wspaniała gospodyni i kucharka!



Więc usiedliśmy w końcu przy świątecznym stole, sianko pod obrusem, pierwsza gwiazdka na niebie, kolędowanie na ekranie, no mówię ci! Siedzieliśmy w ciszy spokojnie przetykając zakalcowate ciasto opłatków, patrzyliśmy po sobie i oczywiście podziwialiśmy wykwintne potrawy. Na honorowym miejscu był ten na „K” w galarecie, który przyciągał spojrzenia całej rodziny. Wszyscy zerkali co chwilę na potrawę, a potem na mnie. Cóż, podobieństwo było uderzające. Te same włosy, te same oczy (w przypadku tego na „K” zastygłe w galaretowatym bezruchu), ta sama budowa ciała. Nic dziwnego, że mój widok przypominał ojcu o tym stworzeniu w naszej wannie. Tato pochylił się nad wielkim półmiskiem z nożem do mięsa i jako głowa rodziny odkroił sobie, jak łatwo się domyślasz, głowę. Mama wybrała pierś, moim siostrom przypadły w udziale udka i podudzia,

a bracia rzucili się, by czym prędzej złapać rączki. Dla mnie zostały stopy. Ale zjadłem je jakoś bez przyjemności... Nie przepadam za tym daniem... Ach, ja to dopiero mam łeb! Przypomniałem sobie – chodziło o tradycyjnego, wigilijnego klona w galarecie. Jednak tradycja to ważna rzecz, mówię ci...



Krzysztof Maciejewski

Krzysztof Maciejewski (ur. 1971 r.) – dziennikarz, recenzent, pisarz, którego ulubionymi zajęciami są czytanie i pisanie (miły zbieg okoliczności). Ojciec bliźniąt i osobista ładowarka elektrostatyczna dwóch kotów. Posiadacz niezliczonych regałów z książkami. Ponad wszystko nie cierpi obłudy.

Publikował w wielu gazetach i czasopismach. Wyróżniony w konkursie Gildii Horroru za krótkie opowiadanie grozy. Opublikował zbiór opowiadań *Osiem* w Wydawnictwie Forma. Jego opowiadania znalazły się także w antologiach: *City 1. Antologia polskich opowiadań grozy*, *City 2. Antologia polskich opowiadań grozy*, *Bizarro dla początkujących*, *Śmierć w okopach*, 2011. *Antologia współczesnych polskich opowiadań* oraz *31.10. Halloween po polsku*.

Blog autorski:

<http://krzysztofmaciejewski.blogspot.com/>

Anna Klejzerowicz

Bielszy niż śnieg

Śnieg sypał i sypał całą noc, aż całkiem zasypał mój ogród. Gdy rano wyjrzałam przez małe, niskie okienko, zobaczyłam tylko białą puchową pierzynę, przykrywającą wszystko, niemal po czubki młodych świerczków, posadzonych wzdłuż ogrodzenia.

Sypać przestało, ale cała ta zimna biel przyprawiła mnie o dreszcze. Szybko dorzuciłam do kominka, choć nie tylko chłód był przyczyną. Zbierało mi się na płacz. Poczułam się jeszcze bardziej samotna i zagubiona w tym nowym dla siebie i niezbyt przyjaznym świecie...

Niedawno wróciłam do kraju po dziesięciu latach nieobecności, w dodatku po krachu dotychczasowego życia osobistego. Tam mi się wszystko rozsypało, tu nie zdołałam jeszcze niczego zbudować. Cud, że dostałam etat nauczyciela języka angielskiego w wiejskiej szkole gminnej, i że stać mnie było na kupno tego domku w pobliżu – wydałam na niego wszystkie pieniądze, które udało mi się przywieźć z emigracji.

Mieszkałam w nim zaledwie od sierpnia. Dom był mały i drewniany. Otaczał go za to spory ogród, składający się głównie z trawiastej polany i drzew. Latem był mi pocieszeniem, jesienią sycił wzrok swoimi barwami. Ale zimą... Zimą stał się całunem. Nie miałam już żadnej bliskiej rodziny ani przyjaciół. Nie miałam nawet znajomych. Sąsiedzi w wiosce ignorowali mnie, sama zresztą też nie starałam się o nowe znajomości. Wciąż czułam się tutaj obco; bezsilna i zagubiona jak liść rzucony

wiatrem w przypadkowe miejsce.

Tymczasem dziś przypadała wigilia. Pierwsza całkowicie samotna wigilia w moim życiu. Wczoraj wycięłam z ogrodu maciupenką choinkę i przystroiłam ją cukierkami i wata. Zapomniałam o kupieniu lampek. Zamiast nich poustawiałam wszędzie świece.

Z rozpędu – a może i na przekór wszystkiemu – ugotowałam czerwony barszcz z gotowymi uszkami i usmażyłam rybę. Na półmisek wysypałam lukrowane pierniki, kupione kilka dni temu w wiejskim sklepiu, jabłka i parę pomarańczy. Na więcej się nie siliłam, bo i po co. W radio leciały kolędy, a z moich oczu łzy, których nie potrafiłam dłużej powstrzymać.



Rycząc, nakryłam do stołu w pokoju kominkowym, gdzie ustawiłam też choinkę. Biały obrus, trochę sosnowych gałązek do wazonu... jedno nakrycie. Po chwili wahania dodałam jeszcze jedno – tradycyjnie, dla niespodziewanego gościa. Choć żadnego się przecież nie spodziewałam. Nagle usłyszałam z ogrodu stłumiony, lecz

przejmujący płacz. Jakby dziecko płakało. Podbiegłam do okna, by wyrzeć przez zaparowaną szybę. I zobaczyłam...ducha? Lecz jeśli był to duch, to koci. Kot-zjawisko. Całkiem biały, bielszy niż śnieg. Piękny. Kuśtykał i rozpaczliwie wzywał pomocy. Żaden duch, idiotko – mruknęłam sama do siebie z przyganą. Ostatnio coraz częściej zdarzało mi się rozmawiać ze sobą. Niedobrze. To po prostu kot! Coś mu się stało w łapę, bo kuleje. Trzeba pomóc, a nie wymyślać głupoty...

Narzuciłam kurtkę i wybiegłam przed dom. Kot spłoszył się i w pierwszej chwili usiłował schować się pod moim samochodem, jednak na wołanie przystanął. Wpatrywał się we mnie czujnie. Wciąż do niego przemawiając, zbliżyłam się powoli i pogłaskałam go za uchem. Zaczął cichutko mruzczeć. Nie usłyszałam tego, tylko poprzez gęste futerko poczułam delikatne wibracje. Poczułam też, jak szybko bije jego serce. Przednią łapkę miał mocno spuchniętą, drżał, a na śniegu zostawiał krwawe ślady. Głaskałam go tak długo, szepcząc do niego uspokajające słowa, aż pozwolił wziąć się na rękę. – Chodź, kotku – powiedziałam łagodnie – wejdziemy do środka, tam jest przynajmniej ciepło. Będziesz moim gościem. Zobaczymy, co z twoją łapką. Pewnie się komuś zgubiłeś, co?...

Zabrałam go do domu, obejrzałam łapę. W poduszeczce tkwił kolec, który wyciągnęłam. Łapka krwawiła, więc przemyłam ranek wodą utlenioną, a potem nasmarowałam specjalną maścią i zabezpieczyłam opatrunkiem. Kocur był widać mądry i domowy, bo pozwał mi na wszystko. Widocznie czuł, że chcę mu pomóc. A ja poczułam się mniej samotna. Miałam gościa!

– No popatrz, dobrze, że postawiłam ten dodatkowy

talerz dla wędrowca. Będzie w sam raz dla ciebie, bo i tak nie mam kociej miseczki.

Już po godzinie opuchlizna zaczęła pomału schodzić. Kot wypił spodeczek ciepłego mleka i zasnął błogo na moim fotelu, a ja zaczęłam przygotowywać się do kolacji wigilijnej. Trzeba było podgrzać zupę oraz rybę, zaparzyć herbatę...

A jednak dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Zwierzak nie wyglądał na bezdomnego czy porzuconego. Był czysty, zadbany, na szyi miał nowiutką, granatową obrózkę ze złotym dzwoneczkiem. Myślałam, że przy obroży znajdę identyfikator z adresem lub telefonem, ale tkwiło tam tylko metalowe kółko, zapewne po nim. Identyfikator musiał wypaść, bo kółeczko było rozchylone.

I co mam teraz zrobić?... Kot ledwo chodzi. Nie wypuszczę go na mróz. Może ktoś go szuka, rozpacza, a tymczasem ja nie mam pojęcia, jak dotrzeć do opiekuna. Cóż. Nie moja wina. Nie będę przecież w wieczór wigilijny latać po domach i wypytywać obcych ludzi, czy nie zgubili kota!...

Poza tym – no cóż, przyznaję – strasznie chciałam, by został ze mną. Widziałam, że jest smutny, osowiały, że pewnie tęskni do swoich... lecz... lecz ja też byłam, do cholery, smutna! A druga żywa istota w tym pustym domu dodawała mi siłę, wносиła ciepło i radość życia. Bardzo, bardzo pragnęłam go zatrzymać.

Dość długo ze sobą walczyłam, jednak w końcu sumienie nie pozwoliło mi na bezczynność. Przypomniałam sobie, że w pobliżu mojego domu, na małym placyku przy ulicy jest tablica ogłoszeń. Wywieszę anons.

Przynajmniej tyle mogę zrobić. I tak już

w międzyczasie zrobiło się ciemno. Może nikt nie znajdzie mojej kartki, może nie zdoła jej przeczytać o tej porze, w świąteczny wieczór?... Choć tam akurat pali się latarnia...

Odblaskowym flamastrem, dużymi, drukowanymi literami nabazgrałam kartkę, podałam numer komórki i uspokojona wróciłam do domu.

Na dworze było mroźno, cicho, pusto i biało. Tylko z okien i z ogrodów migotały światełka choinek. Niektóre domy, werandy, a nawet płoty, całe były nimi przystrojone. Zachwyciło mnie to. Znowu zaczęło lekko prószyć śniegiem, przez co kolorowe lampki zamieniły się w rozmyte, barwne, świetliste plamy. Zupełnie jak namalowane akwarelą. Aż zanuciłam sobie pod nosem kolędę. Poczułam się prawie szczęśliwa, szczególnie, że miałam teraz do kogo wracać. Ludzie już siedzą przy stołach. Czas i na nas.

– Na pewno nikt się dziś po niego nie zgłosi. Na pewno! – wmawiałam sobie z uporem, bo chciałam w to wierzyć.

Było nam razem naprawdę przyjemnie. Sama zjadłam barszcz z uszkami, on zjadł rybę. Potem włączyłam sobie telewizję – akurat nadawali jakąś starą komedię romantyczną – a kot mrucząc, zdrzemnął się na moich kolanach. Ogień trzaskał rażno w kominku, płonęły świece, zrobiło się ciepło, nastrojowo i przytulnie. Był już dość późny wieczór, kiedy rozdzwonił się mój telefon... – Halo? – odezwałam się niepewnie.

Jeszcze miałam nadzieję, że to pomyłka, – Dobry wieczór. Wesółych świąt. – Damski głos po drugiej stronie słuchawki także brzmiał jakby nieco niepewnie. – Podobno znalazła pani białego kotka?

– Tak – ciężko przełknęłam ślinę.

– To prawdopodobnie nasz kotek – kontynuowała kobieta. – Od rana go szukamy i przypadkiem sąsiad, wyprowadzając psa na spacer, zobaczył ogłoszenie. Czy on ma granatową obrożę?

– Ze złotym dzwoneczkiem. – Znowu zachciało mi się płakać. – A identyfikatora nie ma?... – Została tylko zawieszka. Pewnie zgubił gdzieś w krzakach.

– No tak, teraz rozumiem... Ale to z pewnością nasz Lolek! W okolicy jest jedynym białym kotem. Co za szczęście, że pani się nim zajęła, bardzo dziękujemy. Tak się cieszę... Czy nic mu nie jest?

– Ma chorą łapę – powiedziałam. – Ale to nic poważnego, opatrzyłam ją. – Dodałam szybko, speszona niechęcią w swoim własnym głosie.

– Jestem pani niezmiernie wdzięczna, naprawdę. Czy mogłaby pani podać adres? Przyślę po niego syna. I przepraszamy za kłopot.

– Żaden kłopot – odparłam z rezygnacją, głaszcząc śpiącego kota. – Przynajmniej dotrzymał mi towarzystwa...

Podalam numer domu, wyłączyłam komórkę i przelknęłam łzy. Cóż, trudno. To przecież w końcu nie mój kot. Spełniłam obowiązek i już. Dobrze, że wszystko skończyło się szczęśliwie. – Zaraz ktoś po ciebie przyjdzie – szepnęłam w białe futerko – ale nie zapomnij o mnie, dobrze? Zawsze możesz znowu do mnie przyjść...

Wycelowołam mokry nos i mocno przytuliłam mruczącą puchatą kulkę.

Nie minął nawet kwadrans, gdy usłyszałam skrzypnięcie furtki, a po chwili dzwonek u drzwi. Koniec świąt, pomyślałam z zalem idąc otworzyć. W progu stał uśmiechnięty, młody mężczyzna w rozpiętej puchowej kurtce i luźno narzuconym szaliku, bez czapki,

z wiklinowym transporterem w dłoni. Miał szczerą, sympatyczną twarz.

– Witam, dobrze trafiłem? – zapytał, a w tym samym momencie, na sam dźwięk jego głosu, kocur zerwał się z kanapy i z radosnym kocim okrzykiem, lekko utykając, lecz z wyprężonym ze szczęścia ogonem, wybiegł mężczyźnie naprzeciw, by czule otrzeć się o jego nogi.

– Lolek! – zawołał blondyn. – Gdzieś ty bywałeś, kocie! A myśmy wszędzie cię szukali, powsinogo...

– Opatrzyłam mu łapę. Jest nakarmiony i... i wszystko jest z nim w porządku – głos mi się załamał, nie umiałam nad tym zapanować.

– Nie narobił pani kłopotu?

– Wcale! Jest bardzo grzeczny. I kochany.

– Tak, to prawda – znowu uśmiechnął się do mnie promiennie.

– To wyjątkowe kocisko. Jeszcze raz dziękujemy za opiekę nad nim. To wielka radość spotkać porządnego człowieka. Pani jest tą nową nauczycielką?

– Owszem – odparłam zdziwiona, że ktoś mnie tu jednak kojarzy.

– Moja mama była nauczycielką w tej samej szkole. Uczyła polskiego. Kilka lat temu przeszła na emeryturę. Po śmierci ojca zamieszkaliśmy razem, bo z tej jej nauczycielskiej emerytury nie byłaby w stanie utrzymać domu. A to nasz dom rodzinny, za żadną cenę nie chcielibyśmy się go pozbywać... ale co ja tu plotę! Przekłęte gadulstwo. Chciałem tylko powiedzieć, że słyszeliśmy już o pani sporo od dzieciaków z sąsiedztwa, i to same dobre rzeczy.

Uśmiechnęłam się tylko, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– To co? – facet zapakował kota do koszyka. – Proszę założyć płaszcz i lecimy.

– Ja? Dokąd? To znaczy, przepraszam, ale...

– Nie ma ale! – roześmiał się. – Mama kazała mi nie wracać bez kota i bez pani. Zapraszamy do nas na spóźnioną kolację wigilijną. Jeszcze nie jedliśmy, bo szukaliśmy Lolka. Dopiero teraz możemy zacząć świętować.

– Ale... nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– Jakiego kłopotu? Sprawি nam pani przyjemność – zapewnił, podając mi płaszcz, który wisiał obok na wieszaku.

– No i jemu też – z uśmiechem wskazał podrygujący na podłodze kosz.

Nawet gdybym chciała, nie mogłam odmówić. Poczułam radosne podekscytowanie. Nie byłam już sama, obca i opuszczona. Znalazłam przyjaciół.

– Jestem Lucjan – dodał. – A tobie jak na imię?

– Julia...

– Pięknie! Gotowa?

– Zaczekaj, może ja wezmę coś... choć trochę pierników, owoce... nie mam żadnego prezentu! – tłumaczyłam się, zmieszana.

– Daj spokój. Nic nie trzeba – zaproponował. – Ty już zrobiłaś nam prezent. No, szkoda czasu, zakładaj buty, wysokie, bo śniegu napadało, i lecimy! Mama czeka z kolacją...

A tymczasem śnieg zaczął sypać na nowo, wielkimi, bezszelestnymi płatkami. Lecz mnie to już nie przerażało.

Anna Klejzerowicz



Pisarka, publicystka, fotograf, redaktor. Gdańszczanka. Autorka dwóch zbiorów opowiadań z cyklu: *Złodziej dusz. Opowieści niesamowite*; powieści kryminalnych: *Sąd Ostateczny*, *Ostatnią kartą jest Śmierć*, *Cień gejszy*; opowiadań w antologiach zbiorowych, a także licznych tekstów prasowych – beletrystycznych i publicystycznych. Przez wiele lat współpracowała także z teatrem Atelier im. Agnieszki Osieckiej w Sopocie jako fotograf i redaktor publikacji teatralnych.

Strona prywatna Anny Klejzerowicz:

www.annaklejzerowicz.pl

Karolina Dyja

Taki czas

Jakoś sobie radziła. Nauczyła się nie zwracać uwagi na śnieg, świąteczne ozdoby, bajkowe centrum miasta. Robiła jakieś drobne porządki, udawała, że jest dobrze. Uśmiechała się miło i życzyła wszystkim wesołych Świąt.

Dzisiaj siedziała w kuchni. Popijała trzecią kawę i paliła papierosa, starając się nie zwracać uwagi na wszechobecny bałagan. Z mieszkań sąsiadów dobiegały najróżniejsze odgłosy: ktoś piekł ciasto, ktoś mył okna, ktoś wybierał się po choinkę... To wszystko było dalekie i obojętne, bo jej nie dotyczyło. Zupełnie jakby ktoś wyrzucił ją z normalnego świata, skazując na nieustanne przyglądanie się garstce beztroskich szczęśliwców. Ludzie wokół niej wydawali się odlegli o całe lata świetlne. Jakby należeli do innego rodzaju.

Cóż. Są równi i równiejsi. Niektórzy mogą cieszyć się radosnym czasem, a niektórzy muszą milczeć, konsekwentnie udając ślepych i głuchych. Sprawiedliwość znajdziemy tylko w słowniku. Jeśli ktoś myśli, że jest inaczej, jest w błędzie. Życie szybko i bezlitośnie wytknie mu naiwność.

Czuła się gorsza. Ułomna. Zmęczona i zniechęcona. Jak co roku zresztą. Znowu nie gotowała, bo po co tracić czas na wymyślne potrawy tylko dla siebie. Kupiła dwa kawałki byle jakiego ciasta, bo przecież każde jest dobre. O prezentach nie pomyślała, bo nie miała komu ich dać. Nie ubrała nawet choinki – nie mogłaby patrzeć na nią bez łez w oczach.

Chodziła po pustym mieszkaniu, ścierała kurz z półek, przestawiała ukochane bibeloty i płakała. Z żalu, bo znowu czuła się samotna aż do obłędu. Tęskniła za prawdziwymi świętami. Tak zwyczajnie, po ludzku.

Kiedyś, dawno temu, też przeżywała Boże Narodzenie w szczególny sposób. Miała córkę bez końca wyśpiewującą kolędy, męża, który żartobliwie się z nią przekomarzał, wspólne strojenie choinki, prezenty chowane na szczycie szafy, zawieszane na drzewku cukierki...

Teraz nie było męża, dziecka, wspólnego świętowania. Rodzina się rozpadła, córka dorosła, a ona nie miała dla kogo piec, gotować i kupować prezentów. Na dobrą sprawę nie potrzebowała nawet opłatka. Z kim miałyby się nim podzielić? Ze swoim odbiciem lustrzanym?

Co roku roztrząsała to wszystko jeszcze raz. Może, gdyby się bardziej postarała, dbała o niego, zauważała, jaki był dobry i wyrozumiały... Może, gdyby doceniła i nie szukała nie wiadomo czego... Może, gdyby była mądrzejsza... Bolało. Zawsze bolało, bo nie miała na kogo rzucić chociaż części winy.

„Dość!”, pomyślała, poprawiając włosy przed lustrem, „Przestań, idiotko! Po prostu przestań myśleć!”.

Album ze zdjęciami sam znalazł się w jej ręku. Nie wiedziała, jak to się stało, że położyła go na wierzchu... Powoli zaczęła przeglądać zdjęcia. Okruchy szczęścia, wspomnienie czasu, kiedy wszystko było... Było jakieś. Nie piękne, to zbyt górnolotne, ale na pewno mniej skomplikowane.

Kiedyś powiedzieli sobie, że teraz, właśnie teraz wszystko się odradza. Bzdura, banał i komunał. A oni w to wierzyli...

Boże Narodzenie. Kilka dni wyróżnionych w kalendarzu i w sercu. Taki czas, że wszystko się odradza: ludzie sobie wybaczą, są dla siebie miłsi, znajdują chwilę na rozmowę i dzielą się swoją radością.

Oni też powinni świętować, cieszyć się, spędzać czas razem. Jak każda rodzina, tak normalnie. Tylko czy cokolwiek było tu jeszcze normalne?

Stała przy oknie, bezmyślnie przypatrując się wirującym na wietrze płatkom śniegu i rozkołysanym gałęziom drzew. Gorzko myślała, że nie tak miało być. Chciała, naprawdę chciała, żeby coś się zmieniło, poprawiło. Wiadomo, co brukują dobrymi chęciami.

Skończyło się jak zwykle: kłótnią o nic i trzaśnięciem drzwiami.

Nawet nie potrafiła zmierzyć się z tym, co wywołała. Uciekła przed nagłą pustką i pełnym pretensji spojrzeniem córki. Chodziła tam i z powrotem po pokoju, usiłując sobie wszystko poukładać. Co mu powiedzieć, kiedy już wróci?

Przez moment już chciała dać sobie z tym wszystkim spokój, skończyć to, po prostu odejść. A jednak coś ją tu ciągle trzymało. Cichy głos sumienia podpowiadał, że prawdziwa miłość nie oznacza wiecznej sielanki; czasem można ją znaleźć w nielubianej pościeli w paski, porannej kawie i tym nudnie dobrym mężu, który wszystko wybacza. Coraz częściej było jej żal tylu wspólnych lat. Może da się jeszcze cokolwiek uratować?

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Nie odwróciła się. Bała się spojrzenia tych przenikliwych oczu, które chodziło za nią wszędzie.

Nie zareagowała nawet wtedy, kiedy podszedł do niej i delikatnie objął. Poczowała nagłą złość, denerwował ją

ten czuły gest. Dlaczego zawsze musiał być taki kochany, dobry, wyrozumiały i... potwornie nudny?

„Nie mam normalnych, ludzkich uczuć”, pomyślała z goryczą. Złość przeszła tak szybko, jak się pojawiła. Nieoczekiwanie nawet dla samej siebie, przyłgnęła do niego.

– Gdzie byłeś? – Szepnęła z wyraźną pretensją. – Bałam się o ciebie. Kiedyś po prostu nie wrócisz...

Nie kłamała. Naprawdę się bała, że już niczego nie wyjaśni, nie powie.

– A nie chcesz tego? – Przerwał jej z widoczną irytacją.

Jemu też było ciężko. Ona gryzła i drapała, on milczał i znosił. Ona szukała odmiany, on czekał. Bardzo go zraniła, on wszystko wybaczył. Nie poskarżył się nawet słowem na to, że karała go za nic, chociaż tak bardzo ją kochał.

Westchnęła cicho, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

– Jesteś głupi – wyszeptwała między jednym, a drugim pocałunkiem. – Kocham cię. Mogę się z tobą kłócić nawet tysiąc razy dziennie, ale nigdy nie będę chciała, żebyś odszedł. Rozumiesz?

Dziwne to było „przepraszam”, ale nie umiała inaczej. Przecież nigdy nie przepraszała. Nie umiała przyznać się do błędów. To on pierwszy wyciągał rękę na zgodę, nawet jeśli nie zawinił.

– Co ci się stało? – Ugryzł się w język o sekundę za późno.

Zmarszczyła brwi. Przez chwilę milczała, jakby ważyła słowa.

– Nie lubię się z tobą kłócić – wyszeptwała łagodnie.

– Zwłaszcza teraz... Bo wiesz... Teraz jest taki czas, że wszystko się odradza. Absolutnie wszystko. I ja chcę, żeby między nami też było lepiej. Tak po prostu.

– *Będzie – obiecał. – Ja też cię kocham, wiesz?*

Teraz, po prawie trzech latach, chciało jej się z tego wszystkiego śmiać, chociaż byłby to raczej śmiech cyniczny. Wielka Prawdziwa Miłość okazała się pomyłką, mąż nie wytrzymał i odszedł, a córka nie potrafiła wybaczyć błędu.

Od prawie trzech lat święta wyglądały tak samo.

Łzy popłynęły, zanim zdołała je powstrzymać, ale nie miała zamiaru ich ocierać albo udawać, że nie płyną. Nikogo tu nie ma. Nikt nie zobaczy tej chwili słabości. Raz do roku to i księdzu wolno...

Telefon. Widocznie zapomniała go wyłączyć. Odebrała najzupełniej odruchowo – przywykła już do bycia na każde zawołanie kogokolwiek.

Głos, który usłyszała po drugiej stronie linii sprawił, że słuchawka prawie wypadła jej z ręki.

– Wiem, że nie będziesz zadowolona – znajomy, spokojny i nawet radosny ton sprawił, że trzęsła się jak chora na febrę. – Mimo wszystko stary nudziarz ośmiela się złożyć ci życzenia.

– Dlaczego...? – Nie dokończyła. Nie mogła.

Roześmiał się pogodnie.

– Uwierz, że to taki czas, że wszystko się odradza...

Gdyby przypadkiem znalazł się w pobliżu, chyba rzuciłaby się mu na szyję. Pamiętał o niej i o tych słowach, które miały być początkiem zupełnie nowego rozdziału.

– Dziękuję – szepnęła zdławionym głosem. – Ty nawet nie wiesz jak...

– Wiem. Wesołych Świąt, *moje serduszko.*

Karolina Dya



Urodzona w Wejherowie, rocznik '93. „Książkowy potwór”, pasjonatka historii (szczególnie XVII wieku), oraz polityki w wydaniu naszych wschodnich sąsiadów. Píše powieści i opowiadania obyczajowe oraz dramaty „o lekkim zabarwieniu politycznym”. Jeden z nich – *Uwaga, pani polityk za kierownicą!* – ukazał się w czerwcu 2011 roku w wydawnictwie RW2010.

Link do utworu:

<http://www.rw2010.pl/go.live.php/PL-H6/przegladaaj/SODY%3D/uwaga-pani-polityk-zakierownica.html>



**Magdalena Mikoś
Witold Klapper**

O, choinka! **(czyli przypadki Romana G.)**

W sumie wszystko zaczęło się od mojej Starej, jak któregoś dnia przez przypadek zajrzała do kalendarza. A może to nie był przypadek – wszak baby są nieprzewidywalne i równie dobrze mogła to być od dawna zaplanowana akcja dywersyjna. Taka z premedytacją. W każdym razie Stara wczytała się w ten francowaty kalendarz i stwierdziła, że wkrótce będą Święta. Tak, Święta. Takie przez duże „Ś” na początku.

No i się zaczęło. A raczej skończyło. Baba zabrała mi pilota od telewizora i zamiast oglądać moje ulubione Discovery (w przerwach między produkcją bimbrowa a jego konsumpcją), zostałem zagoniony do roboty. W tym wypadku do konkretnej, szczególnej roboty...

– Nawet mi się nie pokazuj bez ładnej choinki, zramolały leniu jeden!! I ma być zielona, zrozumiałeś?! ZIELONA!!!

No to założyłem moje gumofilce, kufajkę i ulubioną czapkę uszanke, wzięłem siekiere i ruszyłem w las czegoś jej poszukać. Czegokolwiek, byleby już nie krzyczała. Przed wyjściem zajrzałem jeszcze do piwniczki i zabrałem na drogę flaszkę bimbrowa. Ot, tak na wszelki wypadek. Wszak strzeżonego i Pan Bóg strzeże, prawda?

Znalezienie odpowiedniego drzewka zajęło mi prawie dwie godziny. Tak mi się wydaje, bo zegarka nie

noszę, odkąd mi wpadł do sławojki, jak po papier sięgałem. Znaczą po gazetę, bo Stara oszalała ostatnio na punkcie recyklingu. W każdym razie wpadł i już nie wrócił. Szkoda, bo dobry był. Poniemiecki. Ojciec go na jakimś Szwabie zdobył, jak Berlin szturmował. A może to były Studzianki? Nie ważne.

Zwykle moja bardzo silna wola pozwala mi na nie otwieranie flaszki bimbrow przez godzinę. Jak znalazłem odpowiednią ZIELONĄ choinkę, w butelce została raptem połowa drogiego płynu, więc to musiały być co najmniej te dwie francowate godziny. Jestem tego więcej niż pewien.

Zakasałem rękawy i zacząłem ścinać drzewko. Byłem już w połowie, gdy nagle za plecami usłyszałem dziwny, niski głos:

– Przepraszam, którą do Betlejem?

Opuściłem narzędzie i się obejrzałem. Za mną, w śniegu stał...

Osiół. Prawdziwy, najprawdziwszy osiół. Miał cztery kopyta, ogon i głupi ryj. Znaczą łeb, znaczą... Cokolwiek, co tam osły z przodu mają. W każdym razie było głupie i patrzyło na mnie z zaciekawieniem.

– No, do Betlejem. Miasto takie, na wschodzie. –
Dodał po chwili, widząc moje zaskoczenie.

Szybko spojrzałem na etykietkę na butelce, sprawdzając, czy wychodząc z domu czegoś nie pomyliłem. Ale nie. Wszystko było w porządku. Zacier odpowiedni, data się zgadzała. A więc skoro to nie wina bimbrow, to...

– Ty gadasz? – spytałem z rosnącym zdziwieniem, celując na wół pustą butelką w zwierzę.

– No, tańczyć nie będę. Co ja Cichopek z Tańca

z gwiazdami jestem, czy co?

– Ale... Ty gadasz! – To już nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Miałem przed sobą najprawdziwszego gadającego osła. Jezu Chryste! Białe myszki to bym jeszcze zrozumiał... Ale osła?? Za jakie grzechy??

– No, gadam, gadam. Dzisiaj przecież jest Wigilia, nie? No to gadam. To powiesz mi, którądy do Betlejem?

– Ale... Co ty tu robisz? – Kolejne pytanie ledwo przeszło mi przez gardło. Nadal byłem w szoku. Na wszelki wypadek łyknąłem sobie z flaszki potężnego strzała. Tak dla kurażu. Wszak nie co dzień zdarza się rozmawiać z osłami gadającymi ludzkim głosem.

– Zabłądziłem. W giepeesie baterie od mrozu szlag trafił, a Gwiazdy nie widać, bo się zachmurzyło. No, same kłody pod nogi, mówię ci... To wiesz, gdzie to Betlejem jest, czy nie?

Zastanowiłem się. Najbliższe wsie na pewno nazywały się inaczej. Na Discovery był kiedyś program o tym całym Betlejem, ale wtedy jakoś byłem zajęty zacierem, więc mi umknęło, gdzie ono leżało. No szlag by to trafił... Nagle przypomniałem sobie, że w Leśnych Odpadkach (wioska taka większa, parę kilometrów dalej) był kiedyś bar, co się nazywał właśnie „Betlejem”. Może o to chodziło temu osłowi?

– No, wiem gdzie to jest – odparłem. – Ale nie masz tam już po co iść.

Potężne zdziwienie pojawiło się na pysku zwierzęcia.

– Jak to... Nie mam...?

– Stary, już po wszystkim. Tam już nie ma nikogo. – Machnąłem ręką. – Nalot był i zamknęli wszystko. CBS, antyterrorysty, Policja... W gazetach o tym nawet pisali.

Ponoć tam jakaś melina była czy dziupla..

Osiół stał jak oniemiały. Szokująca wiadomość pomału docierała do jego świadomości.

– Chyba stajenka... – poprawił cicho z rosnącym przerażeniem.

– No jakoś tak. W każdym razie ktoś sychnął i pozamykali wszystko w cholere.

– Wszystko? – próbował się upewnić osioł.

– Absolutnie. Pokazałbym ci nawet gazetę, ale...

Jakby to powiedzieć, uległa recyklingowi.

– Wierzę ci... – odparł smutno zwierzak, po czym zwiesił łeb i zaczął płakać.

– Wszystko na nic... I po co ja tyle szedłem? Wiedziałem, że tak będzie. Pewnie baterie w giepeesie nie były alkaliczne i to dlatego. Bez sensu... I co ja mam teraz zrobić? No co?

– Masz, strzel sobie łyka – wypaliłem pierwsze, co mi przyszło na myśl, podsuwając osłowi butelkę prosto pod pysk. Ten spojrzał na mnie smutno, po czym pociągnął potężnie z gwinta.

Myślałem, że mi cały bimber wychleje, ale na szczęście trochę zostawił.

– Dobrze... – odparł. – Tylko nie wiem, czy ja mogę takie coś pić, bo wiesz, mam słaby żołądek i w ogóle jak coś, to mnie zacznie zaraz boleć. Albo jeszcze...

– Roman jestem – wtrąciłem wyciągając rękę, zanim skończył swój długi monolog. – Giewont Roman.

Osiół popatrzył na mnie przez chwilę, po czym klepnął ją swoim kopytem.

– Zenon, miło mi.

Usiadłem koło niego na jakimś wystającym ze śniegu korzeniu.

– Nie przejmuj się, stary, może nie jest tak źle?

– Jak to nie jest? Przecież to był cel mojego życia. Dotrzeć tam w tej szczególnej chwili i uczestniczyć w tak ważnym i podniosłym wydarzeniu, a ty mi mówisz nagle, że to koniec? Że nie mam po co dalej iść? I co ja mam teraz zrobić? – Osioł westchnął głęboko i ponownie zaczął jęczeć i biadolić.

Zastanowiłem się przez chwilę. Po jaką cholere w środku zimy łązić po kolana w śniegu do jakiegoś podrzędnego baru, który i tak okazał się być dziupłą. Przepraszam – stajenką, oborą, komórką, czy jak to tam ten zwierz powiedział. Byłem tam zresztą kilka razy i muszę powiedzieć, że nic ciekawego tam nie było, naprawdę... Piwo też mieli marne.

– Oj tam, oj tam... – Poklepałem zwierzaka po grzbiecie. – Nie becz już. Nie teraz, to kiedy indziej. Będziesz jeszcze miał to swoje Jeruzalem.

– Betlejem – poprawił Zenon.

– No właśnie, Betlejem. Słuchaj, szkoda czasu na jęczenie. Wigilia dzisiaj. Chodź do mnie, to coś przekąsimy, bo tu widzę, że butelka już pusta.

Zenon spojrział na mnie i pociągnął nosem.

– Zapraszasz mnie do siebie? Na Wigilię? – zapytał z niedowierzaniem. – No, ale jak to tak? Przecież będę ci tylko przeszkadzał i w ogóle... Po za tym ja nie jadam wszystkiego, bo mam słaby żołądek i do tego kopytko coś mnie zaczyna boleć, o tu... Widzisz?

– Wiesz, Wigilia to taki czas, że zagubionemu wędrowcowi trzeba pomóc, a ty biedaku ewidentnie jesteś zagubiony. Więc powinienem cię poratować. Tylko musimy na moją Starą uważać, bo to cholera jedna i kto wie, jakby cię potraktowała.

Osiół wytrzeszczył oczy.

– To może jednak...

– Spokojnie. Nie bój się. Pójdziemy do mojej małej piwniczki. Spodoba ci się tam, mówię ci...

– Myślisz?

– No, ba!

Na miejsce udało się dotrzeć bez problemów. Chyłkiem wślizgnęliśmy się do piwniczki, tak, aby Stara nic nie zauważyła. Gdy tylko weszliśmy do środka, zapaliłem światło i pokazałem Zenonowi moją małą kolekcję.

– Jasny gwint! – Osiół aż gwizdnął z zachwytu, widząc półki pełne równo poukładanych butelek z bimbrem.

– I to wszystko ty zrobiłeś? – zapytał z niedowierzaniem.

– Ano, ja. – Przytaknąłem ucieszony. – Patrz, każda ma etykietkę, z jakiego zacieru i kiedy zakorkowana. Wiesz, tak, żeby było profesjonalnie.

– No, stary... Jestem pod wrażeniem.

Zwierzak usadowił się na małym krzeselku na środku piwnicy, ja tymczasem pełen dumy podszedłem szybko do regału i zacząłem grzebać między butelkami. W końcu kilka z nich wyjąłem i postawiłem na stole koło Zenona.

– Proszę bardzo.

– Eeee... Nie za dużo ich? – zapytał zdziwiony osioł.

– No, co ty. Wigilia jest, to dwanaście potraw musi być, nie?

Zenon zastrzygł uszami, po czym odparł:

– No niby tak... Ale wiesz, różnych.

– Przecież są różne! – Pokazałem etykietki. – Patrz – ten ma dwa miesiące i jest...

– Dobra, dobra... wierzę ci, wierzę... Ale wiesz, jak to ma być tak oficjalnie, to jeszcze jakimś opłatkiem by się trzeba było chyba połamać... I w ogóle stół jakoś nakryć i kolędy...

O cholera, tego nie przewidziałem. Skąd ja mu teraz opłatki wezmę? Niby Stara na górze tam coś miała. Z zeszłego roku chyba jeszcze. W każdym razie, wiem, że były. Ale teraz się do nich nie dostanę. Trzeba było wymyślić coś innego. Nagle coś mi się przypomniało. Podeszedłem do jednej z szafek i wyciągnąłem z dumą mały przedmiot, po czym postawiłem go na stole.

– Musztarda?? – zdziwiony osioł wybałuszył oczy.

– Przepraszam, ale nic innego nie mam. A kolęd mało co znam. Za to jak chcesz, to mogę ci zaśpiewać coś partyj... partri... Coś innego – odparłem, po czym zaintonowałem najładniej jak umialem – „Wszywyli uani fodokienko”.

– Eeee... Może jednak pozostaniemy przy kolędach, wiesz? Albo nie, otwórz... Znaczący... Rozpoczniemy pierwsze danie. Mnie kopytkami będzie ciężko ten korek... Więc jakbyś mógł...

Spojrzałem z wyrzutem na Zenona. Myślałem, że doceni moje starania wokalne, powie jakiś komplement, albo jeszcze lepiej – dołączy się do śpiewu. Niestety... Ale czegoż można oczekiwać od osła... Za to propozycja rozpoczęcia wieczerzy wigilijnej była niezwykle kusząca, więc czym prędzej otworzyłem pierwszą butelkę.

A potem drugą...

Trzecią...

Czwartą...

I piątą...

Przy szóstej osioł był już nieźle wstawiony. Do tego czasu dowiedziałem się, jak unikał przerobienia na kabanosy i salami, jak brał udział w rajdzie Paryż – Dakar, przepłynął samotnie Atlantyk, skakał na spadochronie, służył w brytyjskich siłach specjalnych jako tajny agent oraz odbijał irańską ambasadę w Londynie z rąk terrorystów. Ale to było dawno. Potem przeszedł w stan spoczynku i jakiś czas temu dowiedział się, że w Betlejem jest oferta pracy dla emeryta.

– Na pół etatu, co prawda, bo drugą połówkę ma wół, ale jest. Praca nawet spokojna, niemęcząca – przy klimatyzacji – wyjaśnił pomiędzy daniami.

– I za to ci płacą?

– No właśnie nie płacą, bo wychodzi, że to już nieaktualne. Zresztą ja już sam nie wiem. Szliśmy do Betlejem większą grupą – ja, wielbłądy i ten wół. Ale przyszła śnieżycyca i się zgubiłem po drodze. A potem ten głupi giepees przestał działać. Ja wiedziałem, że tak będzie. W ogóle to wszystko było bez sensu. Trzeba było w domu zostać, a nie łązić gdzieś jak osioł!

Zenon złapał flaszkę i jednym haustem skonsumował prawie pół. Przeraziłem się, że dla mnie nic nie zostanie i całą tę tradycję szlag trafi, ale na szczęście tak się nie stało. Na wszelki wypadek przysunąłem butelkę bliżej siebie i sam co nieco upiłem.

– Oj tam, nie becz.

Zenon pociągnął nosem.

– Jestem do niczego...

Humor poprawił mu się dopiero przy siódmym daniu. A raczej praktycznie pod jego koniec. Mniej więcej w momencie, gdy udało nam się dojść do tego, że bar

„Betlejem” z Leśnych Odpadków nie jest tym Betlejem, do którego zdążył osioł. Jak zwykle wyszło to przez przypadek. W każdym razie podekscytowany zwierzak prawie rozbił z radości flaszkę a potem próbował wstać, co przy ilości wypitego bimbrowa nie było takie znowu łatwe.

– O, cholera. – Osioł w końcu podniósł się z miejsca i zaczął energicznie oblizywać szary pysk. Jakoś żałośnie to wyglądało.

– Masz może miętówkę?

– Wiśniówka to by się może znalazła, ale miętówki w tym roku nie robiłem – odparłem, przyglądając mu się z niepokojem. Czyżby mu zaszkodziło? Potraw jednak trochę się uzbierało...

– A cukierki miętowe albo gumę do żucia?! – wycharczał Osioł. – Rozumiesz, moja praca w Betlejem polega na chuchaniu...

Podrapałem się w głowę. W takim stanie to on tam wszystkich zachucha na śmierć.

– No, to faktycznie masz problem – rzekłem ze współczuciem i poklepałem kłapoucha po grzbiecie. – Mówię ci stary, rzuć tę robotę.

Ekscytacja Zenona opadła na chwilę. Zwierzak siadł z powrotem na krześle. Znaczący za trzecim razem dopiero, bo wcześniej jakoś tak nie bardzo mu się udało w nie trafić, ale w końcu, jak to mówią „orzeł wylądował”. Nawet wydawało mi się, że zauważyłem coś na kształt telemarku.

– A miało być tak pięknie – jęknął smutno osioł, kładąc łeb na blacie. – Nawet do Egiptu mieliśmy jechać... Chciałbym zobaczyć piramidy...

– Daj spokój. Tam są teraz sami... turyści i terroryści. – Wypowiedzenie tych ostatnich, dość skomplikowanych słów kosztowało mnie sporo wysiłku.

Aż się spocilem normalnie. Sięgnąłem więc szybko po ósme danie.

– Lepiej opowiadaj dalej.

Nagle usłyszałem dyskretne pukanie w szybę i spojrzałem w tamtym kierunku. W oknie zamajaczyła jakaś dziwna postać. Zwróciłem się do osła.

– A to kto znowu? Renifer świętego Mikołaja?

Osiół skinął łbem w stronę okna, omal się nie przewracając. Jego mętne spojrzenie wyostrzyło się w jednej chwili.

– Nie, to wielbłądy Trzech Króli! Jestem uratowany!

Przeraziłem się nie na żarty. Na Discovery mówili o tym, ile taki wielbłąd może wypić. A tu od razu trzy garbussy! Im starczy na miesiąc, ale ogołocą mi piwniczkę jeszcze przed Sylwestrem. W mojej głowie włączył się alarm – ratować swoje skarby przed tymi opojami!

Miałem właśnie wstać, gdy Zenon zatrzymał mnie kopytkiem.

– Nie martw się, oni tylko wpadli po mnie – uspokoił mnie. Następnie skierował się chwiejnie ku wyjściu.

– Wybacz, kolego, ale muszę iść. Obowiązki wzywają. Dzięki za kolację! – powiedział, po czym zniknął w drzwiach.

Siadłem ponownie przy stole, po czym dokończyłem ósme danie. Przecież nie mogłem dopuścić, aby się zmarnowało. Podumałem chwilkę, po czym w końcu wstałem i poszedłem do domu. Stara pewnie zaczęła się już martwić, czemu tak długo nie wracam.

Ledwo przeszedłem próg, gdy spostrzegłem swoją babę z jakąś patelnią w ręku. Ewidentnie czekała na mnie i nie była zadowolona. Jasny gwint, tylko żeby nie poznała,

że coś tam popiłem. Zebrałem się w sobie, zmobilizowałem i wydusiłem z siebie najbardziej słodko jak potrafiłem:

– Szsześć kochaaniee... –

Po jej minie wywnioskowałem, że chyba mi to nie wyszło, tak jak miało. A tak się starałem...

– No, ładnie... A drzewko gdzie?

To było podchwytliwe pytanie. Na szczęście byłem na nie przygotowany.

– Naa zewnąszszsz... Juszzsz przynoszszszę...

Myślała, że mnie zaskoczy, ale byłem sprytniejszy. Wracając z Zenonem z lasu, o mało co nie zapomniałbym zabrać drzewka, ale przypomniałem sobie o nim w ostatniej chwili i z pomocą nowego znajomego przytargałem je do piwniczki.

Szybko (choć w moim obecnym stanie, było to pojęcie bardzo względne) przyniosłem choinkę i pokazałem Starej.

– Łaaallaaa! – powiedziałem z dumą, prezentując moją zdobycz wojenną. Myślałem, że baba doceni jakoś mój wysiłek, powie coś miłego albo pochwali, ale chyba się przeliczyłem.

– Cztery godziny spóźnienia, nierobie jeden! I znowu coś piłeś!!

Stałem najprościej, jak umiałem. Całe szczęście, że wciąż trzymałem się choinki, więc miałem nieco ułatwione zadanie.

– Nigdy w szczyciu, kochanie... Pyszczecieszsz wieszsz, szsze nie piję...

– Piłeś, nie piłeś – odparła żona – ale choinkę za to ubierzesz. Ja nie mam czasu, bo pierogi trzeba skończyć lepić! – powiedziała stanowczym głosem, po czym znikła w czeluściach kuchni.

Jasny gwint. Ubrać choinkę. To akurat była jedna z tych rzeczy, jakich nigdy nie lubiłem. Pędzenie bimbru było ciekawsze. Po za tym na Discovery nigdy nie widziałem programu o tym, jak to zrobić. Wiedziałem, że mają być jakieś kolorowe ozdóbki i światełka. Pomyślmy... Kolorowe ozdóbki i światełka...

Po chwili znalazłem sporą kupkę różnobarwnych pisemek dla kobiet, które były zbyt śliskie, by nadawały się do recyklingu. W ruch poszły nożyczki i taśma klejąca i po chwili miałem już dość okazałą kolekcję ozdóbek. I to jak najbardziej kolorowych. Na moim ulubionym kanale leciał kiedyś program poświęcony origami, więc wiedziałem, jak je wykonać. Nie wiem, czy gwiazdka z częścią twarzy Wojewódzkiego oraz napisem „Mam ochotę udusić ...” była najbardziej pożądaną dekoracją bożonarodzeniową, ale obok był kawałek dekoltu Kingi Rusin i to akurat mi się bardzo podobało. Kiedy skończyłem robótki ręczne umiejscowiłem choinkę na trójnogu, po czym zacząłem wieszać przygotowane wcześniej ozdoby. Ostrożnie wspiąłem się na taboret, bo po wieczerzy moje poczucie równowagi stało się nieco chwiejne, niemniej obyło się bez wypadku i choinka została owinięta łańcuchem sklejonym z przepisów na potrawy świąteczne. Wkrótce skończyłem. Teraz trzeba było zamocować jakieś światełka. W kredensie było trochę świeczek, na wypadek gdyby znowu prądu nie było, więc szybko po nie poszedłem i zacząłem instalować na gałęziach. Stara pęknie z zachwytu jak zobaczy drzewko. Takiego jeszcze w domu nie było. Kiedy wszystkie pozaczepiałem wyciągnąłem zapalniczki. Jeszcze tylko ostatnia rzecz i można wołać babę. Niech zobaczy, że jeszcze potrafię coś dobrze zrobić. Zapaliłem pierwszą świecę. Potem drugą i trzecią. A potem

chuchnąłem, aby zgasić dopalającą się zapałkę...

Najbliższa gałąź w jednej chwili stanęła w ogniu. Nagły wybuch spowodowany połączeniem moich wigilijnych wyziewów oraz płomienia zapałki zaskoczył mnie całkowicie.

Cofnąłem się oniemiały, patrząc jak jedna od drugiej zapalają się kolejne gałęzie. Tego nie było w planach! Wkrótce cała choinka stała już w ogniu. Płomienie sięgały pod sufit i lizały ściany. Zaniepokojona swądem spalenizny z kuchni przybiegła stara i od razu zaczęła coś krzyczeć.

– O, choinka... – Podrapałem się niepewnie po głowie, obserwując cały ten galimatias. – No, takich świąt to jeszcze nie mieliśmy.



Roman Giewont – mieszkaniec Siar Wielkich gm. Leśne Odpadki, bimbrownik-artysta, homofob oraz najzagorzalszy fan kanału Discovery to bohater serii zakreconych opowiadań, w których w sielską codzienność sennej wioski raz po raz wkrada się niesamowite. Niezwykli goście, m.in. krasnoludki z Al Kaidy, zombie-partyzanci, emo-wampiry, duchy i kosmici tłoczą się u progu, przyciągani niezwykłą aurą emanującą z tajemniczej piwniczki. Deliryczne przygody Romana pełne surrealistycznego humoru i nagłych zawrotów akcji zapierają dech w piersiach, niczym haust jego legendarnego bimbru „Czak Noris”. Zapraszamy do lektury.

Magdalena Mikoś



Urodzona w 1985 roku w Krakowie, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, z zawodu językoznawca. Miłośniczka Szkocji, militariów i węglowodanów. Członek zespołu Celtica Scottish Country Dance.

Witold Klapper



Urodzony w 1978 roku w Tuchowie. Z wykształcenia plastyk. Miłośnik Szkocji, gór oraz starego, dobrego rocka. Kolekcjoner militariów i rekonstruktor.

Ewa Bauer

Cud narodzin

Siedzieliśmy z Szymonem przy wigilijnym stole, w tym roku wcześniej, bo mój mąż miał dyżur. Jako młodszy stażem policjant nie miał zbyt wiele do powiedzenia, kiedy szef oznajmił mu, że w te święta będzie potrzebny na posterunku od godziny osiemnastej w Wigilię do rana następnego dnia. Nie zamierzał nawet dyskutować, wiedział bowiem od starszych kolegów, że tylko pokorą i zgodą można zasłużyć na awans i lepsze godziny pracy. Pogodziliśmy się więc z tą myślą, a ja przygotowałam elegancki posiłek, bo nazwać tego kolacją nie można było, na godzinę piętnastą. Zasiadliśmy uroczyście do stołu, przy dźwiękach kolęd dochodzących z radia w kuchni. Połamaliśmy się opłatkiem, złożyliśmy sobie życzenia, przede wszystkim tego, aby nasze dziecko, które za miesiąc miało się narodzić, było zdrowe. Choć na niebie nie było jeszcze pierwszej gwiazdki, świętowaliśmy Wigilię i delectowaliśmy się naszą bliskością. W tym roku nie pojechaliśmy ani do moich rodziców ani do rodziców męża, to miały być ostatnie święta tylko we dwoje, tak chcieliśmy, a dodatkowo decyzja szefa Szymona i tak pokrzyżowałaby nam plany wyjazdowe. Umówiliśmy się jednak, że wieczorem pójdę do przyjaciółki i spędzę resztę dnia z jej rodziną, żebym nie siedziała w domu sama. Prezenty otworzymy z Szymonem rano, w Boże Narodzenie, tak jak jest to w zwyczaju na całym świecie, tylko nie u nas w Polsce, gdzie zaraz po wigilijnej wieczerzy wszyscy rzucają się pod choinkę, by wyłowić

jakiś podarek dla siebie.

Szymon wyszedł dwie godziny temu, ja przygotowywałam się do wyjścia. Mój wielki brzuch trochę przeszkadzał mi, kiedy zapinałam kozaki, nie mogłam jednak pozwolić sobie na półbuty, bo zamierzałam pokonać drogę do koleżanki na piechotę, mieszkała raptem kilka ulic dalej. Włożyłam płaszcz puchowy, wełnianą czapkę i ciepłe rękawiczki. Do torby spakowałam ciasto dla gospodarzy i byłam gotowa do drogi. Na zewnątrz ściemniało się, sporadycznie tylko można było zobaczyć jakieś postacie śpieszące się do domu. Ulica w zasadzie była pusta, ale czułam się bezpiecznie. Atmosfera świąt, puszysty, skrzący się śnieg i światło latarni dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Minełam pierwszy zakręt, musiałam jeszcze przejść obok placu zabaw, minąć szkołę i już byłam na właściwej ulicy. Nagle zobaczyłam, jak świat wiruje przede mną, latarnia wywraca się, ziemia zbliża coraz bardziej. Poślizgnęłam się na lodzie przysypanym śniegiem w miejscu, gdzie nierozważnie postawiłam nogę. Upadłam na brzuch, krzyknęłam, oczy zaszyły mi łzami z bólu i przerażenia. Co stało się mojemu dziecku? Kto mi pomoże? Na ulicy nadal nie było nikogo, sięgnęłam z wysiłkiem do torebki w poszukiwaniu telefonu komórkowego, jednak nie mogłam go znaleźć. Wtedy przypomniałam sobie, że nie odpięłam go od ładowarki, która została w kontakcie. Nie mogłam się podnieść, byłam sama na ulicy, przerażona, bezsilna. W pewnym momencie poczułam, że moje spodnie są mokre, modliłam się, żeby było to od śniegu, ale intuicja podpowiadała mi, że to co innego. Odeszły mi wody.

– Ratunku! Pomocy! – krzyczałam ile sił w płucach. Całą siłą woli panowałam nad sobą, żeby nie stracić

przytomności. W pewnej chwili zobaczyłam, że w moim kierunku zbliża się jakaś zakapturzona postać. Chyba był to mężczyzna, rozmawiał przez telefon komórkowy. Nic więcej nie zapamiętałam. Pochłonęła mnie ciemność, straciłam przytomność.

– Proszę otworzyć oczy! Czy pani mnie słyszy? – jak zza mgły docierały do mnie krzyki kilku osób, rozchyliłam powieki, próbowałam ustalić co się ze mną dzieje. Jechałam karetką... Była to ostatnia myśl, jaka przyszła mi do głowy zanim ponownie nie zemdlałam.

Ocknęłam się na dobre w szpitalu. Nie wiem, kto mnie tu przywiózł, kto wezwał pogotowie, co się ze mną działo. Miałam jednak poczucie, że jestem w dobrych rękach, że oni z pewnością pomogą mi, a przede wszystkim mojemu dziecku. Myślałam o Szymonie, który zapewne nudzi się w pracy, nie zdając sobie sprawy, co się ze mną dzieje. Pewnie zazdrości mi, że spędzam miło czas w towarzystwie przyjaciółki, podczas gdy on musi czekać na zgłoszenie o jakimś wypadku, włamaniu czy napaści. Tak bardzo chciałam do niego zadzwonić, ale w głowie miałam pustkę. Nie potrafiłam przypomnieć sobie numeru jego telefonu. To był nowy numer, założony zaledwie przed dwoma tygodniami, a ja nie miałam potrzeby uczenia się go na pamięć, był przecież wpisany w komórce. Tyle że ta pozostała na stole w domu. Czułam narastające skurcze, bolało mnie podbrzusze i w krzyżu, to co miało zdarzyć się za miesiąc, właśnie się działo. Moje dziecko pchało się na świat. Nie miałam przy sobie ani torby z rzeczami osobistymi, ani nic dla dziecka. Pielęgniarka uspokoiła mnie, że nie ma problemu, pożyczą mi wszystko, a jutro na spokojnie, mój mąż przyniesie nasze rzeczy. Teraz najważniejsze było to, by sprawnie przeprowadzić poród.

Kiedy skurcze były już bardzo silne zaprowadzono mnie na salę porodową. Za chwilę miałam przenieść się na fotel położniczy, gdzie siłami natury miało urodzić się moje dziecko. Tymczasem położyłam się na leżance, a położna opasała mnie gumową taśmą, pod którą wpięła dwie głowice. Jedna mierzyła częstotliwość skurczów, a druga tętno dziecka. Urządzenie nie chciało działać, kilkakrotnie przekładała głowicę w innym miejscu mojego brzucha, ale ciągle zapis KTG nie był właściwy. Zauważyłam u położnej coraz bardziej nerwowe ruchy, w pewnym momencie wychyliła się na korytarz i krzyknęła:

– Zawołać mi tu natychmiast Doktora Kosińskiego.

Serce przyspieszyło mi, pomyślałam, że mamy jakieś kłopoty. Położna nie chciała mi nic wyjaśniać, ponaglała tylko pielęgniarkę, żeby pobiegła po doktora.

– Co się dzieje? Coś z dzieckiem? – nie dawałam za wygraną.

– Nie wyczuwam tętna dziecka – położna zwróciła się do wchodzącego na salę lekarza. Oboje przysiedli na moim łóżku, pielęgniarka z głowicą od KTG, lekarz ze stetoskopem. Badali mnie, a ja czułam, że z nerwów znów robi mi się słabo.

– Niech pani głęboko oddycha, trzeba dać dziecku tlen – spokojnym głosem przemawiał do mnie mężczyzna, ale ja nie potrafiłam być spokojna. Nie tak miał wyglądać mój poród, nie w tym dniu, nie w tym szpitalu, nie z tymi ludźmi. Miał być przy mnie mąż, miałam mieć znieczulenie zewnątrzoponowe i salę do porodów rodzinnych. Tymczasem wszystko było na opak. Staralam się głęboko wciągać powietrze, przypominając sobie nauki ze szkoły rodzenia, że dziecko w ten sposób można dotlenić, zwłaszcza podczas skurczów.

– Rozwarcie na trzy palce, wody odeszły dwie godziny temu, zapis KTG w karetkce prawidłowy, teraz nie wyczuwam tętna – wyrecytowała położna, odpowiadając na pytania doktora.

– Właśnie przygotowaliśmy salę do porodu cesarskiego dla pacjentki na umówiony termin, przesuwamy ją, a tę panią natychmiast przygotować do zabiegu.

Chwycono mnie pod ramiona i przetransportowano na blok operacyjny. Myślałam tylko o oddechu, o tlenie dla dziecka, o tym, że mogę je stracić, o Szymonie, o Wigilii, o tym, co się stanie, jeśli dziecko umrze. Łzy ciekły mi po policzkach, wszystko migotało przed oczami. Położono mnie na stole operacyjnym, w jednej chwili kilka osób zajęło się mną. Nałożono mi maskę z gazem usypiającym na twarz, moje uda i podbrzusze wymyło środkiem odkażającym, w rękę wbito mi igłę i założono wenflon, na ciele rozłożono zieloną płachtę. Więcej szczegółów nie zarejestrowałam, bo odpłynęłam w niebyt. Ostatnia moja myśl była taka, że nawet jeśli urodzę żywe dziecko, to będzie ono umysłowo niedorozwinięte wskutek niedotlenienia...

– *Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony...* – Najpierw zaczęły do mnie docierać dźwięki. Pomyślałam, że jestem w domu, z Szymonem, obchodzimy święta. Kolejny włączył się jednak zmysł zapachu i tu zaniepokoiłam się nieco, bo w powietrzu wyczuwalny był zapach środków dezynfekujących, a nie słodkiego świątecznego ciasta i świeżej choinki. Wtedy wróciła pamięć. Z przerażeniem otworzyłam oczy i zobaczyłam, że leżę w łóżku szpitalnym, jestem podłączona do kroplówki i różnych monitorów rejestrujących moje funkcje życiowe.

Bolało mnie gardło, nie mogłam przełykać. Przypomniałam sobie, że miałam operację, cesarskie cięcie, że wyjmowano ze mnie dziecko, byłam w pełnym znieczuleniu, pewnie musiano mnie zaintubować, stąd ten ból gardła. Początkowo nie mogłam odwrócić głowy, ale wzrok zaczął mi się wyostrzać. Zobaczyłam pielęgniarki w pobliskiej dyżurce nućce tekst kołęd dochodzących z radia. Nie zdawały sobie sprawy, że obudziłam się, dlatego nie odrywały się od swoich zajęć. Poza tym wokół panowała cisza. Poruszyłam ręką. Nagle tuż za mną zrobił się ruch, ktoś wstał z krzesła i zbliżał się w moim kierunku. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Szymona z zawiniątkiem w ręku. Podeszedł do mnie i uchylił becik, w którym ujrzałam najpiękniejszą twarz pod słońcem.

– Wszystkiego najlepszego kochanie. Dziękuję za najpiękniejszy prezent świata – odezwał się mój mąż, a na dźwięk jego głosu, otworzyły się maleńkie oczka naszego syna. Ślicznego. Zdrowego. Żywego.

Ewa Bauer



Prawnik z wykształcenia, psycholog z zamiłowania. Choć zawsze mówiła, że pisanie książek pozostawia sobie na emeryturę, postanowiła przyspieszyć ten proces, czego efektem jest wydana w 2011 roku przez wydawnictwo Radwan debiutancka powieść *W nadziei na lepsze jutro*. Włada kilkoma językami obcymi, uwielbia podróże w nieznane ale korzenie zapuściła w Krakowie. Przygotowuje kolejne dwie powieści, których wydanie planuje na 2012 rok.

Blog autorski: www.ewabauer.pl

Profil facebook:

<http://www.facebook.com/profile.php?id=100002139903201>

Krzysztof Maciejewski

Jingle Bells

Te cholerne dzwoneczki! Co roku doprowadzają mnie do szewskiej pasji, zamieniają w pałającego żądzą mordu demona! Jak sobie pomyślę, że gdybym był człowiekiem, to prawdopodobnie dawno już uległbym niszczyielskiej mocy tych dźwięków... Na szczęście, pochodzę z nieludzkiego wymiaru, chociaż wielu z was widzi we mnie istotę niemalże człowieczą...



Klauzula ujawnień. Zresztą dość oczywistych – to ja jestem tym ubranym na czerwono, brodatym grubasem, który co roku przez kilka miesięcy naprzykrza wam się w reklamach, centrach handlowych, programach telewizyjnych. Święty Mikołaj – *c'est moi!* Prezentacja wymaga jednak dodatkowych wyjaśnień. Nie jestem inkarnacją jakiegoś biskupa z Myry, konstruktem myślowym Disneya i marketingowców Coca-Coli. Nie jestem nawet personifikacją świąt Bożego Narodzenia. Stanowią bowiem byt konceptualny zrodzony w innym wymiarze. Czy to jasne? Może niezbyt trywialne, ale przynajmniej tłumaczy wszelakie paradoksy, jak chociażby ten, że odwiedzam w ciągu milisekund setki tysięcy kominów. Byty konceptualne nie mają z tym żadnych problemów, zapewniam was, moi drodzy. Ho ho ho!



Pieprzone, supermarketowe melodyjki... Cóż, trzeba odsłużyć swoje, poprawić sztuczną brodę i czarne, skórzane rękawice. Uśmiecham się do przechodniów, wykrzykuję w ich stronę swoje „Ho ho ho!!!”, lecz żaden z nich nie zatrzymuje się. Nawet dzieciaki, które w takich sytuacjach wymuszają na rodzicach krótki postój, tym razem jakby przyspieszały kroku na mój widok. Ach, no tak... Zapomniałem zdjąć ciemne okulary...

A wokół święta w pełni (te cholerne dzwoneczki), ludziska kupują prezenty, wszystkim udziela się atmosfera nadchodzących wydarzeń. Czyli mamy do czynienia z normalną niedzielą handlową podniesioną do sześcianu, a może nawet przeniesioną na wyższe rejestry. Zatem świątynia konsumpcji zatłoczona ponad wszelką miarę, a kupujący jacyś tacy bardziej nerwowi, bo zamiast kołędowych uśmiechów ciskają w kierunku bliźnich zabójcze spojrzenia. Nie umieją nawet powściągnąć się w obliczu tajemnicy, ale czemu ja się właściwie dziwię? Świętowanie ma u nas ryt raczej obrzędowy, niż religijny w tym na wskroś katolickim społeczeństwie...



Gdy sobie tak spaceruję, pozwalam wędrować także swym wspomnieniom. Ach... Przedmieścia Los Angeles, Covina... Ciężko ranni krzyczą wniebogłosy, wiją się w bólu na podłodze. Wszystko po mojej myśli – nie planowałem przecież, że rany postrzałowe zabiją od razu. Ofiary czeka jeszcze jedna niespodzianka. W swoim worze

mam bowiem uroczne urządzenie – własnoręcznie przygotowany miotacz płomieni. Odrzucam na bok niepotrzebne już karabiny. Zalewam wrzeszczących ludzi falą ognia. Jakiś czas później kilkanaście wozów strażackich będzie walczyć z pożarem przez dwie godziny, a policja znajdzie w ruinach doszczętnie spalone ciała. Nie da się zidentyfikować zamordowanych – chyba, że po kartach dentystycznych.

A jednak zaczynam wariować – niech diabli wezmą ten jazgot! Przecież to nie są moje wspomnienia, nie jestem człowiekiem, nigdy nie mieszkałem w Stanach! Co się ze mną dzieje? Stanowię wszak byt wirtualny, zamieszkuję tylko to ułomne ciało, bo co by powiedzieli ludzie, gdyby Święty Mikołaj iskrzył fioletowym światłem, albo wymachiwał pięcioma ramionami? Wirtualny, lecz nie fikcyjny. Może i lepiej, gdyż fikcja pozostaje ostatecznie nierozstrzygalna pomiędzy różnorodnością możliwości?



JA ZWARIOWAŁEM. TY ZWARIOWAŁEŚ. ON
ZWARIOWAŁ. ONA ZWARIOWAŁA. ONO
ZWARIOWAŁO. MY ZWARIOWALIŚMY. WY
ZWARIOWALIŚCIE. ONI ZWARIOWALI.



Odchylam głowę do tyłu i wybucham radosnym śmiechem. „Dżingyl oldelej!!! Salwa całą sterburką!!! Dziękuję wam, drodzy bracia”. Jakże mi nagle radośnie,

jak błogo! Łykam szybko moje kochane pastylki – ciekawe, jaką ścieżynką mnie dziś zaprowadzą? I za chwilę słyszę znów świergołące dzwoneczki w mózgu, a jakaś kobiecina ciągnie w moim kierunku dziewczynkę.

– Zosiu, Zosiu!!! Chodź, zrobię Ci zdjęcie ze Świętym Mikołajem!!!

Uśmiecham się niepewnie, lecz zaczynam żałować, że zdjąłem ciemne okulary. Dziecko płacze, ale matka na siłę sadowi je na moich kolanach. Dotykam malucha swoimi skórzanymi rękawicami, jego matka spogląda na nas przez wizjer aparatu. Dziewczynka odwraca zapłakane oczy w moją stronę i spogląda na mnie.

Ona wie.

Agnieszka Turzyniecka

Złodziej świąt

Był sobie raz mężczyzna, który nie znosił Bożego Narodzenia. Od dzieciństwa źle mu się kojarzyło. Nigdy nie dostawał wymarzonych prezentów, a w któreś święta jego mama urodziła mu siostrę i tak się w niej zakochała, że zapomniała całkiem o starszym synu.

Ale Gwiazdka kojarzyła mu się też z najlepszym utargiem w roku. Ci wszyscy zabiegani ludzie, kupujący prezenty, karpie i ser na ciasto. Byli tak zaaferowani, że wyciągnięcie im portfela z kieszeni było jeszcze łatwiejsze niż zwykle. Najbardziej lubił polować na pobliskim targu – był na tyle duży i zatłoczony, że mógł pozostać anonimowy, a ścisk tylko sprzyjał jego niecnym celom.

Upatrywał sobie najchętniej panie w futrach, ale nie gardził też biedniejszymi. Czasami kręcił się po parkingu, patrzył, kto podjeżdża dobrym samochodem i śledził go. Zdarzało się, że musiał zrezygnować, bo nie nadarzała się okazja, a nie chciał ryzykować wpadki. Nieraz słyszał o takich kieszonkowcach, co trafiali na komisariat, bo gubiła ich pewność siebie. Kieszonkowiec – nie lubił tego słowa. Uważał, że życie zmusiło go do tego, i nie czuł się winny. Wyrzuty sumienia? Ludzie i tak sobie poradzą, a ja nie miałbym co do garnka włożyć, bo dzisiaj o pracę ciężko – powtarzał sobie, lecz było to marnym tłumaczeniem. Nigdy nie szukał pracy, może myślał trochę o uczciwym życiu wiele lat temu, ale kiedy poczuł smak szybko zarobionych pieniędzy, porzucił te niedorzeczne myśli. W końcu on też musiał się napracować. Wystawianie

godzinami na mrozie w cienkiej kurteczce, to niby nie praca? – myślał. Musiał być zawsze lekko ubrany, bo gruba kurtka kępowałaby jego ruchy. Musiał zachować zwrotność, by w razie czego szybko się ulotnić.

Już od początku grudnia szło mu świetnie, planował nawet pojechać w góry na Sylwestra. Ale dzisiaj miał pobić rekord: dzień przed Wigilią na targu będzie największy ścisk w roku. Już zacierał ręce na samą myśl.

Zazwyczaj spał do dziesiątej, ale tego dnia wstał już o szóstej trzydzieści. Ogolił się, pogwizdując ulubioną piosenkę, i zjadł lekkie śniadanie. Był w świetnym nastroju, czuł się jak artysta, który w przypływie weny ma przekonanie, że dziś stworzy swoje najlepsze dzieło. Sam o sobie zresztą też myślał



jako
o artyście – przecież to sztuka niepostrzeżenie wyciągnąć

komuś portfel i wtopić się w tło niczym kameleon. Często w myślach chwalił własne zdolności i miał się za człowieka wyjątkowo zaradnego.

Szło jak z płatka – o dziewiątej miał już trzy wypchane portfele. Nie mógł do nich zajrzeć, to robił zawsze w domu. Nie wolno mu było tak ryzykować. Chował zdobycz w specjalnie do tego wszytych kieszonkach we wnętrzu kurtki i tylko po objętości domyślał się, czy dużo zarobił.

O jedenastej musiał iść do domu, bo już zabrakło mu miejsca w kieszeniach. Szybko wyrzucił na kanapę zawartość kurtki i pobiegł z powrotem na targ.

Ludzie jakby sami prosili się, by ich obrobić. Zabiegani, zdenerwowani, nie zwracali uwagi na swoje torby, często kładli je na straganach lub wieszali na ramieniu tak, że główna część torby spoczywała na plecach. Nic prostszego. Mężczyzna w cienkiej kurteczce tylko na to czekał – jedno, konkretne cięcie ostrym jak brzytwa scyzorykiem i już miał, co chciał.

O trzynastej targowisko zaczęło pustoszeć, postanowił więc wracać do domu. Zadowolony z siebie, po drodze wszedł do sklepu spożywczego po zasłużone piwo. Przy ladzie stała tylko jedna kobieta. Kryła twarz w dłoniach i płakała.

– Wszystko zabrał, całą rentę! – szlochała. – I co ja teraz dzieciom dam jeść? Z czego zrobię Wigilię?

Ekspedientka pocieszała kobietę z litościwą miną.

– Dlaczego ja? Całe życie chodzę na ten targ, nigdy mnie nie okradli! A teraz... i to jeszcze przed świętami! – na nowo zaniosła się płaczem – Nawet nie mam na autobus, żeby wrócić do domu!

Sprzedawczyni wyciągnęła z kasy dziesięć złotych

i wręczyła kobiecie.

– Dlaczego nie okradają bogatych, tylko rencistkę? Ja żyję z pomocy społecznej, mam czworo dzieci, ich ojciec nie żyje, zmarł na marskość wątroby. Ja mam tyle, że mi nawet do piętnastego nie starcza! – kobieta była czerwona od płaczu, na ladzie leżała jej torebka z wyprutą dziurą z boku. – Co ja teraz zrobię? A dzieciaki się tak cieszyły na Gwiazdkę, a teraz nawet karpia nie będzie! Widzi pan, jakie się rzeczy dzieją? – zwróciła się do mężczyzny w lekkiej kurteczce.

Lecz ten odwrócił się i bez słowa wyszedł. Zapomniał już, po co tu przyszedł. Szedł do domu, czując ciężar grubych portfeli pod ubraniem.

Miał zjeść obiad, ale przeszedł mu apetyt. Wyrzucił na kanapę nowe portfele i policzył. Osiem sztuk. Opróżnił je z pieniędzy. W sumie miał dwa i pół tysiąca złotych, to nawet lepiej niż myślał. Ale nie cieszył się. Kobieta ze sklepu popsowała mu humor. Zwrócił uwagę na jeden z portfeli – coś z niego wystawało. Była to zamknięta koperta, pognieciona i zaadresowana do Świętego Mikołaja. Otworzył i przeczytał:

Kochany Mikołaju. Proszę, nie przynos mi w tym roku prezentów. Przynieś mojej mamie zdrowie i pieniądze. Moja mamusia jest bardzo chora, a leki są bardzo drogie. Te leki jej pomagają, ale my nie mamy na nie pieniędzy. Mamusia sprzedała telewizor i komputer, ale starczyło tylko na miesiąc leczenia. Święty Mikołaju, jeśli dasz mojej mamusi pieniądze na leki, to ja obiecuję, że już nigdy o nic nie poproszę. I będę nawet jadł szpinak i grochówkę.

Maciuś

Mężczyzna siedział nieruchomo w fotelu, trzymając w ręku list. Po chwili przykrył gazetą gruby plik

banknotów, który leżał na stole. Nie chciał go widzieć.

Wieczorem niesmak trochę mu przeszedł i postanowił włączyć telewizor. Skacząc po programach, trafił na regionalny kanał. Na ekranie bawiły się dzieci, a napis pod spodem głosił: Zrób prezent na Gwiazdkę dzieciom z domu dziecka. Mężczyzna wpatrywał się w umorusane twarze kilkulatków. Nagle zerwał się i spojrzał na zegarek. Jeszcze nie ma dziewiątej – pomyślał. Jeszcze zdążę.

Pojechał do supermarketu i kupił cały wózek zabawek. Misie, gry, lalki, książki – wszystko to przypominało mu własne dzieciństwo. Wybierając pluszaki, cieszył się jak dziecko. Oczami wyobraźni widział już rozpromienione twarze maluchów z domu dziecka.

W Wigilię z samego rana pojechał taksówką pod wskazany w programie adres. Był podekscytowany. Wyładował bagażnik i z dwoma przepełnionymi workami i walącym sercem przekroczył próg starego budynku.

Spędził tu cały dzień. Dzieciaki, szczęśliwe z prezentów, przytulały się do niego i obsypywały całusami. Siedział w środku na podłodze i czuł się sam jak małe dziecko. Opowiadał bajki, a maluchy patrzyły na niego wielkimi oczami. Miał po raz pierwszy od dawna uczucie, że robi coś dobrego. Kiedy zbierał się już do wyjścia, jedna z dziewczynek pociągnęła go za nogawkę spodni.

– Przyjdiesz jeszcze? – patrzyła na niego niebieskimi oczami pełnymi nadziei. – Przyjdz, będziemy się bawić.

– Tak, przyjdz! – jakiś chłopiec uwiesił mu się na drugiej nodze.

– Przyjdź, przyjdź! – teraz już wszystkie dzieciaki obstały go w koło i zadzierając główki, uśmiechały się do niego.

Zastanowił się chwilę. Dawno już nie czuł się tak, jak dziś. Był... potrzebny. Dziwne ciepło wypełniało jego wnętrze, kiedy patrzył na te dzieci.

– Przyjdę – odparł i wiedział, że nie jest to kłamstwem.

Gdy wracał do domu, w oknach domostw świeciły się choinki. Ludzie właśnie zasiadali do wigilijnej wieczerzy. Spędził wieczór sam, ale były to udane święta. Czuł ciepło w piersiach i nie oddałby tego uczucia za żaden wypchany portfel ani za żadnego Sylwestra w górach.

Agnieszka Turzyniecka



Piotrkowianka, rocznik ‘81. Pasjonuje się językami obcymi i swoją suczką Luną, z którą omawia każdą książkę. Jeśli Luna nie wyrazi aprobaty, poszedł precz najlepszy tekst. Debiutowała w roku 2011 powieścią kryminalną *Kres i zaginiona*. Zdobyła drugie miejsce w konkursie na opowiadanie wydawnictwa Fu Kang – „Wejdź im w słowo”.

Magdalena Witkiewicz

Wszystko będzie dobrze

– Joanko, Wigilia to święto rodzinne. – powiedziała stanowczo ciotka. – Nie będziesz szlajać się po jakichś pubach dwieście kilometrów ode mnie! No, chyba że ja tam z tobą pojedę!

Joanna właśnie miała taki plan. Szlajać się po pubach. Ze znajomymi. Niedawno w wypadku zginęli jej rodzice, była obrażona na Pana Boga, na Wigilię, na Boże Narodzenie. Nie chciała rodzinnych świąt. Te rodzinne już minęły. Były poza nią. Te, kiedy ubrana w sukienkę w czerwoną kratkę uparcie wyglądała pierwszej gwiazdki przez zaparowane okno w jej dzieciennym pokoju. Nigdy nie wróca.

Westchnęła.

– Ciociu, ale oni chcą tam w pubie zrobić Wigilię...
– Joanka była niepokieszona. Miała dziewiętnaście lat, była już studentką, wprowadzie pierwszoroczną, ale zawsze. I te święta wołała przesiedzieć z przyjaciółmi w knajpie, a nie przy stole, niezależnie od tego, czym byłaby zastawiony. Tym bardziej, że Wigilia właśnie była świętem rodzinnym, a jej rodziców nie było. Co prawda wołała myśleć, że gdzieś tam są, ale jednak nadal była zła na Tego, który ich właśnie u siebie gościł, że zaprosił ich tak szybko do siebie, do Nieba. Zatem, skoro była pełnoletnia, miała dowód osobisty i mogła kupować alkohol, to doprawdy czuła się strasznie dorosła i zdecydowała się tej wigilijnej nocy zupełnie tym alkoholem znieczulić. Taki był plan. Zero prezentów, zero sentymentów. Jedynie drinki i to dużo.

– A ci twoi znajomi nie mają rodzin? – zapytała ciotka, nieświadomie przerywając jej planowanie świątecznej libacji. – Gdzie są ich matki, ojcowie? Nikt nie dba o tradycję? Co wy w tym pubie będziecie robić? Ino pić?

– No wiesz... – wzruszyła ramionami Joanna – Ann jest z Australii, a właściwie z Tajlandii, Jurij to ma kiedy indziej Wigilię i powiedział, że na swoją jedzie do domu, a Johnny pochodzi z Kenii. Więc u nich Mikołaj jest Murzynem...

– Murzyn nie Murzyn. – powtórzyła ciotka – A skąd wiesz, że Mikołaj był biały? – zapytała. – Może i był czarny. Albo żółty i skośny. – zastanawiała się – Słuchaj Joanko, zaciekawiłaś mnie. A może byś ich zaprosiła do nas? – zapytała się ciotka. – Posiedzimy, pogadamy... Czekaaj, oni po polsku mówią?

– No trochę... – nieśmiało powiedziała Joanka, ale w jej oczach zamigotały ogniki – Ciociu, a naprawdę mogłabym? – wizja siebie leżącej pod stołem niezbyt ciepłego sopockiego pubu w zimny grudniowy wieczór zaczęła ją z lekka przerastać. I była zdecydowanie mniej sympatyczna niż pobyt u ciotki w Nowym Mieście Lubawskim z tymi samymi przyjaciółmi, z którymi to miała zamiar pijana leżeć pod wspomnianym stołem. – Ciociu, to ja ich zaproszę – uśmiechnęła się i rzuciła się jej na szyję. – Zaraz im powiem!

– Joanko, kochanie. – Matylda starała się ukryć wzruszenie – wiesz, że ja lubię młodych. Co ja sama w Wigilię bym robiła. A tak? I skośnooka będzie, i Murzyn. Wiesz? – oczy się jej zaświeciły – Murzyna to u mnie jeszcze nie było! Nie to, żebym coś miała przeciwko – asekurowała się – bo nie mam, ale nie

spodziewałam się, że na stare lata z Afrykańczykiem będę jeść wieszczę wigilijną. Wnosisz w moje życie powiew młodości, Joanko!

Powiew młodości wyfrunął, a raczej wytoczył się koleją do Gdańska jeszcze tego samego dnia. Najpierw pojechał pociągiem do Ławy, a stamtąd prosto do siebie, rozmyślając i planując Wigilię, by była polska i jak najbardziej tradycyjna. Chciała pokazać gościom wszystko, co najlepsze. Tak, aby każdy zapamiętał te niesamowite dni do końca życia.

To było naprawdę niezapomniane Boże Narodzenie. Do małego mieszkanka ciotki wszyscy przyjechali już w przeddzień Wigilii. Już w pociągu całe towarzystwo było niezłą atrakcją, a co dopiero w małym miasteczku nad Drwęcą.

– Czeń dopry. – powiedział Johnny – My pomóc przyjechali. – uśmiechnął się i tym uśmiechem zaskarbił sobie całą sympatię ciotki.

– Rozgoście się kochani! – jak zawsze serdeczna ciotka witała ich już od progu. – Zabieramy się do roboty! Uszka kleimy! Jurij, chłop na schwał jesteś, zejdiesz zaraz do piwnicy po ogórki!

Wszyscy pomagali, jak umieli, a przy tym miło spędzali czas. Tajka Ann była małomówna, cały czas kiwała grzecznie głową, spoglądając na wszystko swoimi wielkimi oczami. Jurij śpiewał razem z ciotką rosyjskie romanse. A potem już wszyscy śpiewali. Nawet Ann coś nuciła. A Johnny grał na bębnie, który rozpakował z kolorowego papieru w Mikołaje.

– To ja ten present jusz teras dam. – przysunął bęben do ciotki – Pani ciocia postuka bum bum.

Johny śpiewał Silent Night, Jurij to samo po

rosyjsku, Ann nuciła, co chwilę wachając choinkę i sprawdzając, czy na pewno jest prawdziwa, Joanka wołała na cały głos „Cicha Noc, święta noc”, a ciotka bębniła.

Bum, Bum.

Tak zeszło im aż do Wigilii, z małymi przerwami na sen, pomaganie Johnny’emu w klejeniu łańcucha, bo się uparł, że chce mieć prawdziwy łańcuch na „pszeszlicznym tszefku” i na przygotowywanie posiłków. Potraw było więcej niż dwanaście. Najlepszy na świecie karp z cebulką, trzy rodzaje śledzi, ukochane kluski z makiem Joanki. Oprócz tradycyjnych dań było coś jeszcze przygotowanego przez Ann. Wszyscy dzielnie to spróbowali i każdemu smakowało.

Jurij na rogach stołu poukładał czosnek, by odpędzić złe duchy, ciotka pod obrus włożyła sianko, a Johnny cały wieczór bębnił „świętą noc” i błyskał swoimi białymi zębami w promiennym uśmiechu.

Potem wszyscy przy słynnej herbatce ciotki z jedną łyżeczką spirytusu rozpakowywali swoje prezenty.

Radości nie było końca. Johnny i Jurij dostali piersiówki z wygrawerowaną dedykacją, Ann śliczną srebrną biżuterię, Joanka całe pudło książek. Najwięcej prezentów dostała ciotka.

Kwiatowe perfumy od Joanki, śliczną wzorzystą chustę od Ann, hebanową figurkę żyrafy od Johnny’ego i piękny płócienny bieżnik od Jurija.

– Natalia moja wybierała – uśmiechnął się.

To były piękne święta. Johnny w kościele na pasterce w małym miasteczku był wielką atrakcją.

– Odmłodziłam – powiedziała ciotka. Naprawdę, przez te dni odmłodziłam!

– Ciociu, zawsze byłaś młoda – uśmiechnęła się

Joanka.

– No wiesz Joanko... Jak ja sobie pomyślę ile mam lat, to jestem bardzo zaskoczona... – popatrzyła w dal – czuję się dokładnie tak samo, jakbym miała dziewiętnaście...

Joanka wzięła w swoje ręce spracowaną dłoń ciotki. Przytuliła ją do gładkiego, młodego policzka.

– Kocham cię ciociu. – wyszeptwała.

Tego dnia ciotkę kochali przedstawiciele wielu narodów. I Jurij, który tęsknił za swoją Natalią, która dopiero za rok miała przyjechać na studia do Polski i, mimo wielkiej puchowej kurtki i czapki z nausznikami, wiecznie zmarznięty Johnny oraz Ann, która w tym polskim świecie czuła się zupełnie mała, zagubiona i samotna.

Ciotka dała im nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Każdy w to gorąco wierzył.



Całą historię Joanki, jej rodziny i przyjaciół będzie można wkrótce przeczytać w książce, którą wyda Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”.



Magdalena Witkiewicz

Jak pisze na swojej stronie (www.magdalenawitkiewicz.pl) – Matka Polka Biznesmenka. Gdańszczanka z urodzenia i zamiłowania. Prowadzi firmę, wychowuje dwoje dzieci, a w międzyczasie (mimo iż tego międzyczasu jest bardzo niewiele) pisze książki. Napisała ich już cztery i pół. I jeszcze kawałek piątej, i szóstej... Oraz jedną dla dzieci. I trzy wierszyki oraz pełno opowiadań o miłości. Chciałaby, by doba była bardziej rozciągliwa, wtedy byłby czas również na inne rzeczy...

Analitik marketingowy z wykształcenia, pisarka z zamiłowania. Jej *Milaczek* oraz *Panny Roztropne* poprawiły humor wielu czytelniczkom. *Cofnąć Czas*, książka nieco bardziej refleksyjna ukaże się na początku przyszłego roku w wydawnictwie Świat Książki, natomiast *Ballada o Ciotce Matyldzie*, której fragmentem jest opowiadanie *Wszystko będzie dobrze*, zostanie wydana przez Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”.

Książki Magdaleny Witkiewicz poprawiają nastrój. Są lekiem na deszcz za oknem i nieco smutniejsze dni. Jak mówi pisarka, jej książki zawsze kończą się dobrze. Niezależnie jakie przeciwności losu napotykają bohaterów na swojej drodze – zawsze potem żyją „długo i szczęśliwie”.

Podaruj sobie trochę uśmiechu!

Profil na FB:

<http://www.facebook.com/witkiewicz>

Anna Rybkowska

Elfy są na świecie

Mój synek wrócił ze szkoły bardzo rozczarowany i zły.

– Chłopaki mieli figurki, lego i samochody, a ja? Ja dostałem jakiegoś głupiego pampra!

Szkoła miała wieloletnią tradycję, polegającą na tym, że wszyscy pracownicy i uczniowie, którzy się w niej uczyli, każdego roku dawali sobie prezenty na Mikołajki.

W tym celu losowali nazwisko i dane (kim jest lub do jakiej klasy chodzi) delikwenta do obdarowania i zaczęli myśleć o upominku. To było bardzo przyjemne, bo wiadano, że każdy powinien prezent otrzymać. Rzecz cała polegała na rytuale szykowania. W założeniu miało być coś niewielkiego, za góra dwadzieścia złotych, a najbardziej liczył się w tym pomysł i opakowanie.

Dlatego od połowy listopada, w holu szkoły pojawiał się ogromny parciany wór z napisem: „Mikołajki” i wiadomo było, że należy tam złożyć swój przygotowany dla kogoś prezent. Wcześniej odbywało się losowanie i ruszała cała zabawa. Tę karteczkę z nazwiskiem wylosowanej osoby należało potem zawiesić lub podpiąć do paczuski, żeby wszystko się zgadzało. Oczywiście, cała procedura przebiegać miała anonimowo. Ale jak zwykle, pomysł bywał lepszy od wykonania, które zazwyczaj... nieco szwankowało. Bo dzieciaki rozpowiadały czasem kogo wylosowały, zwłaszcza, jak to był nauczyciel. Poza tym niektórych nie stać było na prezent. Po prostu, nikt z ich rodziców się nie interesował, więc zawstydzone

dawały jakąś starą zabawkę lub drobiazgi albo jakieś śmieci.

Zdarzyła się też paczka z... owiniętym w gazetę kamieniem. A ponieważ przykro było wylosować właśnie coś takiego, zwłaszcza, jak dawało się coś zabawnego i fajnego od siebie, w sprawę wkroczyła rada rodziców i zaczęto cenzurować zawartość paczek. Do tych zbyt skromnych dodawano słodczyce, a niektóre podmieniano, aby nikt nie poczuł się urażony, czy pokrzywdzony. W tym celu Rada gromadziła cały rok fundusz specjalny i reklamowe gadżety, które potem trafiały do tych niefortunnych prezentów.

Była z tym związana dodatkowa praca i wolontariat rodzicielski kwitł na potęgę, starając się by wszyscy obdarowani mieli się z czego cieszyć. Idea, jak to się często zdarza, nieco na wyrost, bo w praktyce okazywało się, że rzeczywistość trochę ją przerasta.

Niezrażeni niepowodzeniami, każdego roku chcieliśmy by ten czas przed Bożym Narodzeniem był inny. Nie tylko za sprawą rozbrzmiewających wszędzie kołęd oraz faktu, że oto w sklepach pojawiało się mnóstwo nietypowych towarów, jak susz owocowy, wiele rodzajów orzechów, bakaliowe słodkości, marcepany i ciasta typowo zimowe, jak wszelkiego rodzaju pierniki, a także grzyby i świece o zapachu świąt.

Zapach świąt... Nagle wszyscy byliśmy dla siebie mili, uśmiechnięci, mimo zamieszania związanego z tą bożonarodzeniową celebrą. Każdy znajdował czas na układanie ozdób, szykowanie świeżych gałązek świerkowych, girland zawieszanych na drzwiach i w mieszkaniu.

Na duszy robiło się od razu przyjemnie bo i czas był

jakiś inny. Zdecydowanie mniej agresywny, pozbawiony zwykłego pośpiechu.

Błyskało nam wokół marzeniami, dobrocią i ciepłem. Wosk topił się na świeczkach, a łzy wzruszenia coraz częściej gościły w naszych oczach. Lubimy być dobrzy. Wszak tylko te święta przypominają nam o dzieciństwie i magii.

– Pokaż tego nieszczęśnika – zaproponowałam obrażonemu synowi.

W paczce był elf z drewnianą główką i szmacianym korpusem. Miał zawadiacko nasuniętą na oko czapeczkę i pasiasty kubraczek, a nogi dyndały mu nienaturalnie długie, zakończone śmiesznymi pantoflami z pomponikami.

– Widzę tu bardzo wesołego elfa – powiedziałam oglądając delikwenta – powinieneś się cieszyć, bo to dobry duszek świąt.

– E tam... Elfy nie istnieją, to tylko głupie bajdy dla smarkaczy i tyle!

– Dlaczego tak mówisz?

– Może nie mam racji? Zajączka też nie ma, ani Wróżki Zębuszki! To tylko ty albo tata szykujecie prezenty i jak myślicie, że śpię albo nie widzę, podsuwacie, że niby zajączek przykicał! Też coś! Macie mnie za jakiegoś idiotę?

Zrobiło mi się bardzo przykro i smutno. Pryśł czar, którym lubiłam się otaczać. A moje dziecko nagle wyrosło.

– Kto ci to powiedział? – spytałam lękliwie.

– Nikt nie musiał mówić. Jestem już w piątej klasie, ile można udawać?!

– A ja wierzę w elfy, mimo, że to dla ciebie takie

głupie – powiedziałam – bo wiara w elfy to tęsknota za dzieciństwem i tym, czego właśnie na własne życzenie, tak bez żalu chcesz się pozbyć. Nie pomyślałeś dlaczego to jest taki wyjątkowy czas?

– Wszyscy na parę dni chcą być lepsi niż są. Ale po świętach jest znowu tak samo.

Pomyślałam o politykach i ich dzieleniu się opłatkiem... O tych wspólnych wieczerzach w miejscach pracy. O składaniu sobie życzeń. A przy okazji dzwonieniu do kogoś po roku czasu, żeby potem znowu zamilknąć na kolejne dwanaście miesięcy.

– Niby masz rację. Ale to zależy również od nas, na jak długo nastrój świąteczny zagości w domach, wśród przyjaciół. Tego nie można kupić w markecie. To jest w nas samych. Między innymi wiara w elfy pomaga nam co roku odnaleźć w sobie dziecko. A ty bez żalu postanowiłeś się tego pozbawić. Dlaczego? Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że każdego roku cieszymy się z narodzin kogoś, kto już dawno umarł, został pochowany i dla wielu z nas jest tylko rzeźbą, pomnikiem na cmentarzu... siłą tradycji.

– To co innego. Pan Jezus zmartwychwstał. Ale sama wiesz, że elfy i te inne bzdety to tylko zabobony i nie powinno się w nie wierzyć.

Nie miałam ochoty na polemikę z małym buntownikiem, który zdecydował się na dorosłość. Pomyślałam, że dąży do tego, co mi ostatnio bardzo doskwiera. Ale jak go przekonać, że warto podtrzymywać w sobie marzenia i wiarę w rzeczy nadprzyrodzone choćby po to, by życie nie wydawało nam się takie pragmatyczne i płaskie.

– Zabobony to co innego. Masz słuszność. Tylko ja

mówię o fantazji, takiej ułatwiającej życie i pomagającej nam wytrzymać ciężkie chwile. Widzisz, elfy to pozytywne duszki, a święta to czas dobrej nadziei. Ludzie chcą się zmienić. Nie zawsze się to im udaje, ale przecież trzeba próbować. Ciągłe od nowa wzbudzać w sobie chęć do pozytywnych zmian. I jeśli coś się nie powiedzie, nie zniechęcać się od razu, tylko robić swoje. Znakiem nadziei może być zielona gałązka z lasu, którą zawieszamy w widocznym miejscu, żeby cieszyła, nie tylko widokiem ale i zapachem, A może to być także mały, śmieszny elf, którego ktoś ci podarował, bo chciał, żebyś się uśmiechnął. Nie można żyć tylko tym co niezbędne, przydatne i konieczne. Co mają inni. Lego znajdziesz być może pod choinką, ale teraz razem z tym zabawnym ludzikiem możesz czekać na wspaniały przedświąteczny czas.

W tym momencie przyszła do nas nasza kotka, otarła się główką o nogi syna, z cichym mruzeniem wpakowała mu się na kolana i zaczęła skrzętnie udeptywać.

– Zauważyłeś, że im większy kot, tym ciszej mruczy? Najgłośniejsze są maluchy!

Mój syn uśmiechnął się, jakby nagle zrozumiał o co chodzi.

– Koty właściwie też nie są do niczego potrzebne. Pełnią, jak kiedyś powiedziałaś „funkcje ozdobne” i nic więcej. Tyle czasem z nimi kłopotu, a pożytek żaden!

– Nie złość się już. Ktoś podarował ci uśmiech i kawałek serca. Samochody i figurki przemijają, a emocje są z nami zawsze i być może ten elf przetrwa całe mnóstwo mód i zabawek, a kiedyś trafi na choinkę, którą będziesz ubierać razem ze swoimi dziećmi.

– A ty będziesz babcią, która nosi okulary i opowiada wnukom bajki?

– Taka jest kolej rzeczy i nie ma się co buntować. A Boże Narodzenie to magiczny czas, nie zamykajmy drzwi przed cudami, czekajmy na nie...

Podał mi kotkę, popatrzył na elfa, wziął go do ręki i poszedł do swego pokoju. Kiedy wołałam go na obiad, zauważyłam, że elf znalazł na jego biurku miejsce, tuż obok kaktusa i dinozaurów.

Anna Rybkowska



Poznanianka, studiowała kulturoznawstwo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Pisze od dwunastego roku życia i ma na koncie kilka siatek z zeszytami, w piwnicy rodziców... Debiutowała opowiadaniem *Dziad i baba*, które zdobyło wyróżnienie w konkursie na nowelkę „Expressu Poznańskiego”. Pewnym sukcesem była pierwsza nagroda za opowiadanie „Szczęśliwego Nowego Roku” w konkursie literackim „Głosu Poznańskiego”. W roku 2009 wygrała Igrzyska Literackie Wydawnictwa Red Horse i ukazała się jej debiutancka powieść *Nell*. Jej kontynuacja pt. *Jednym tchem* wydana przez Lucky ujrzała światło dzienne w lipcu 2011 roku, a niebawem pojawi się *Zwolnij kochanie*. Mieszka w swoim rodzinnym mieście, z mężem, czwórką dzieci i dwiema kotkami o pokrętnych charakterach. Uwielbia słuchać muzyki, czytać nieswoje książki i jest prawdziwą fejsbukową maniaczką!

Karolina Wilczyńska

Ale on o mnie pamięta...

Wigilijny wieczór ma w sobie coś niezwykłego. Zawsze wydawał mi się piękny, pełen magii i tajemnicy. Czekałam na pierwszą gwiazdkę, a później, o północy, z niecierpliwością wyteżałam słuch w nadziei, że mój gruby, rudy kocur wreszcie powie coś ludzkim głosem. Każdego roku udawałam, że za rok na pewno się odezwie. Od kilku lat nie ma już ze mną kocura. Cóż, kocie życie jest krótsze niż ludzkie. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale dopiero kiedy go zabrakło zrozumiałam, dlaczego to półzartobliwa wiara w wigilijne przemowy zwierząt miała dla mnie takie znaczenie. Po prostu dawała nadzieję. Nadzieję, że kiedyś w wigilijny wieczór usłyszę choć jedno ludzkie słowo. Teraz tej nadziei już nie mam. Mam za to pewność, że te i wszystkie kolejne święta mojego życia spędzę samotnie.

A przecież wychowałam tylu młodych ludzi. Tyle dzieci. Nie swoich co prawda, ale często to właśnie ze mną spędzili więcej czasu niż z własnymi rodzicami. Co robią teraz? Jak żyją? Czy są szczęśliwi? W ciągu roku nie myślę o nich tak często, staram się nie pamiętać, nie mieć pretensji. Wigilia to jednak szczególny dzień. Trudno poradzić sobie z samotnością. Może dlatego co roku w przeddzień Bożego Narodzenia wspomnienia wracają? Przeglądałam wtedy stare zdjęcia, patrzę na twarze, które tak doskonale pamiętam i wspominam...

To zdjęcie z akademii, którą organizowałam. Wszystkim się podobała, a od dyrektora dostałam nawet nagrodę. Nie ona jednak ucieszyła mnie najbardziej. Nie

robiłam tego wszystkiego dla pochwał. Robiłam to dla nich. Dla Kasi, która recytowała tak pięknie, że aż serce biło mi mocniej, dla Jacka, który był niezrównanym aktorem. On posłuchał moich rad, zdawał do szkoły teatralnej. Został aktorem. Początkowo grywał niewielkie role w teatrze w naszym mieście, później szło coraz lepiej. Byłam na wszystkich premierach. Czułam się szczęśliwa, że to dzięki mnie, że to ja nim pokierowałam, trochę nawet wbrew woli rodziców, którzy w zawodzie aktora nie widzieli nic dobrego. Teraz widuję Jacka w telewizji, prowadzi różne programy. Jest zawsze zadowolony i uśmiechnięty. Gdy to widzę i ja się uśmiecham. Z Kasią za to nie poszło mi tak dobrze. Zaraz po maturze wyszła za męża choć namawiałam ją na studia. Widziałam ją kilka lat temu. Szła z dwójką dorastających dzieci. Wracali chyba z zakupów. Nie poznała mnie.

O, a tutaj mam zdjęcie z rajdu rowerowego. Tak, dawno temu bardzo lubiłam takie wycieczki. Do tej pory sądzę, że ruch na świeżym powietrzu to podstawa zdrowego życia. Odkąd jestem za stara na jazdę na rowerze, staram się spacerować. Każdego dnia. Coraz krótsze te moje spacerki, ale wydaje mi się, że gdybym przestała wychodzić to czułabym się jak martwa. Moich wychowanków zawsze zachęcałam do sportu. Prowadziłam szkolne kółko krajoznawcze, a to zdjęcie jest właśnie z jednej z naszych wspólnych wypraw. Ten na przedzie to Krzysiek. Nie zapomnę go do końca życia! Największy łobuziak, jaki trafił mi się w całej nauczycielskiej karierze. Nie mogliśmy dać sobie z nim rady. Bez przerwy psocił, wszędzie było go pełno. Od nauki wołał sport i zabawę. Był zdolny, miałby dużo lepsze wyniki, gdyby tylko zechciał. Nie ma jednak co narzekać, bo słyszałam, że

prowadzi własną firmę i doskonale mu się powodzi.

Mnóstwo tych zdjęć, kilka pudełek. Całe moje życie utrwalone na niewielkich czarno-białych kawałkach papieru. Teraz zdjęcia są kolorowe i dużo lepszej jakości.

Może życie też takie jest? Mnie, starej, samotnej kobiecie muszą wystarczyć te, które mam. To okienka do moich wspomnień. Pomagają, kiedy zawodzi pamięć... Oglądam je i wszystkich pamiętam. Oni jednak nie pamiętają mnie. Mam do nich o to żal. Żal, który ukrywam na dnie serca i przez cały rok spycham w mroki niepamięci. W Wigilię jednak mogę się do niego przyznać.

Poświęciłam im całe swoje życie. Szkoła była dla mnie domem, a oni moimi dziećmi. Robiłam wszystko, aby rozwijali swoje zainteresowania, wielu z nich wskazałam drogę. Organizowałam zajęcia, pomagałam poznawać świat. Ilu żali wysłuchałam, ilu zwierzeń o nieszczęśliwej miłości! Tak, wtedy do mnie przychodzili. A ja pocieszałam, robiłam gorącą herbatę... Żyłam dla nich i do głowy mi nie przyszło, aby myśleć o sobie. Moim powołaniem, celem w życiu było wychowywanie młodych ludzi na dobrych, mądrych dorosłych. Dawałam im wszystko, czego nie mieli we własnych domach.

Kasia, Krzyś, Jacek i wielu innych... Poszli w świat i zapomnieli o swojej starej nauczycielce. A powinni pamiętać. Odwiedzić choć raz w roku, w Wigilię. Tyle chyba mogłabym od nich wymagać za to wszystko, co robiłam dla nich. Pozostała mi tylko pustka i wspomnienia. I jedna kartka świąteczna. Dostaję jedną świąteczną pocztówkę każdego roku. Jedną! Tylko jedną! *Moc życzeń z okazji Świąt Bożego Narodzenia przesyła wdzięczny za trud nauczycielskiej pracy i wychowania*
Tomasz B.

Powinnam się pewnie cieszyć, że choć jeden z nich o mnie pamięta. Ktoś mógłby powiedzieć, że to właśnie dla tej jednej kartki warto było się poświęcić. A ja na tę pocztówkę wprost patrzeć nie mogę! Przez nią mój żal jest jeszcze większy, a poczucie, że źle przeżyłam życie potęguje się. Żyję nadzieją, że w kolejnym roku on nie przyśle już kartki, że zapomni. A jednak zawsze pamięta.

Mam cały stos kartek od niego. Znajduję je w skrzynce od wielu lat. Pocztówki od człowieka, który dziękuje mi za trud jaki włożyłam w jego wychowanie, od człowieka, dla którego byłam kimś ważnym w życiu. Kimś o kim się nie zapomina... A ja nie wiem kto to jest! Nie pamiętam go wcale. To jeden z tych tysięcy uczniów, którzy nie wyróżniają się niczym, o których zapominałam kiedy tylko ukończyli szkołę. Tylko on o mnie pamięta. Jakiś uczeń...

Karolina Wilczyńska



Urodzona w 1973 r. zodiakalna Panna i numerologiczna jedenastka. Przynajmniej przede wszystkim kobieta, ze wszystkimi zaletami i wadami tej płci. Prowadzi podwójne życie – w jednym jest prezesem własnej fundacji, trenerką, terapeutką i wykładowcą uniwersyteckim, w drugim – żoną, matką nastolatka i właścicielką jamnika z charakterem. Posiada dar nieograniczonego rozciągania czasu i dzięki temu w wolnych chwilach haftuje, ozdabia przedmioty techniką decoupage'u i tworzy biżuterię, rozmyślając przy tym o rzeczach ważnych i błahych.

Uwielbia słońce i bursztyny, nie znosi chamstwa, bezmyślności i braku tolerancji. Z niegasnącym zainteresowaniem słucha ludzkich historii. Napisała i wydała: *Performens* (2006, Wydawnictwo Autorskie). *Ta druga* (2011, Wydawnictwo Replika)

<http://www.facebook.com/pages/Ta-druga-Karolina-Wilczyńska/205858452805864>

Strona internetowa:

www.karolinawilczynska.eu

Profil na FB:

<http://www.facebook.com/profile.php?id=1377923699>

Michał Stonawski

Najcenniejszy prezent

Monety zbrzęczały, wpadając do kapelusza starszego człowieka, zebrzącego na rogu Floriańskiej i Tomasza. Tabliczka na szyi, informująca o chorobie syna, zakołysała się, gdy mamląc coś pokłonił się nisko. Przystanąłem. Po chwili namysłu, wyciągnąłem jeszcze dziesięć złotych i wrzuciłem w ślad za resztą pieniędzy. Było zimno, a poza tym zbliżała się Wigilia. W takich chwilach człowiekowi mięknie serce. Nawet jeśli staruszek kupi sobie za to flaszkę wódki, nie będę miał wyrzutów sumienia. A poza tym zobowiązywała mnie profesja. W dzisiejszy wieczór jestem Mikołajem.

Nie pamiętam, co mnie pchnęło, wtedy – cztery lata temu, by zapisać się do agencji. Chyba chciałem zrobić niespodziankę dziewczynie. No i byłem pijany. Fakt faktem, że robota była opłacalna i od tego czasu co rok, w Wigilijny wieczór odwiedzam parę domostw z wielkim workiem zabawek, przebrany za grubasa z białą brodą. Wyciągam od trzech, do czterech stów za wizytę. Jest to wystarczająca suma, bym błąźnił się przez te parę godzin. Stać mnie później na odrobinę luksusu, o której nie mógłbym nawet marzyć z mojej zwykłej pensji agenta ubezpieczeniowego. No i miło czasem zobaczyć uśmiech wdzięczności, zamiast grymasu na twarzy klienta, od którego wyciągam pieniądze.



W tym roku wigilijna pogoda była dosłownie jak z bajki. Jakby na złość telewizyjnym prognozom zapowiadającym Halny, słońce i plus pięć stopni, oraz zielonym ludzikom z Greenpeace, nawet w święta dręczącym ludzi globalnym ociepleniem, z samego rana zaczął padać śnieg, a temperatura spadła do minus dziesięciu stopni. Do wieczora biały puch pokrył wszystko, a krakowskie śródmieście rozświetliło się kolorowymi lampkami. Pojawił się tradycyjny, pachnący ziołami, grzaniec a pod pomnikiem Mickiewicza zebrał się tłumek, słuchając kolęd śpiewanych przez jakiegoś mężczyznę o operowym głosie.

Podpierając się pastorałem, obdarzany co jakiś czas uśmiechami ludzi, przeszedłem przez Floriańską na Planty. Tam obskoczyła mnie gromadka dzieci. Po krótkiej szamotaninie (w której prawie straciłem brodę) udało mi się przedrzeć do czekającej na mnie w Alejach taksówki. Wrzuciłem do bagażnika pusty wór i usiadłem obok kierowcy.

Artur, opłacony przez agencję kierowca pod sześćdziesiątkę, uśmiechnął się szeroko, obnażając popsute zęby. Ruszyliśmy, włączając się w uliczny korek.

– I jak poszło?

Westchnąłem.

– Daj pan spokój. Dzieciaki prawie mnie zjadły. W dodatku rodzice bogaci. Gówniarze grymasiły, awanturowały się, że nie takie zabawki, jak chciały... rodzice rzecz jasna zakłopotani. Kiedy ojciec podawał mi prezenty przed kamienicą, mówił, że będą się im na pewno podobać. Zrobiłem swoje i ewakuowałem się czym prędzej.

– No to chujowo, panie – spuentował. Korzystając z tego, że bardziej staliśmy, niż jechaliśmy, sięgnął do

schowka, wyciągając paczkę czerwonych Marlboro. – Papieroska?

Wyciągnąłem jednego, drugą ręką zdejmując sztuczną brodę. Taksiarz podał mi zapalniczkę.

– Ratuje mi pan życie – mruknąłem, podpalając szluga.

Zaciągnąłem się, czując, jak wraca dobre samopoczucie.

– To gdzie jedziemy teraz?

Sięgnąłem ręką do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjmując pogiętą kartkę. Rozprostowałem ją palcami.

– Osiedle Kurdwanów. Jakaś biedna rodzina z piątką bachorów. Miasto ufundowało im drobne prezenty.

– To ten drugi wór, co żeś pan pakował, ta? – Kierowca wypuścił w moją stronę kłęb dymu. Przez woń tytoniu przebijał się intensywny smród niemytych zębów. Odsunąłem się nieznacznie.

– Tak, to ostatnie miejsce dzisiaj. Potem odwiezie mnie pan do domu i będzie pan wolny.

Burknął coś z niechęcią o swojej żonie, ale nie słuchałem. Akurat dojechaliśmy do świateł i korek się przzerzedził. Z udanym zainteresowaniem wpatrzyłem się w krajobraz za oknem.

Po przejechaniu przez Most Grunwaldzki skręciliśmy w lewo. Kamienice zniknęły, zamiast tego pojawiły się domki, a w następstwie na horyzoncie zamajaczyły zwaliste bryły bloków. Wkrótce też wjechaliśmy między nie, a ja z bliska mogłem podziwiać wątpliwe piękno komunistycznej architektury. Osiedle było opustoszałe.

Wszyscy siedzieli w domach, przygotowując, lub spożywając wigilijną kolację. Trudno tu było jednak

poczuć magię świąt (jeśli takowa jeszcze w ogóle istniała). Ot, parę światełek na wystawach, gwiazdki na paru balkonach. Gdzieniegdzie zauważyłem pojedynczych kiboli w odświeżonych dresach, nawet w ten dzień noszących szaliki swojego klubu. Zatrzymaliśmy się pod jednym z największych wieżowców. Założyłem brodę.

– No, to idę – poinformowałem o tym oczywistym fakcie, nawet nie wiem po co. Przez gardło nie przeszłoby mi serdeczne pożegnanie w stylu „Do zobaczenia”. Nie chciałem widzieć więcej tego typu.

Z bagażnika wyjąłem ciężki wór i zarzuciłem go na plecy. Zwykle w takich okolicznościach dzwonię po jednego z rodziców, lub wysyłam dyskretne esemesa. Ojciec lub matka schodzą, niby to do auta, niby, że zapomnieli czegoś. Wkładają mi do wora zabrane ukradkiem prezenty i wracają. Czekam pięć minut, dzwonię do drzwi i zaczyna się szopka. „Ho, ho, ho, czy są tu grzeczne dzieci?”. Tym razem było inaczej. Po pierwsze, prezenty już miałem, po drugie rodzice nie mieli komórek.

Wchodząc na klatkę schodową zastanawiałem się, po cholere płodzić tyle dzieciaków, skoro nie można zapewnić im odpowiedniego bytu? Albo rodzice są nieodpowiedzialni, albo są z tych, co uważają, że antykoncepcja to zło. Nie wiem, co gorsze.

Przeszedłem przez śmierdzącą szczykami klatkę schodową i wszedłem do jeszcze bardziej śmierdzącej windy. W kącie leżało gówno. Woląłem myśleć, że to sprawka psa. Tak było bezpieczniej.

Winda zatrzęsała i ruszyła z mozołem na szóste



piętro. Skrzypiąc, jakby się zaraz miała rozpaść. Wreszcie dotarłem na miejsce. Mieszkanie było opatrzone numerem sześćdziesiąt cztery. Poprawiłem brodę i przyglądziłem strój. Zastukałem głośno pastorałem. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich mała, najwyżej czteroletnia dziewczynka, mająca na sobie jedynie bluzeczkę i dziurawe rajtki. Palec wskazujący trzymała w ustach, ssąc go zapamiętale.

– Witaj, dziewczynko! – Zacząłem gromkim głosem. – Czy są w tym domu grzeczne dzieci?

– Jestem głodna – oświadczyło dziecko.

– Ho, ho, ho! Mam cukierki i czekoladki, jeśli byłaś grzeczną dziewczynką, a widzę, że byłaś, dostaniesz trochę!

– Nie byłam – oświadczyła mała, odwróciła się na pięcie i pobiegła w głąb domu.

Przyznam, to mnie trochę zbiło z tropu. Wkroczyłem jednak do środka, rozglądając się uważnie.

Bałagan, to przy tym, co zastałem, mało powiedziane. Wszędzie walały się papierki, stare gazety i fragmenty ubrania. Przy wieszaku stało chyba ze dwadzieścia par butów w różnym stopniu zużycia. Najbliższe pokoje były pozamykane, ale zza drzwi czuć było przykrą woń starych skarpetek.

Dziewczynka znów się pojawiła, ciągnąc za sobą okrągłą kobietę o rumianej twarzy. Ta zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Nie wiem czemu, ale ciarki przebiegły mi po plecach. Uśmiechnęła się wreszcie, jak gdybym przeszedł jakiś test, z którego wyniku była zadowolona.

– Mikołaj! Czekaliśmy na pana. Proszę, proszę za mną!

Za rogiem mieścił się salon. Przy jeszcze nie

zastawionym stole, siedziała cała rodzina; tęgawy ojciec z czarną, przetykaną siwizną brodą i czwórka dzieci w wieku od piętnastu do trzech lat. Dziewczynka podbiegła do nich i zajęła swoje miejsce na krześle. Stałem w progu.

– Ho, ho, ho, witajcie! Przynoszę wam piękne prezenty! Czy zastałem tu grzeczne dzieci?

Podszedłem do kanapy pod ścianą, rejestrując po drodze natarczywe spojrzenia dzieci. Wydały mi się... łakome. Jak gdybym niósł na plecach nie prezenty, ale pachnące pieczywo. Usiadłem.

– No, to kto pierwszy? Może ty, dziewczynko? – Zwróciłem się do małej, która otworzyła mi drzwi.

Z wahaniem, ale podeszła. Usadowiła się na moim kolanie i wyczekująco spojrzała mi prosto w oczy. Coś było w tym spojrzeniu, czego nie mogłem zidentyfikować. Nagle zapragnąłem jak najszybciej stąd wyjść.

– Jak masz na imię? – Spytałem, siląc się na spokój.

– Klaudia.

– Klaudio, czy byłaś grzeczna w tym roku?

Zza stołu zerwał się ojciec. Mruknął, że przeprasza na chwilę i zniknął w kuchni. Pewnie poszedł po pieniądze. Będę musiał mu to jakoś wyperswadować. Za to zlecenie płaciło mi miasto.

Schyliłem się do worka i wyjąłem stamtąd blondwłosą lalkę. Dosyć kiczowatą, szczerze mówiąc. Akt dobroci ludzkiej ze zbiórki w sklepach. Na nodze była jeszcze metka: trzy złote, dziewięćdziesiąt dziewięć groszy.

Dziewczynka wzięła lalkę i cisnęła ją w kąt. Obiema rączkami złapała mnie za palec i wgryzła się w niego z całej siły. Krzyknąłem, podrywając się na równe nogi. Mała wisiała u mojej ręki jak groteskowy brelok. Zacząłem

nią wymachiwać, chcąc strząsnąć dzikuskę. Puściła, a ja z niedowierzaniem spojrzałem na rozszarpany palec. Paznokciec znikł, a krew obficie kapiała na podłogę.

W tym momencie cała rodzina wstała. Wszyscy mieli na twarzach wielkie, zimne uśmiechy. Łakome spojrzenia omiały mnie jedno po drugim. Zrozumiałem, co się dzieje tuż przed tym, jak ojciec wyszedł z kuchni z wielką siekierą w dłoni.

Rzuciłem się ku drzwiom, z gardła wyrwał mi się ni to skrzek, ni to bulgot.

Za późno.



Klaudia beknęła i poklepała się po lekko wzdętym brzuszku. Takiej kolacji nie jadła od roku. Szczególnie smakowały jej paluszki w galarecie i barszcz z uszkami. Pieczeń jednak była z tego wszystkiego najlepsza.

Uniosła się na krzesło i czule pocałowała ojca w policzek.

Kraków, 4 listopada 2011

Michał Stonawski



Krakowianin, rocznik '91. Bibliofil, zastępca redaktora naczelnego dwumiesięcznika fantastyczno-kryminalnego *Qfant*, publicysta, krytyk literacki i autor opowiadań. Pisać zaczął mając lat osiem i – mimo licznych przeciwności losu – niechy ten proceder uprawia dalej, ani myśląc skończyć. Debiutował opowiadaniem *Wyrok* w antologii *Horyzonty Wyobraźni 2010*, od tego czasu publikując zarówno na papierze i w Internecie. Zakochany bez pamięci w swoim mieście, maniak herbaty Earl Grey, nieszablonowego myślenia i podróżowania. Najlepiej bez mapy, planu, pieniędzy i jakiegokolwiek celu.

Oficjalny blog autora:

<http://cedrik.sf-f.pl/blog/>

Katarzyna T. Nowak

Nie zabieraj nam Stefana

Swego czasu karpie na Wigilię kupowało się żywe. Pływały biedne w plastikowym basenie, wystawionym na bazarze. W moim domu zwykle jeździł po nie ojciec, tak może dzień przed Wigilią. Mama napuszczała do wanny wodę i tata wpuszczał tam piękne, dorodne karpie. I liczyli: ten i ten do smażenia, tamte do pieczenia, a pozostałe w galarecie i po żydowsku. Moja siostra i ja miałyśmy zakaz wstępu do łazienki. Koty rodziców też. Ale podobnie jak ich, żaden zakaz nas nie ograniczył.

– Karpie pływają w wannie! – wołała podekscytowana moja młodsza siostra -
chodźmy je zobaczyć!

W łazience, na brzegu wanny siedziały koty i usiłowały wyłowić rybkę. Widok nie był przyjemny. Wyrzucałyśmy je na chama z łazienki, by nie robiły krzywdy naszym rybom.

– Jak je nazwiemy? – pytała siostra.

– Ten duży to Stefan – proponowałam. – Mniejszy może być Adamem, a reszta?

– Stefan koniecznie, tak ma na imię mój narzeczony z klasy, a pozostałe może Marek, Paweł, Adam? – sugerowała, próbując pogłaskać pływającego karpia.

– Dobra, tylko nie zapomnij, jak który ma na imię!

W dzień Wigilii tata – dzierząc w dłoni tasak, odziany w stary dres – szedł do łazienki.

Niestety, nie spodziewał się zmasowanego ataku.

I to nie ze strony karpia.

– Jak ruszysz Stefanka, to koniec z nami! – krzyczała zapłakana siostra.

– Won od Marka, Pawła, Adama i Stefana! – wołałam rozpaczliwie, całym ciałem zasłaniając wannę.

Zaciekawione koty przyszły nam z odsieczą.

– Chcecie kolację wigilijną czy nie? – spytał wściekły ojciec.

– Chcemy! – zawołałyśmy. – Ale bez naszych przyjaciół.

– Właśnie! – oznajmiła histerycznie siostra, wrzucając do wanny karmę dla rybek.

– Wyjdźcie stąd, przecież to karpie na kolację, przestańcie odstawiać teatr – włączyła się mama.

– Stefana nie oddamy! – krzyknęła siostra i w ubraniu weszła do wanny.

Wśród ryb zawrzało.

– Wyłaż – powiedziałam. – One się ciebie boją.

– Ale nie wolno zabić naszych kolegów! – kontynuowała, gramoląc się z wanny.

Biedne karpie już ledwo dychały.

Ojciec stał z tasakiem, matka wzdychała, z siostry woda lała się na podłogę, ryby pływały a ja zatarasowałam całym ciałem drzwi od łazienki.

– Nic z tego! – wrzasnęłam. – Róbcie ale... ziemniaki, no!

Po kilku godzinach walki, obie z siostrą, uspokojone solidną obietnicą rodziców, że naszym nowym zwierzakom nic się nie stanie, poszłyśmy spać. Po owych kilku godzinach radośnie popędziłyśmy do łazienki. Nie było ani Stefana ani Adama ani Pawła. Nawet wody nie było.

Po wigilijnym barszczu mama podała na stół między

innymi Stefana, ale w innej formie. Siostra zaczęła płakać.

– Nie zjem narzeczonego – powiedziała. – Wy mordercy.

– To ja też nie – dodałam, choć Stefan czy też Adam wyglądał i pachniał o wiele lepiej niż w wannie.

W końcu wzięli nas... głodem. Schowali wigilijną kapustę i czekali.

– No już dobrze – westchnęłam – dajcie Adama.

Tu siostra uderzyła w jeszcze większy płacz.

– Czekał, nie płacz, jak go zjemy, to on będzie w nas – powiedziałam delikatnie.

– Seriooo? – spytała pociągając nosem.

I tak zjadłyśmy naszych przyjaciół.

– Od tej pory żadnych żywych ryb w tym domu – oznajmiła matka. – Żadnych tasaków. I żadnych akcji protestacyjnych w łazience.

I rzeczywiście. Więcej nie zobaczyłam pływającego Stefana w wannie.

Tylko raz, przy kolejnej wigilijnej kolacji, siostra spytała:

– A ten, ten taki przepyszny pieczony kawałek, to na pewno nie jest...?

– Nie, kochanie – ukrócił rozmowę ojciec. Bez tasaka w dłoni. – To po prostu ryba, jasne?

– Jasne – oznajmiła siostra, zjadając kolejny kawałek – A Stefanek i tak będzie w mojej pamięci. Mogę prosić o dokładkę?

– Stefanka, Adama czy Pawła? – zapytał nieco złośliwie ojciec.

– Kogo? Mój narzeczony ma na imię Rysiek – zdziwiła się, wyciągając ość z ust.

Teraz wszyscy zaczęliśmy płakać. Podjadając Rysia

w galarecie. Ale ona o tym nie wiedziała...

Katarzyna T. Nowak



Krakowianka, dziennikarka, autorka trzech wydanych przez Wydawnictwo Literackie książek: *Moja mama czarownica. Opowieść o Dorocie Terakowskiej* (2005), *Kobieta w wynajętych pokojach* (2007) oraz *Kasika Mowka* (2010).

Rafał Kuleta

Iglaste tęcze we mgle z kwiecistych płatków śniegu

Przed aromatycznymi oczyma wiecznie zielonego i uśmiechniętego drzewa – wysiadującego coroczne, błyszcząco zapakowane, kolorowe jaja prezentów – na rowerze jechał sen. Pod parasolką trzymaną dla utrzymania równowagi snuła się mgła rodząca pąki kwiatów ulepionych z płatków śniegu. Kwitły z nich iglaste tęcze nęcące i urzekające zapachem kolorów.

Drzewo ustąpiło kroku ścieżce. Kicały po niej kobieta i mężczyzna. Kobieta trzymała pod pachą mężczyznę, który miał na sobie jasnopozielaty garnitur, zamiast krawata wodospad płynący perpetuum mobile. Głowę jego ozdobił kapelusz dwa razy większy od niego. Kobieta chroniona była balową suknią dziewiętnastowiecznych pałaców. Jej długie tańczące rękawiczki ośnieżone były puchem jasnego poranka. Słońce świeciło ciepło z nudów.

– Czy podoba się pani karnacja spaceru? – spytał nagle mężczyzna, trzymany wygodnie pod pachnącą pachą pani.

– Bardzo, proszę pana. Tylko za nisko pan kica.

Mężczyzna sprężył się, wysilił i kicnął jak najwyżej mógł. Pani zakryła usta dłonią zamykając odpływ śmiechu. Zachichotała jedynie pomiędzy palcami. Chichot dobiegł do uszu pana. Uszy pana zaczerwieniły się.

– Niech się pan nie przejmuje – zadzwięczał chichot

pani. – Już lepiej. A może dokicamy do tej najwyższej ławki? – pani wskazała na oddalone o trzy kilometry w górze, chmury.

– Spróbuję – powiedział pan i sprężył się. Pani również przygotowała się do kicnięcia. Oboje rozprężyli się i kicnęli, szybując płynnie i stromo pod górę. Łagodnie spoczęli na ławce.

Wiecznie zielone i uśmiechnięte drzewo śniło o kwitnących gałęziach. Pąki przebijały łyko, korę, ręce rozgałęzionych konarów i napelniały powietrze soczystą zielenią. Świeży zapach wił się zakreconymi, slalomującymi pnączami. Przez ścieżkę przeszedł skurcz zdziwienia. Aura rozkwitającego drzewa przyciągnęła rozmarzony wzrok Błądzącej Dziewczynki.

Błądząca Dziewczynka o oczach wielkich na pół twarzy i w czarnej spódniczce z ogromnymi czerwono-białymi muchomorami błądziła rozmarzonym krokiem po wijącej się w śniegowosłonecznej rozkoszy ścieżce.

– Mały i przytulny jest ten nasz świat – powiedziała pani.

– Tak, tylko zimowowiosenna choinka i śniegowosłoneczna ścieżka – skinął kapeluszem pan.

– Chciałabym panu przypomnieć, że również ławka, na której siedzimy.

– A tak, zwracam honor ławce, na której siedzimy. – Pan wstał z ławki i uchylił rąbka tajemniczego kapelusza. Kapelusz poderwał się uchylony z drzemki. Pan próbował go ściągnąć z powrotem na głowę, ale kapelusz wzlatywał już wolno ponad swój wzrost. Zanim pani zdążyła zamrużyć rzęsami, na niebie pojawiła się różowa tęcza w kształcie wodnistej fali i spadł deszcz kwiecistych

płatków śniegu. Pan poszybował w ich misternie splecione kryształki.

Błądząca Dziewczynka błądziła rozanielonym wzrokiem po wciąż wijącej się ścieżce, która zatrzymała się tuż przed samą choinką. Rozmarzone spojrzenie krok po kroku wspięło się po rozdmuchanych gałęziach jodły kaukaskiej. Smutny uśmiech zdobił zabląkaną twarz i ogromne czerwonobiałe muchomory na łące czarnej spódniczki rozkwitły w pełni zmrożonej z żalu żałoby.

Kwieciste płatki śniegu opadały na, rodzące się we mgle wiecznie zielonego drzewa, pąki. Iglaste tęcze unosiły się wysoko ponad panią siedzącą na ławce i ponad pana szybującego na fali krystalicznie różowej tęczy nieba. Błądząca Dziewczynka płakała, widząc jak choinka rozkwita we mgle osnuwającą wszystkie śniegowe kwiaty aureol i odjeżdża na rowerze, na którym nie tak dawno jeszcze jechał sen. Ścieżka skończyła się i Błądząca Dziewczynka zagubiła się we mgle własnego zbłądzonego oddechu.

Deszcz rozkwieconych płatków śniegu przestał płakać i tęcza nieba zwinęła swoją falę, pozwalając panu dopłynąć z powrotem do brzegu chmury, gdzie odpoczywała ławka zaszczycona obecnością pani.

– Dzień dobry, pani – pan naciągnął wreszcie kapelusz na głowę i zrobił kilka przysiadów na ławce. W końcu przestał i rozłożył się na niej wygodnie.

– Dzień dobry, panu – odpowiedziała pani. – Zatańczymy? – spytała.

– To raczej ja powinienem panią poprosić. Jest bardzo piękna i pachnąca zimową wiosną pogoda. Dzień dobry, pani – pan przywitał się raczej jeszcze raz.

– Dzień dobry, panu – odpowiedziała jeszcze raz

pani.

– Zatańczymy? – tam razem pan pierwszy zdążył uklonąć się pani zaproszeniem, nie budząc kapelusza i wyczarował z niego tańczące rękawiczki. Długie tańczące rękawiczki pani walcowały już aureolami walca. Tańczące rękawiczki pana dołączyły do płasających rękawiczek pani i obie pary zawirowały niepohamowanymi puchowymi piruetami.

– Cudownie pan tańczy – zachwycała się pani, obserwując wirującą magię obu par wirujących rękawiczek.

– To tylko dzięki delikatnych paluszkom pani – pan ujął dłonie pani i pocałował ich uśmiech.

Choinka odjeżdżała na rowerze, a Błądząca Dziewczynka płakała i błędziła we mgle. Nie było już ani tęcz, ani kwiatów. Z mgły wynurzyła się ogromna tuba, z której słychać było szloch płaczącej Błądzącej Dziewczynki. Pani cofnęła dłonie, a kapelusz pana obudził się i zaczął nasłuchiwać. Pani spojrzała pytająco na pana.

– Ktoś płacze? – spytał pan kapelusza.

– Pan to również słyszy? – spytała pani pana, a pan ponownie spojrzał na panią, po czym z powrotem popatrzył na kapelusz. Ławka poruszyła się niespokojnie w chmurze.

– Ktoś płacze – stwierdził wszechświat.

– Ktoś tam w dole – wskazała pani w stronę szczytu jodły kaukaskiej, a jedna z jej długich tańczących rękawiczek przerwała taniec i nasunęła się na paluszek pani, następnie wśliznęła się na całą dłoń i przesunęła gładko dalej, wypełniając całe ramię pani. Serduszko balującej wcześniej, a teraz odpoczywającej, długiej rękawiczki było zziajane. Pani wystawiła drugie ramię i druga, długa tańcząca – a teraz równie zziajana jak pierwsza – rękawiczka nasunęła się dyskretnie na paluszek,

dłoń i całe ramię pani. Tylko pan sam musiał przerwać taniec swoich tańczących rękawiczek i sam nasunąć je sobie samemu na dłoń. Jakież było miłe i przyjemne zdziwienie pani, gdy zobaczyła, że drzewo rozkwitło już w kłębiącą się jak wata cukrowa, mgłę. Nie było już jednak żadnej jodły, a z mgły wystawała ogromna tuba, z której słychać było, przejmujący wrażliwą duszę do szpiku uczuć, szloch.

– Musimy kicać w dół, proszę pana! – powiedziała stanowczo pani i pogłaskała mizdrzącą się do chmury ławkę.

– Jak droga pani sobie życzy – pan uchylił gotowy do akcji kapelusz i wstał z ławki. Pani poprawiła rozwianą na wszystkie zabawy balową suknię, na tle której wznosił się piękny pałac. Pani weszła do pałacu i pobiegła szybko do komnaty z garderobą. Wkrótce wróciła, siedząc wygodnie w kapeluszu z pawim piórem, które już wachlowało się do lotu. Krawędzie kapelusza otoczone były falbankami łagodzącymi lądowanie. Kapelusz użyczył panu skrzydeł niskociśnieniowych o sprzężeniu aksamitnym krawata ze sterem zdalnie szybowcowym.

– Czy mogę prosić panią do lotu? – pan szarmancko uklonił się pani.

– Ależ oczywiście – pani podała dłoń panu, który wskoczył za stery kapelusza. Lecieli najpierw kilka kilometrów w górę, a następnie poszybowali ponad wszechświat i wszelką znaną wszem i wobec rzeczywistość.

Szloch płaczącej Błądzącej Dziewczynki przestał wydobywać się na zewnątrz ogromnej tuby. Rozprostował kończyny i rozmazał się. Błądząca Dziewczynka uśmiechnęła się. Ogromne czerwonobiałe muchomory na

jej spódniczce rozpromieniły się smutkiem i radośnie urosły w przygnębieniu.

– Słyszał pan? – odezwała się nagle pani, gdy przekroczyli granice pustki.

– Tak, proszę pani. Lecimy za wysoko. Zdaje mi się, że.

Poszybowali w dół.

– Tak, ma pan rację. Teraz jest idealnie. Widzę już nawet ogromną tubę wynurzającą się z mgły zasłaniającą ścieżkę i mgłę. Ale nie słyszę szlochu.

Pan ucieszył się pod nosem szeptu. – Musimy wlecieć w tę ogromną tubę, proszę pani.

– Znów ma pan rację, ścieżka już dawno się skończyła.

Szybując radośnie, bezgłośnie, wesolutko, oboje państwo wlecieli w ogromną tubę i przelecieli na drugą stronę dźwięku.

Oczy wielkie na pół twarzy spoglądały na nich i uśmiechały się najpiękniejszym ciepłem. Pani i pan wylądowali bezpiecznie we mgle, która tym razem zaczęła rozpraszać się i przesączać przez ogromną tubę na zewnątrz. W dali widać było choinkę jadącą na rowerze po cienkiej linii utkanej z rosy. Pani i pan uśmiechnęli się do Błądzącej Dziewczynki.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała pani i podeszła z miłością do Dziewczynki, która uśmiechała się oczami wielkimi na pół twarzy. Czerwonobiałe muchomory na jej spódniczce cofnęły się bojaźliwie.

– Dzień dobry, dziewczynko – pan przywitał się z uśmiechem tego uroczonego dziewczęcia.

– Jak tobie na imię, kochanie? – pani musnęła delikatnym jak piórko pytaniem. Odpowiedział jej ciepły

uśmiech wielkich na pół twarzy oczu Błądzącej Dziewczynki.

– Skąd pochodzisz, dziewczynko? – zapytał pan, a kapelusz przyjrzał się uroczej istocie z jeszcze większą ciekawością rozszerzonego ze zdziwienia i ścigającego się wokół siebie, wściekle rozbawionego ronda.

– Nie wiem – odpowiedziała cichutko Błądząca Dziewczynka.

– A masz rodziców, kochanie? – zapytała przyjaźnie pani.

– Nie – odpowiedziała jeszcze ciszej, o ile to w ogóle możliwe, na granicy słyszalności, Błądząca Dziewczynka, uśmiechając się tym razem z lekką nutką smutku, ale mimo wszystko nadal się uśmiechając.

– Biedne maleństwo – pani i pan czym prędzej podeszli do dziewczuszki, która już nie błądziła, i przytulili ją jak najczulej, z jak największą rodzicielską miłością. Czerwonobiałe muchomory na spódniczce Dziewczynki od razu nabrały zaufania.

Mgła rozproszyła się ostatecznie, nawet nie oglądając się za ogromną tubą. Ścieżka przewinęła się do początku i uwinęła się dalej, gdzieś skubiąc lodowatą trawę, która rosła raz wyższymi, raz niższymi soplami. Wiecznie zielone i uśmiechnięte drzewo robiło sztuczki akrobacyjne na rowerze, obwoząc sen po krainie bagażnika. Zimowa wiosna oddychała pełnymi od tlenu płucami. Dziewczynka uśmiechała się oczami wielkimi na pół twarzy całego szczęścia.

Rafał Kuleta



Autor horrorów we wszystkich odmianach i odcieniach grozy, ekstremy, surrealizmu i bizarro. Jego drabble ukazały się do tej pory w e-zinie „Grabarz Polski” oraz w magazynie grozy „Lśnienie”. W 2011 roku wydał zbiór drabble *Krótkie Dni i Noce*. Współautor zbiorów opowiadań: *Bizarro dla początkujących* oraz *31.10 – Halloween po polsku*. www.braciasyjamscy.blogg.pl

Marek Ścieszek

Dokąd idziesz, dziewczuszko?

Dokąd idziesz, dziewczuszko? Czy nie lepiej grać rączki przy kozie, w suchym mieszkanku, miast tułać się wśród ciemnych ulic? Londyn o tej porze nie jest najbezpieczniejszym miejscem dla dzieci. Wśród ponurych kamienic łąco może je spotkać coś strasznego. Wracaj do mamy. Szybko, póki jeszcze masz możliwość. Przytul się do jej boku i zamknij oczka. Być może przyśni ci się miejsce, w którym nie istnieje coś tak okropnego, jak śmierć, czy choroba. I kto wie, czy kiedy otworzysz oczy, sen nie stanie się rzeczywistością. Bo czasami sny się spełniają.

Spójrz. Śnieg sypie coraz mocniej. Już wkrótce biała, zimna poducha przykryje wszystko, łącznie z rynsztokiem. Jedyłą nicią, łączącą cię z mamusią, stanie się wąziutka ścieżka twoich własnych śladów. Ale i ona koniec końców zniknie. I jak wówczas odnajdziesz drogę powrotną?

Wracaj, kochanie. Nie pozwól, aby jedyna bliska ci osoba wydała ostatnie tchnienie z dala od ciebie. Pozwól jej po raz ostatni spojrzeć w twe modre oczęta. Dotknąć bielutkich dłoni. Być może już dogorywa, a ty, zamiast jej towarzyszyć w ostatnich chwilach, błąkasz się wśród mroku ulic.

Dla niej już nie ma nadziei.

Nie. Pod żadnym pozorem nie pukaj do tych drzwi. Człowiek, do którego mieszkania prowadzą, nie pomoże ci. Nie jest lekarzem. Ogródek na tyłach jego domu skrywa

straszliwą tajemnicę. Naprawdę nie słyszałaś o tych wszystkich zaginionych dzieciach? W ciągu ostatnich sześciu miesięcy znikło ich blisko tuzin. Mathias Dawes – to jego prawdziwe nazwisko, ale wszyscy mówią o nim: wampir z Bromley. Oczywiście nikt nie wie, że to właśnie Dawes porywa dzieci, dusi je, wypija ich krew i albo zostawia na ulicy, białe i sztywne, albo zakopuje na tyłach swej posiadłości.

Za tamtymi drzwiami również nie czeka cię nic przyjemnego. Kobieta, która tam mieszka to Eleonore Todd. Ta staruszka o wyglądzie kochanej babuni w życiu nie splamiła się litością. Owszem, jest majątna. Pod podłogą w jej sypialni znajduje się skrzynia a w niej tysiące gwinei w złocie. Niewiele życia już starej zostało. Jednak, choćby nawet zdawała sobie sprawę, że za godzinę wyzionie ducha, nie podarowałaby ci złamanego szylinga na lekarstwo dla umierającej matki.

Nie znasz mieszkających tu ludzi. Zbyt daleko odeszłaś od domu. Z każdym krokiem nadzieja na zobaczenie mamusi żywą, blednie. Jeszcze kilkadziesiąt jardów i stanie się wyłącznie złudzeniem. Jeszcze kilkadziesiąt jardów i sama staniesz się przeszłością, duchem – jednym z wielu zapełniających to smutne, mroczne miasto.

Śnieg sypie, niczym puch z rozprutej pierzyny. Mróz zmienia oddech w kryształki lodu.

To, co właśnie uczyniłaś, nie jest rozsądne. Nie powinnaś siadać. To prawda, że się zmęczyłaś, że wysiłek stał się już stanowczo zbyt duży dla takiej istotki, jednak musisz wstać. Póki jeszcze masz resztki sił. Zanim mróz nie zamieni twoich mięśni w lodowe bryły, zanim śnieg nie przysypie cię aż po czubek głowy. Wstań, bo zamarzniesz.

Z dała od wszystkiego, co kochasz.

Wciąż jest nadzieja, że wrócisz. A jeśli się pospieszysz, być może pożegnasz się jeszcze z mamusią. Tylko wstań, kochanie.

Wstań.

Marek Ścieszek



Rocznik 1975. Niepracujący w żadnym z wyuczonych zawodów, a jest ich kilka. Miłośnik literatury, zwłaszcza fantastycznej, choć nie stroni od prozy kryminalnej czy historycznej. Szczególnie upodobał sobie literaturę łączącą te konwencje. Zasiedziały w Kingu, Koontzu i Mastertonie, aczkolwiek odkrywa właśnie to, o czym przez wiele lat nie miał pojęcia: wspaniałą wyobraźnię Cormaca McCarthy'ego, mroczny świat Jacka Ketchuma, ironiczne, przepelnione słowiańską duszą historie Borisa Akunina, czy niezwykłą wizję dawnej Polski prezentowaną przez Jacka Komudę. Słowem, wypełnia rzeczywistość nowymi postaciami, niekoniecznie z tych samych przegródek. Być może w dalekiej przyszłości również jego nazwisko stanie się dla kogoś źródłem inspiracji.

Próbki jego twórczości dostępne są w Sieci:

<http://www.marekscieszek.blogg.pl>

<http://www.wehrwolf-wehrwolf.radwan.pl>

<http://www.3110.pl>

Anna Pasikowska

Serce w pasterce

Adrianna nie lubiła świąt Bożego Narodzenia. Cały ten zgiełek związany z podobno najpiękniejszymi dniami w roku był jej całkowicie obojętny. Nie obchodziła ją ta bezsensowna bieganina i szukanie prezentów nie wiadomo jakich i dla kogo. Większość z nich i tak okazywała się nie trafiona, a obdarowani robili dobrą minę do złej gry. Potem to siedzenie przy stole w nieskończoność, a już śpiewanie kołęd całkowicie wyprowadzało ją z równowagi. Matka z ojcem zawsze urządzali taką szopkę, że głowa bolała. Później pasterka, na którą ona nigdy nie chodziła. Nie chciało jej się stać w tym tłumie często podpitych ludzi, którzy tak pięknie udawali, że są wiernymi chrześcijanami i wszystko by dla Pana Boga zrobili. A potem wracali do domów, kłócili się ze swoimi żonami, mężami, wyzywali dzieci, pili, zdradzali i Bóg wie co jeszcze. To nie dla niej. Starła się więc jak najszybciej kończyć te posiedzenia i szła do siebie.

Dwa lata temu rozwiodła się z mężem, była więc sama, ale nie szukała nikogo nowego. Było jej dobrze tak, jak było. Pracowała w szkole, uczyła polskiego już od dziesięciu lat. Traktowała to zajęcie bardziej jak wypełnienie czasu niż źródło dochodu, bo po rozwodzie i podziale majątku otrzymała całkiem spory kapitał, jako że były mąż należał do zamożnych. Nie rozdzielali szat, rozeszli się w spokoju. On poznał inną kobietę, zresztą starszą od niej, ale atrakcyjną i bardziej rozrywkową niż Adrianna.

Lubiła swoją pracę, młodzież też nie mogła na nią narzekać. Licealiści, można powiedzieć, uwielbiali ją. Jej lekcje były dyskusjami, wymianą zdań, dzieleniem się wiedzą, a nie wałkowaniem materiału według utartych schematów.

Ada miała trzydzieści cztery lata, ale wyglądała o wiele młodziej. Była taka dziewczęca, filigranowa, młodzieżowa. Zawsze odpowiednio ubrana, zadbana, miło było na nią popatrzeć.

W tym roku matka zaprosiła na owe najpiękniejsze święta ciotkę z Torunia z córką i zięciem. Ciotkę Tamarę i jej córkę Edytę Ada lubiła. Kiedyś spędzały razem każde niemal wakacje. Nawet cieszyła się na ich przyjazd, bo może te święta będą weselsze i nieco inne.

Irzeczywiście, tym razem atmosfera była nieco odmienna, bardziej odświętna, potrawy wigilijne bardziej wyszukane, choinka piękniej przystrojona, dom uroczyściej udekorowany.

Ciotka Tamara pomagała mamie w kuchni, a ona z Edytą nie mogły się nacieszyć swoim towarzystwem. Gadały jak najęte, odrabiały wszystkie zaległości, a Darek, mąż Edyty, czasami im przeszkadzał, bo też chciał się czegoś dowiedzieć. Spoglądał ukradkiem na kuzynkę żony i uśmiechał się tajemniczo.

Pewnie mu się podobam, jak zwykle facetom, którzy są w moim towarzystwie, pomyślała. Ale zupełnie jej to nie wadziło. Do męskich zalotnych spojrzeń była przyzwyczajona i doskonale sobie z nimi radziła. Umiała je odpierać i chłodzić zapędy w samym zarodku. Tak więc zupełnie jej ta adoracja ze strony mężczyzn nie przeszkadzała, a wręcz schlebiała. Ada była kobietą atrakcyjną, miała poczucie własnej wartości i żadnych

kompleksów.

Po kolacji, rozpakowaniu prezentów i rozmowach obeszło się tym razem bez kołęd. Cała rodzina ustaliła, że idą na pasterkę.

– No to miłego śpiewania – powiedziała Ada. – Ja idę do siebie, zresztą co Panu Bogu po mnie, i tak nie chodzę do kościoła.

– Ada, nie żartuj, chodź z nami, dla nas możesz chyba zrobić wyjątek – Edyta była niepokieszona decyzją ulubionej kuzynki.

– No właśnie, dziewczyno, nie daj się prosić. Jak wszyscy, to wszyscy – mąż Edyty też nie zasypywał gruszek w popiele.

– Nigdy nie chodzę na pasterkę, nie lubię, za dużo ludzi – była nieubłagana.

– Adusiu, nie rób nam tego, raz możesz zrobić wyjątek- mama też nalegała.

– Ale mam za wysokie obcasy, jak trzeba będzie stać, to zwyczajnie nie dam rady – próbowała wszelkimi możliwymi sposobami wykpić się od wątpliwej przyjemności obcowania z wiarą.

– Zobaczysz, będzie pięknie – tym razem ojciec się dołączył. – Przecież pojedziemy samochodem i wyjdziemy wcześniej, to może uda nam się usiąść.

Ada taksowała spojrzeniem proszące towarzystwo i w końcu zdecydowała.

– Dobra, niech będzie, raz w życiu można poświęcić się dla rodziny – puściła oko do Edyty i uśmiechnęła się.

– No, grzeczna dziewczynka – ucieszył się ojciec i objął córkę ramieniem. – No to zbierajmy się, jak mamy znaleźć miejsca siedzące, to czas na nas.

Ubrali się, poprzekomarziali i wyszli.

Noc była piękna, gwiazdzista. Chwytał lekki mróz, śniegu też w tym roku nie brakowało. Hałdy białego puchu zalegały wszędzie jak okiem sięgnąć, a dziś napadało świeżego, więc było jeszcze bardziej odświętnie i bajkowo. Z przyjemnością wychodziło się w taką scenerię po kilkugodzinnym posiedzeniu przy stole.

Kiedy podjechali pod katedrę, musieli sporo się natrudzić, żeby znaleźć miejsce do parkowania, zwłaszcza dla dwóch samochodów. Ale w końcu udało się. Nieco dalej, ale dość przyzwoicie.

Największa świątynia w mieście była zadziwiająco uroczyście oświetlona na tę okazję, nie tylko tradycyjnymi lampami, ale kolorowymi światełkami. Przy wejściu panoszyły się ogromne świerki, również obwieszone niewiarygodną ilością kolorowych lampek. Wszystko to powodowało, że nastrój był podniosły, atmosfera odświętna, a całości dopełniał obraz tłumu wiernych pospiesznie wchodzących do kościoła.

Adrianna patrzyła na te podniosłe dekoracje i nie mogła się nadziwić, że ludzie jeszcze wierzą w te bajki. Pan Jezus, stajenka, królowie. Dwa tysiące lat i ciągle to samo – Kościół rządzi, a ludzie mu ulegają. Ona już dawno wyrosła z tej indoktrynacji, ale matka i ojciec byli takimi ortodoksami, że nawet nie próbowała ich przekonywać, w jakim ciemnogrodzie żyją. Machnęła na to ręką. Dopóki jej nie nawracali, Adzie nie przeszkadzało ich rozmodlenie.

Weszli do środka i rozejrzeli się po wnętrzu.

– Ada, chodź. Popatrz, jeszcze dużo wolnych ławek – Edyta chwyciła ją pod rękę i pomaszerowały prawie przed ołtarz. Matka się ucieszyła, że są blisko żłóbka, wyjątkowo starannie i z rozmachem przygotowanego w tym roku.

Weszli wszyscy do ławki, udało im się usiąść chyba w piątej. Ołtarz też był oświetlony dookoła, oświetlony wszelkimi możliwymi żarówkami, jakie były na stanie u biskupa, a dookoła rozprzestrzeniał się zapach dymów piekielnych, jak Ada nazywała kadzidła.

Nie wiedzieć czemu, paradoksalnie, ta woń kojarzyła jej się od dzieciństwa z ogniami piekielnymi, i wyobrażała sobie, że tak właśnie tam pachnie.

Dawno nie była w kościele, dla niej to całe misterium związane z wiarą było śmieszne. Nie mogła się nadziwić, żeby dorośli, rozumni ludzie przez tyle lat wierzyli w taką mistyfikację. Mało tego, bo uczestniczyli w niej dobrowolnie, nawet dawali na cały ten cyrk pieniądze i to z własnej nieprzymuszonej woli.

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk dzwonek, oznajmujących rozpoczęcie tej prawie najważniejszej mszy w roku.

Przy ołtarzu pojawiło się kilku księży, chyba odświętnie ubranych, śpiewających głośno koledy.

Ada obserwowała ich uważnie, każdego po kolei, bo musiała się czymś zająć. Była na mszy tylko ciałem, dusza fruwała gdzieś z dala od tej całej celebry. Dwóch księży miało około sześćdziesięciu lat, jeden bardzo młody, a kolejny? Popatrzyła na niego uważniej, bo wydawało jej się, że skądś tego człowieka zna. Odwróciła głowę w inną stronę, ale za chwilę znowu mu się przyglądała. Siedziała na tyle blisko, by dobrze widzieć jego twarz.

Zaczęła się zastanawiać, skąd mogłaby znać owego księdza? Potem pomyślała, że pewnie jest do kogoś podobny. Nagle on spojrzał na nią. Przez moment przyglądali się sobie. Ada spuściła wzrok i zaraz znowu go podniosła. Na szczęście ksiądz był zajęty wykonywaniem

swoich powinności i już na nią nie patrzył.

Obserwowała go więc ukradkiem, zerkając od czasu do czasu w stronę ołtarza. On również miał utkwiony w nią wzrok. Ada była piękną kobietą i z pewnością wyróżniała się w tłumie. Miała krótką blond fryzurkę i blad różowy płaszcz z kołnierzem z lisa wokół szyi w takim samym kolorze. Ludzie dookoła niej byli szarzy, przeciętni, niewidoczni. Trudno się dziwić, że mnie zauważył, pomyślała. I gdyby nie rytuały mszalne, pewnie patrzyłby na nią bez przerwy, bo co chwila spoglądał w jej stronę. Zaczęło ją to niepokoić i coraz intensywniej myślała, skąd też może go znać?

Atmosfera w katedrze była podniosła. Poszczególne części mszy rozdzielał dźwięk kolęd, ochoczo śpiewanych przez tłum wiernych. Adzie zrobiło się duszno. Te zapachy, ściskający się ludzie, ryk organów. Zaczęło jej się kręcić w głowie. Na szczęście msza bożonarodzeniowa powoli dobiegała końca. Jeszcze tylko komunie, ogłoszenia i finito, pomyślała zmęczona już tym wszystkim kobieta.

W trakcie rozdawania komunijskich opłatków Ada siedziała i dalej rejestrowała wzrokiem to, co się działo dookoła niej. Jej ksiądz adorator z wielkim namaszczeniem wykonywał swoją powinność i wtem podniósł wzrok. Był teraz bliżej i mogła dobrze przyjrzeć się jego twarzy. Ich oczy znowu się spotkały. On, trzymając w rękach opłatek, zamarł w bezruchu, zamiast położyć go na języku kolejnego chętnego. Sytuacja stała się co najmniej śmieszna, bo ludzie czekali, a ksiądz błdził gdzieś wzrokiem, zapominając, co powinien robić. Kobieta, przy której zastygł, zaczęła się kręcić i wyciągać szyję, aż wreszcie coś powiedziała. Zamyślony klecha wreszcie się zreflektował i kontynuował rozdawanie komunii.

Adrianna dalej zastanawiała się, co on właściwie sobie wyobraża, i nagle jak grom z jasnego nieba uderzyła ją myśl, że przecież to jej były uczeń. No tak, Jacek, Jacek Mizgalski.

Gdy rozpoczęła pracę w szkole, uczył do klasy maturalnej, którą uczyła. Pamiętała go, bo chłopak zadurzył się w niej i zamęczał wyznaniem. Ona oczywiście ignorowała jego awanse i starała się normalnie pracować, ale on był strasznie uparty. Po każdej lekcji polskiego znajdował pretekst, żeby zostać z nią sam na sam. Był miły, chętnie podejmował się dodatkowych zadań, pisał piękne prace, zawsze był przygotowany do zajęć. A na lekcjach, co młoda nauczycielka szybko zauważyła, wpatrywał się w nią jak w obrazek i słuchał tak, jakby mówiła tylko do niego. Na początku nawet jej się to podobało, schlebiało, ale chłopak robił się coraz bardziej natarczywy i z biegiem czasu już nawet nie ukrywał swego uwielbienia dla niej. Słyszała tylko: tak, pani profesor, już się robi, pani profesor, ja zaraz to załatwię, pani profesor, i coraz więcej takich deklaracji. Reszta klasy oczywiście widziała, co chłopak wyprawia, i zaczęły się jakieś pokątne komentarze, uśmieszki. A punktem kulminacyjnym owych niekomfortowych dla Ady sytuacji była deklamacja wiersza Aleksandra Puszkina, w trakcie lekcji o poezji rosyjskiej okresu romantyzmu. Wstał, patrzył na Adę i mówił po rosyjsku, co przetłumaczyć można tak:

Pamiętam cudowne mgnienie, przede mną pojawiłaś się ty, jak ulotna zjawia, jak geniusz doskonałego piękna.

Oczywiście po rosyjsku, z rymami, brzmiało to o wiele lepiej, ale on wyrecytował to tak, jakby te słowa były skierowane nie do ukochanej Puszkina, ale do niej, nauczycielki. Ada nie wiedziała, jak zareagować. Chyba się

zarumieniła, wstawiła mu piątkę i zaraz poprosiła kogoś następnego. Udawała oczywiście, że to nic takiego, że nie zauważyła pasji, z jaką wypowiadał słowa wiersza Jacek, ale od tej chwili wiedziała, że chłopak zadurzył się w niej na amen. Nie przejmowała się tym za bardzo. Wiedziała, że takie sytuacje zdarzają się egzaltowanym nastolatkom, i ta też na pewno sama się rozwikła i rozejdzie po tak zwanych kościołach. Ona była nauczycielką, on uczniem, więc nic nie mogło się wydarzyć. Poza tym była świeżo po ślubie, bardzo zakochana w swoim mężu, dlatego tym bardziej to wszystko jej nie obchodziło. Traktowała ten stan jak zwykłą fanaberię młodego chłopaka. Wiedziała, że Jacek miał powodzenie u koleżanek, nawet widywała go dość często z jedną i tą samą dziewczyną, niczego więc się nie obawiała.

Na lekcjach zachowywała się bardzo powściągliwie, żeby nie rzec surowo. Raz zdarzyło się że Jacek złapał jedynekę, bo czegoś tam nie napisał.

Któregoś jednak dnia przyszedł do niej po skończonych lekcjach i powiedział wprost, że ciągle o niej myśli, że chyba się zakochał, że już nie wie, co z tym zrobić. Nie może się uczyć, a matura za pasem. Ada trochę się wtedy przestraszyła, ale opanowała emocje i zaczęła mu tłumaczyć, że to się zdarza, że szybko minie i wszystko wróci do normy. On zaczął szaleć i wyznawać jej miłość, ale ona była obojętna, zdystansowana, i wygoniła go do domu. Na jakiś czas miała spokój. Lecz po kilku dniach zaczął czekać na nią pod szkołą i odprowadzać do autobusu. Tego było już za wiele i postraszyła go, że powie rodzicom. Kazała mu się opamiętać i żyć swoim życiem. Miała zwyczajnie dość, a jeszcze obawiała się, że cała sprawa w końcu się wyda i będzie miała kłopoty w pracy.

Odpuścił, próbował jej unikać, na lekcjach już był prawie normalny. Ale przyszła studniówka i znowu się zaczęło. Ada miała zamiar w ogóle na tę zabawę nie iść, ale dyrektorka zaangażowała ją w organizację i jej obecność stała się niezbędna. Na tym balu towarzyszył jej mąż, ale Jackowi to nie przeszkadzało. Ostentacyjnie prosił ją do tańca, a w nim nie zachowywał się powściągliwie. Przytulał, zadawał dziwaczne pytania typu „w czym on jest lepszy ode mnie”, mąż oczywiście, mówił, że ją kocha, że nie potrafi bez niej żyć. To było nie do zniesienia i Ada, kiedy tylko mogła, ulotniła się z imprezy, dając mu do zrozumienia, że jak tak dalej będzie się zachowywał, to może się źle to dla niego skończyć.

I tak to trwało. Ona cieszyła się, że niedługo matura i on wreszcie odejdzie ze szkoły. Po studniówce poprosiła dyrektorkę, żeby zabrała jej klasę i dała inną. Jakoś udało jej się wytłumaczyć kłopoty z uczniami i bezpośredni kontakt się urwał. Chłopak przestał ją dręczyć, unikał jej, więc pomyślała, że wreszcie się opamiętał. Po maturze, którą ledwo zdał, już go nie widywała i uznała, że wreszcie będzie miała spokój. Wiedziała, że miał iść na uniwersytet, i była pewna, że tak się właśnie stało. Szybko zapomniała o swoim wielbicielu i myślała, że on o niej również. Jej życie wróciło do normy.

Jakież było zdziwienie Ady, kiedy po wakacjach wróciła do pracy, a pierwszą wiadomością, jaką usłyszała, było to, że Jacek Mizgalski poszedł do seminarium duchownego. Nie przejęła się tym specjalnie. Trochę ją to tylko zdziwiło, ale długo się nad tym faktem nie zastanawiała. Pomyślała tylko, no chyba nie z mojego powodu. I więcej do tego nie wracała.

Aż do dziś, kiedy zobaczyła go w roli księdza

odprawiającego mszę. Była pewna, że to on. Zmężniał, trochę przytył, lecz rozpoznała go. Zrobiło jej się gorąco, ale pasterka dobiegała końca, a ona myślała już tylko o tym, żeby wydostać się z kościoła. Najgorsze było to, że on też ją rozpoznał. Minęło co prawda dziesięć lat, ale ona prawie się nie zmieniła, więc te jego spojrzenia nie były przypadkowe. Nie martwiła się jednak, bo wiedziała, że do kościoła nie chodzi, a więc nie spotka go powtórnie. Rozboleła ją głowa, w katedrze wybrzmiewały dźwięki ostatniej kolędy, dudniło jej w uszach i myślała tylko o tym, żeby opuścić już ten święty przybytek.

Kiedy pasterka się skończyła, a Jezus podobno narodził się po raz kolejny, okazało się, że tłum kierujący się do wyjścia był tak wielki, iż opuszczenie katedry potrwa co najmniej pół godziny. Kiedy wreszcie znalazła się na zewnątrz, poczuła się jak orlica wypuszczona w przestworza po długim więzieniu w klatce. Edyta wzięła ją pod rękę.

– I co? Przeżyłaś? Nie było tak źle. Piękna macie tę katedrę.

– Tak, pamięta średniowiecze – Ada odpowiedziała automatycznie, myśląc zupełnie o czymś innym.

Sceneria była jak z bajki, tysiące kolorowych lampek, hałdy iskrzącego się śniegu, mieniącego się wszystkimi możliwymi kolorami, choinki, i nawet Mikołaj w tradycyjnym, czerwono-białym przebraniu. Stał przed kościołem i rozdawał słodycze. Dzwoniły dzwoneczki i grały jeszcze organy, których donośny dźwięk był dobrze słyszalny na zewnątrz. Noc była magiczna, spokojna, i chyba niepowtarzalna.

Ada z rodziną mijali właśnie Mikołaja, obok którego stał Jacek, podając rękę każdemu, kto wychodził z katedry.

Znaleźli się blisko siebie i ich spojrzenia znowu się skrzyżowały, ale ona szybko spuściła wzrok i odeszła z Edytą.

– Aduś, słyszałaś, kolędę będziesz miała zaraz po świętach – matka bardzo uważnie słuchała ogłoszeń. Ada oczywiście nie usłyszała nic, świat wirował jej przed oczami.

– Nie, jakoś nie słuchałam, ale dobrze, że mi mówisz.

– No to przygotuj się. Mówili, że w pierwszy dzień po świętach, od siedemnastej.

– Dobrze, będę pamiętać.

Adrianna co prawda była złą chrześcijanką, ale kolędę przyjmowała. Lubiła się raz w roku poprzekomarzać z dogmatami wiary i nie odmawiała wizyt duszpasterskich.

Święta minęły w miłym nastroju, ciotka z Edytą skróciły coroczne męki i jakoś zleciało. Drugiego dnia Bożego Narodzenia rodzina po południu odjechała do Torunia, a Ada wreszcie poszła do siebie, żeby odpocząć po tym zgiełku świątecznym.

Gdy zostawała sama, czytała, oglądała telewizję, po prostu nic nie robiła. Lubiła czasami tak poleniuchować, pobyć sama ze sobą. Odkąd się rozwiodła, właściwie z nikim nie była. Nie chciała, nie szukała, miała dość facetów, nie ufała im. Raz czy dwa umówiła się z kimś gdzieś tam poznanym, ale na kilku spotkaniach z reguły się kończyło. Pomyślała, że uniesienia ma widocznie za sobą, że nawet atrakcyjny facet na nią nie działa, i dłużej się nad tym nie zastanawiała. Pewnie tak ma, tak musi być i takie tam.

Następnego dnia spała długo. Widocznie była bardzo zmęczona tymi świętami, bo kiedy wstawała, było

południe.

Wtedy zadzwoniła matka z przypomnieniem o kolędzie. O Jezu! Całkiem wypadło mi z głowy!, pomyślała. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do komody sprawdzić, czy ma jakiś przyzwoity obrus. Był na szczęście, krzyżyk i świeczki też odkopala. O siedemnastej stół był gotowy, ona dość uroczystie ubrana, oczekująca wizyty jakiegoś z pewnością nobliwego duszpasterza.

Okolo dziewiętnastej ministranci zadzwonili sprzedając, że ksiądz za chwilę będzie. Zapaliła świeczki. I nagle oniemiała, w drzwiach jej mieszkania pojawił się bowiem Jacek Mizgalski, jej dawny uczeń. On natomiast wcale nie był zaskoczony jej widokiem.

Zachowywał się, jak na księdza przystało. Powitanie, śpiewy ministrantów i tak dalej. Ada myślała, że śni. Wszystkiego by się spodziewała, ale nie jego w progu swojego mieszkania. Ministranci wyszli po chwili i została z księdzem sama. Stali i patrzyli na siebie, Adrianna nie mogła wydusić ani słowa.

– Dzień dobry, pani profesor – odezwał się Jacek i podał jej rękę. Ona machinalnie podała mu swoją i szybko zabrała ją z powrotem.

– Dzień dobry – starała się opanować. – Co... ty tutaj robisz? – wyartykułowała.

– No jak to? Przyszedłem z kolędą – odpowiedział dość pewnie.

– To przypadek?

– Nie – odpowiedział, uśmiechając się nonszalancko.

– Jak mnie znalazłeś?

– No przecież jest pani naszą parafianką.

– No tak, dziś wszystkiego można się dowiedzieć –

odpowiedziała zrezygnowana. – Usiądź, proszę. Widzę, że to jednak prawda z tym twoim wyborem. Jak to jest być księdzem? – zapytała niepewnie.

– Normalnie, praca jak każda inna. I pewna, nie muszę się przynajmniej martwić o byt. A pani? Dalej w szkole? – pytał bez ogródek.

– Tak, w tej samej.

Podczas tej rozmowy on cały czas bezczelnie nie spuszczał z niej wzroku, a ona uciekała z oczami, gdzie tylko mogła. Była jakaś drętwa, nie takiej kolędy się spodziewała.

– A gdzie szanowny małżonek? Zostawia samą taką piękną kobietę?

Ada zaniemówiła, zaskoczyła ją pewność siebie jej byłego ucznia. Nie chciała mówić prawdy, nie było powodu, zwłaszcza w tej sytuacji.

– Musiał wyjechać, jutro wraca.

– Czyli wszystko w porządku w rodzinie? A dzieci? Ma pani dzieci?

– Nie, nie możemy mieć dzieci.

– O, szkoda. To taka niepełna ta pani rodzina. Pewnie pani jest z tego powodu nieszczęśliwa?

– Nie, nie jestem typem Matki Polki. Nie rozpaczam, pogodziłam się.

Ksiądz rozejrzał się po pokoju.

– Ładnie pani urządziła mieszkanie, kosztowne to wszystko – poczynął sobie coraz pewniej.

– Jacku, po co przyszedłeś? Bo chyba nie po to, żeby zobaczyć, jak mieszkam?

– Kiedy ujrzałem panią na pastercie, oszalałem, wszystko mi się przypomniało. Zrobiłem wszystko, żeby panią spotkać.

– Po co? Jesteś księdzem.

– Księdzem? Tak, jestem, no i co z tego?

– Służysz Bogu i jego owieczkom, podobno – rozluźniła się nieco.

– No właśnie, podobno. Mam nadzieję, że nie wierzy pani w te bajki.

Ada była zdziwiona postawą Jacka. Że ona nie wierzyła, to normalne, ale on? Ksiądz?

Emocje związane z zaskoczeniem powoli zaczęły opadać i Ada zaczynała się dobrze bawić.

– Więc to jednak są bajki, skoro ty tak mówisz. Ty, ksiądz.

– To zwykły biznes, trwający najdłużej w dziejach ludzkości. A najlepsze jest to, że ludzie sami przynoszą pieniądze.

– No nie wiem, czy tak sami, postraszyście z ambony, to zaraz chcą kupić sobie życie wieczne i zanoszą ostatni grosz. A dlaczego właściwie zostałeś tym księdzem, skoro nie wierzysz w zbawienie? – Ada już była całkiem rozluźniona i nawet zaczęła jej się ta rozmowa podobać.

– Nie domyśla się pani?

– Nie, jakaś mało domyślna jestem.

– Jeśli nie mogłem kochać pani, to nie chciałem żadnej innej, a seminarium było najlepszym rozwiązaniem. Było mi obojętne, co będę robił, a tu przynajmniej nie muszę się zastanawiać, z czego będę żył.

– I nie żałujesz?

– Nie, jest mi po prostu wygodnie, bo Kocham panią nieprzerwanie, do dziś.

Ada znowu oniemiała. Nie spodziewała się takich słów. Zrobiło jej się gorąco. Czuła, że reaguje nie tak,

jakby chciała. Jacek nie był już jej uczniem, ale dorosłym, atrakcyjnym mężczyzną, młodszym o pięć lat. Księdzem.

– Nie wiem, co powiedzieć, nie wierzę. To niemożliwe, dziesięć lat kochać kobietę, która była młodzieńczą mrzonką? Nie wiesz, co mówisz.

– Mogę mówić ci po imieniu? Nie jestem już twoim uczniem. – znowu ją zaskoczył.

– Myślę, że tak. Trochę głupio czułam się z tą „panią”, jak stara belferka. Ada – wyciągnęła rękę.

– Jacek – też podał jej swoją i oczywiście przytrzymał dłużej, patrząc jej prosto w oczy. – Marzyłem o takiej chwili przez te wszystkie lata. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek nastąpi, ale nastąpiła. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. A teraz niech się dzieje, co chce – uniósł jej dłoń do góry i pocałował. Ada wyrwała dłoń.

– Zwariowałaś, przestań, co ty mówisz?! Idź już, inni czekają.

– Nie obchodzą mnie inni, spotkałem ciebie i już nic nie jest ważne.

Ada przesunęła się na bezpieczną część kanapy.

– Nie każ mi odejść, nie teraz.

W pokoju słychać było dźwięk kolędy *Bóg się rodzi, moc truchleje*. Ada włączyła ją przed przyjściem księdza, chcąc stworzyć odpowiedni nastrój. Wciąż trwało Boże Narodzenie, magia świąt działała.

– Zdarzył się cud, cud moich narodzin. Przez cały ten czas modliłem się, żeby nastąpiła chwila taka jak dziś. Chyba Bóg mnie wysłuchał.

– Jaki Bóg, przecież w Niego nie wierzysz – Ada uśmiechnęła się.

– O, właśnie. I jeszcze ten twój uśmiech. Już

zapomniałem, jak pięknie potrafisz się uśmiechać. Teraz świat może się skończyć, a ja mogę umierać. Niczego więcej nie chcę.

– Jacek, co ty mówisz?! Ja mam męża, ty jesteś duchownym!

– Jakim duchownym? Wykonuję tylko swoją robotę, a robota jak każda inna.

– Ale celibat... – nie zdążyła dokończyć, bo on usiadł obok niej i zaczął ją całować.

Wyrwała mu się.

– Zwariowałeś, masz sutannę na sobie!

Wstał, rozpiął kilka guzików i zrzucił to coś czarne, długie, na podłogę. Oczom Ady ukazał się piękny, przystojny mężczyzna, mający niewiele wspólnego z maturzystą, którego pamiętała. Był ubrany w dżinsy i koszulkę polo w seledynowym kolorze, miał ciemne włosy i dwudniowy zarost. Po prostu model, pomyślała.

– Teraz lepiej? – zapytał zalotnie.

– Tak, ale....

Wziął ją w ramiona i znowu nie pozwolił dokończyć. Całował usta, szyję, włosy, a ona mu na to pozwalała. Nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę.

W pokoju panował delikatny półmrok, rozjaśniany światłem lampek choinkowych, a w tle rozbrzmiewało *Wśród nocnej ciszy*, kołęda idealnie pasująca do sytuacji.

Ada była rozanielona. Poddawała się pieszczotom, nie protestując.

– Ale mój mąż....

– Nie masz żadnego męża, rozwiedliście się dwa lata temu. Ładnie to tak księdza okłamywać?

Oderwał się od niej na chwilę. Spojrzała na niego zaskoczona

– Wysłannikiem diabła jesteś?

– Może... – i dalej ją całował.

Ada miała na sobie obcisłą bordową sukienkę z krótkim rękawem i wysokie bordowe szpilki. Strój na pewno niestosowny jak na wizytę księdza, ale ubrała się tak z premedytacją. Lubiła prowokować, zwłaszcza gdy chodziło o religię. No i okazało się, że sukienka była idealna jak na taką okazję

– Jesteś teraz jeszcze piękniejsza niż kiedyś. Kwitniesz wprost, nie mogę się na ciebie napatrzeć. Jak zobaczyłem cię na pastercie, to na niczym nie mogłem się skupić, i ty się dziwisz, że kocham cię przez te wszystkie lata? O takich kobietach jak ty się nie zapomina, wchodzi do głowy i już z niej nie wychodzą. Teraz będziesz tylko moja.

– Jacku, opamiętaj się!

– Nie mam zamiaru, już nie, za długo czekałem.

Znowu zaczął ją całować a ona nie protestowała. Uległa, nie miała siły się przeciwstawić. Magia świąt, pomyślała tylko.



Zadzwonił budzik. Ada wyłączyła go, prawie śpiąc.

– Kochanie, wstawaj, za godzinę masz mszę.

Anna Pasikowska



Urodziła się 29.04.1963 w Szczecinie.

1982 – ukończenie liceum w Szczecinie,

1987 – ukończenie studiów na Uniwersytecie Szczecińskim, mgr filologia rosyjska. Na trzecim roku jeden semestr spędziłam w Moskwie.

1987 – wyszłam za mąż.

Po ukończeniu studiów podjęłam pracę w jednym ze szczecińskich liceów. Pracowałam tylko 1,5 roku, bo w maju 1989 wyjechałam wraz z mężem do Kanady do Toronto. Tam mieszkałam 2 lata, a w 1991 wróciłam do kraju. Po trzech miesiącach urodziłam pierwszego syna. Nie pracowałam zawodowo, po 3,5 roku urodził mi się drugi syn. Po roku córka. Do dziś nie pracuję zawodowo. Kiedy najmłodsze dziecko poszło do przedszkola, znalazłam sobie zajęcie w postaci pisania. Mam napisane trzy powieści, z których dwie są wydane. 2006 Rollercoaster, 2010 Pałac z lusterkami. A więc moja rodzina to mąż (ciągle ten sam), troje dzieci i pies 10-letni czekoladowy labrador.

Katarzyna T. Nowak

Wujek

Grudzień kojarzy mi się ze świętami, karpim i moim wujkiem. Kim jest wujek, właściwie nikt w rodzinie nie wiedział. Pojawił się znienacka w jakiś grudniowy dzień, oznajmił że jest wujkiem i długo tłumaczył dlaczego, ale nikt tego nie zapamiętał. Zaprosiliśmy go na obiad w pierwszy dzień świąt. Przyszedł elegancki, w garniturze, kapeluszu.... jak spod igły. Ledwo wszedł, zaczął mówić. Wujek ma słowotok. W naszej rodzinie prawie każdy go miał poza ojcem, więc dogadywaliśmy się bez trudu, choć dla postronnej osoby mogło to wyglądać dziwnie.

W każdym razie, zasiadł na honorowym miejscu, zwykle zarezerwowanym dla ojca, czyli „u szczytu stołu”. A stół był wielki, szeroki, dębowy i na dwanaście osób – po mojej prababce. Zawsze rozkładaliśmy go na święta, chociaż była nas tylko czwórka.

Na obiad był akurat indyk. Ojciec, zwłaszcza wobec gości, zwykle zachowywał się zgodnie z zasadami *savoir vivre*. My byliśmy uprzejmie, ale naturalne. W domu kłękaliśmy jak szewcy i sporo paliliśmy, no ale skoro jest wujek, prawdziwy czy nie, to powstrzymywaliśmy się od rozmaitych „kurw”.

Tata wniósł na półmisku pokrojone plastry indyka, podzielone na białe i ciemne części. Stał obok wujka, niemal jak kelner.

– Wujek, jaki chcesz kawałek mięsa? Delikatniejszy biały czy ciemny? – spytał uprzejmie.

– Wszystko jedno – padła odpowiedź.

– Jak to wszystko jedno? To nie jest wszystko jedno! Wybieraj! – zdenerwował się ojciec.

– Kiedy naprawdę nieważne jaki to będzie kawałek. Na pewno będzie znakomity, wszystko u was jest znakomite, więc niewa...

– Jak to nieważne?! To jest bardzo ważne! – tata nie dopuszczał wuja do głosu.

A mięso stygło. My też.

– Nałóż mu wreszcie, przestań się wygłupiać, wszyscy siedzimy głodni – wtrąca mama.

– Psst, psst, jak ty się zachowujesz przy gościach – głośnym szeptem mówi tata. – Sama byś mogła mu podać!

– Czy wujek się zdecydował? Bo ręka mnie boli, a mięso już prawie zimne i nie będę co chwila latał do kuchni i odgrzewał!

– Kiedy naprawdę wszystko jedno – mówi wujko słabym głosem i niemal schował się pod stołem.

Wreszcie matka wstała, zabrała talerz i nałożyła szybko gościowi kilka kawałków ciemnego mięsa. Wujek odetchnął z ulgą, zabrał w dłoń sztucę, serwetę podłożył pod brodę i w tym momencie ojciec ręką zabrał mu wszystkie kawałki mięsa z powrotem na półmisek.

– Coś ty mu dała? Trzeba dać najdelikatniejsze kawałki. Na pewno woli te białe. Prawda, wujku?!

– Ależ ja lubię i ciemne, daj jakiegokolwiek...

– Jak to?! Jakiegokolwiek?! Do kurwy nędzy!! To po co ja się tak, kurwa, staram?! Je wujek czy nie?!

– Nie mam co – słabiutko odpowiedział nasz gość i skurczył się na krześle.

– W dupie mam święta, niech sobie wujko sam wybierze co tam chce!

I tak starszy pan pojawiał się u nas już w każde

święta niezrażony pierwszym wrażeniem. Nawet przyzwyczał się do nas. Przychodził zawsze w tym samym garniturze, od progu zaczynał coś mówić (zwykle o tym, żebyśmy przestali palić, bo szkodzi zdrowiu, a potem, jak to on, przeskakiwał z tematu na temat i tak w kółko) i siadał przy stole. Każda z nas starała się nie siedzieć obok wujka, bo gdy dorwał ofiarę, to opowiadał i opowiadał, i jeszcze kazał patrzeć na siebie i słuchać. Siadał i gadał. Mimo że chodziłyśmy po pokoju, robiłyśmy kawę, czy oglądałyśmy telewizję, wujek dalej siedział i gadał.

Po obiedzie odprawiał ten sam rytuał: wyciągał z kieszeni złożoną kartę, rozkładał na stole i mówił: opowiem wam dowcip. I zaczynał opowiadać – ten sam co roku. Chowaliśmy głowy pod stół, ale potem śmialiśmy się już w głos, ryczeliśmy wręcz ze śmiechu, łzy się nam po policzkach lały, ale nie z dowcipu oczywiście. Wujek był zachwycony. Miał nas za bandę wariatów, ale zdecydowanie nas lubił. My go też.

Kiedyś chciałam go o coś spytać:

–Wujek! A gdzie ty w Krakowie mieszkasz?! Przy jakiej ulicy?!

– Ależ kochana – mówił wujek cichutko. – Czemu ty tak krzyczysz?

– To wujek słyszy?

Nie wiem dlaczego, ale zawsze mi się wydawało, że do starszych ludzi trzeba mówić głośno.

Właściwie to cud, że nie uciekł od nas. Przynosił zwykle dziwaczne prezenty. Stary gruby ołówek, jakiś talerzyk, filiżanka. Dziękowaliśmy grzecznie i zapominaliśmy o nich, nie wiedząc, jaką mają wartość. Nie tylko wartość – jaką posiada pamięć o bliskich.

Otóż wujo – ostatni nauczyciel belcanta w Polsce

(wyjaśniam: uczył śpiewu i dykcji, a bel canto to specjalny włoski styl śpiewu operowego) – co się szybko okazało, był też nałogowym hazardzistą. Zawsze, ale to zawsze brakowało mu pieniędzy, a w domu miał niesamowite antyki i przedmioty warte majątek. Tylko że powoli znikwały, zastępowane jakimiś meblöściankami. Kiedyś po świątecznym obiedzie odwiozłyśmy go z siostrą do domu. W mieszkaniu panoszyły się filiżanki i talerzyki od serwisu, zabytkowe fotele, ale było nieco pustawo.

– Niech się wujek przyzna, że gra w karty na pieniądze – mówiłyśmy – To nic złego.

– Ja w nic nie gram, kochana – zawsze dodawał „kochana” – na żadne pieniądze. No, kiedyś grało się w pokera, ale teraz jestem biedny i z kolegami mamy własną grę.

– A jak się ta gra nazywa wujku?

– Do pięciuset.

No to sprawa jasna.

– Absolutnie nie na pieniądze! To tylko taka nazwa, kochana. A masz może jakąś stówkę?

No i tak to było z wujkiem. W skrócie. Bo ON to wieceeeelka historia.

Mija osiem lat, jak rodziny nie ma, stołu nie ma, a wujek?

Rok temu zostałam zaproszona na świąteczny obiad do znajomych. Już w progu usłyszałam, jak swoim charakterystycznym głosem opowiada swój ukochany, oczywiście ten sam, dowcip. Ucieszyłam się jak dziecko.

– Kto u was jest? – spytałam gospodynię, starając się ukryć wzruszenie.

– A to taki...wujek – odpowiedziała.

To była prawdziwa świąteczna niespodzianka.



Kornelia Romanowska

Gwiezdne życzenie

Natalia miała trzy lata, kiedy jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Brak bliższych krewnych sprawił, że trafiła do Domu Dziecka w Krakowie, w którym spędziła kolejne cztery lata swojego życia. Pomimo troskliwej opieki, której doświadczała ze strony opiekunek, kucharek a nawet sprzątaczek, nie potrafiła otrząsnąć się z przeżytej tragedii. W jej pamięci odcisnęły się wspomnienia brązowych oczu mamy i niskiego głosu ojca, czytającego jej bajki na dobranoc. Nie potrafiła jednak przywołać obrazu ich twarzy. Była zbyt mała, żeby zachować wszystkie szczegóły. Kiedy ustawiano ozdobne bukietki konwalii, w pękatach, kamionkowych wazonikach, zdawało jej się, że czuje delikatny zapach perfum. Wyobrażała sobie wtedy, że to mama stoi tuż za nią i dotyka delikatnie jej ramienia. Te krótkie chwile sprawiały, że czuła się bezpieczna i kochana. Za nic nie chciała otworzyć oczu, by nie stracić tej delikatnej więzi z matką, której niewyraźny obraz został przywrócony przez intensywny zapach kwiatów. W takich momentach czuła, jak pod powiekami zbierały się gorzkie, palące łzy.

Zazwyczaj siadywała w kącie, nie wadząc nikomu. Potrafiła siedzieć tam w takim bezruchu, jakby chciała zniknąć. Jakby najmniejsze drgnienie miało zburzyć piękne obrazy, które budowała w swojej wyobraźni. Marzyła o normalnym domu, w którym mama piekłaby ciasta, a tata uczył ją grać w piłkę. Marzyła o całusach na dzień dobry i bajkach na dobranoc. Marzyła o pokoju wypełnionym

pluszowymi zabawkami i sztalugami z pustymi kartkami. Marzyła, że może je zamalować. Marzyła też o psie, który mokrym nosem poszturchuje jej dłoń, domagając się pieszczot i uwagi. Zdawała sobie jednak sprawę, że to marzenie się nie spełni, bo rodzice są teraz w niebie i tam na nią czekają. Przynajmniej tak tłumaczyła to pani Ewelina, a Natalia bardzo ją lubiła, więc wierzyła w każde wypowiedziane przez nią słowo. Tylko droga do nieba zdawała się jej strasznie długa. Często stawiała na szarym, betonowym podwórzu, z głową zadartą w niebo. Patrzyła w bezruchu na przepływające w górze obłoki zastanawiając się, czy za jednym z nich znajduje się tajemnicza brama, przez którą można dostać się do tego miejsca, gdzie spełni się jej marzenie o posiadaniu prawdziwej rodziny.

Natalia z dnia na dzień jadła coraz mniej, całą energię poświęcając swoim rysunkom i pisaniu listów, które w nieładzie zalegały na jej niewielkim stoliku. Potrafiła godzinami wodzić pędzlem po czystej kartce papieru, by w rezultacie zostawić na niej tylko kilka niewyraźnych plam. Później wpatrywała się w nie, dotykała z namaszczeniem palcami, wodziła opuszkami po rozlewających się konturach, by za chwilę porwać kolejną czystą kartkę, napisać na niej kilka słów i zamknąć je w brązowej, taniej kopercie, jakich używa się w Domach Dziecka z powodu nie kończących się oszczędności. Ewelina przyglądała się jej ukradkiem. Od kiedy ta mała pojawiła się w Domu Dziecka, Ewelina nie mogła powstrzymać szybszego bicia serca na jej widok. Sama z mężem nie miała dzieci, więc praca tutaj i opieka nad tymi wszystkimi maluchami wystarczała jej, jako spełnienie dziecięcych marzeń o własnej rodzinie. Coraz częściej łapała się na tym, że zastanawiała się, jaki prezent

sprawiłby radość Natalii, lub co zachęci dziewczynkę do zjedzenia kapuśniaku. Nie uświadamiając sobie tego, myślała o niej bardziej jak o własnej córce. Nie miała o tym pojęcia, tak samo jak nie wiedziała, jak nazwać ogarniające ją uczucia. Serce krajało jej się za każdym razem, gdy Natalia popadała w melancholię i przez wiele dni nie odzywała się do nikogo. Wtedy Ewelina obserwowała ją z ukrycia. I mimo, że chciała podejść wtedy do niej i przytulić mocno do serca, wiedziała, że nie może. Nie może składać jej obietnic, które nie zostaną spełnione.

– Dlaczego mama mnie zostawiła? – spytała któregoś dnia Natalia, gdy siedziała jak kłębek nerwów przy sztaludze, malując zachód słońca. – Nie zostawiła cię. Musiała pójść z aniołkami – próbowała tłumaczyć Ewelina. Dobrze wiedziała, że dziewczynka nie długo będzie za duża, by w to wierzyć. – Ale aniołki nie zabierają dobrych mam. Ewelina nie bardzo wiedziała, co mogłaby na to odpowiedzieć. – Masz rację, ale w niebie też są dzieci, które potrzebują dobrych mam. To takie wyróżnienie, wiesz? – powiedziała, podchodząc do dziewczynki. – A wiesz, co się zbliża wielkimi krokami? Natalia pokręciła głową. – Święta. Cieszysz się? Przyrządzimy masę smakołyków, i pierogi i ciasta! Potem będziemy razem kolędować. Zobaczysz, że będzie wspaniale. Ale Natalia nie wyglądała na zadowoloną. – Mikołaj nie spełnił mojego życzenia. Ewelina pogłaskała ją po głowie i delikatnie przytuliła, chłonąc ciepło dziecka. Powstrzymywała łzy, które cisnęły jej się na oczy, nie mogła sobie jednak pozwolić na chwilę słabości. Nie teraz. – Mikołaj zawsze spełnia życzenia dobrych dzieci. Jestem pewna, że twoje też. A teraz zbieraj się na obiad. Natalia podniosła się powoli z siedzenia i spojrzała głęboko w oczy Eweliny. –

Chciałabym, by moja mama wyglądała tak jak pani.



Ewelina nie mogła zasnąć. Cały czas widziała przed sobą smutną twarz Natalii. W jej uszach dźwięczały ostatnie wypowiedziane przez nią słowa. Znowu poczuła jak do oczu napływają jej łzy. Nigdy nie czuła się tak związana z podopiecznym. Wiedziała, że musi trzymać pewien dystans, inaczej każde przykre doświadczenie odbije się na dziewczynce po tysiącokroć. Próbowwała chronić nie tylko małą, ale też siebie. Czuła jednak, że w tym przypadku wszelkie sposoby zawiodły, a w sercu Eweliny na stałe zagościła mała dziewczynka o wielkich brązowych oczach.

Gdy pojawiła się w pracy po nieprzespanej nocy, powitał ją uśmiech Natalii. Pierwszy, jaki widziała od kilku tygodni. Nie mogła się powstrzymać i podeszła do małej, by ją uściskać. – Pani Ewelino, namalowałam coś dla pani. Natalia wzięła ją za rękę i poprowadziła za sobą do pokoju, w którym w nieładzie walały się kartki, karteczki i rozpoczęte malowidła. Dziewczynka wyciągnęła zawiniątko spod łóżka i wręczyła zdziwionej Ewelinie. – Z jakiej to okazji? – spytała opiekunka, mając nadzieję, że nie słyhać drżenia w jej głosie. – Za to, że pani jest. Prosta odpowiedź pozbawiła kobietę tchu. Powoli, jakby nie chciała zniszczyć papieru, otworzyła pakunek i ujrzała rysunek przedstawiający kobietę i dziecko na tle zachodzącego słońca. – Piękny. Naprawdę ci dziękuję. Ale nie mam nic w zamian. – Nie szkodzi – odparła szybko dziewczynka. – Mikołaj wie, czego chcę – dodała po chwili, po czym nieśmiało przytuliła się do Eweliny

i szybko wybiegła z pokoju. Kobieta stała osłupiała, nie wiedząc dokładnie co się przed chwilą wydarzyło. Dopiero po kilku minutach wróciła do rzeczywistości i rozejrzała się po pokoju. Panował w nim istny artystyczny chaos. Mimowolnie uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że z Natalii wyrośnie cudowna malarka. O, jak bardzo chciałaby obserwować dorastanie tego dziecka! Miała już wychodzić, gdy zauważyła kilka kopert na biurku. Nie chciała naruszać prywatności dziewczynki, jednak bezwiednie, sięgnęła drżącą ręką po pierwszą z nich.

Drogi Mikołaju, nie proszę cię o wiele. Podaruj mi mamę i tatę.

Natalia

Otworzyła następną i następną. Na każdej kartce, dziecięcą ręką, wypisana była ta sama prośba. Ewelinę coś ścisnęło za gardło. Natalia potrzebuje domu. Jak najszybciej. Potrzebuje miłości i opieki. Takiej, którą zapewnia rodzina, mama i tata, wspólnie spędzany czas. Zabawy i nauka, rozmowy poważne i te o błahostkach. Spojrzenia pełne ciepła i pocałunki na dobranoc. Poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że jest kochana. Ewelina zadrżała, a w jej sercu zrodziła się pewność.



– To jak? Pomożesz mi upiec ciasto? Jeszcze nie to na święta, ta dopiero za kilka następnych dni. Ale dzisiaj jest niedziela i dobrze by było zrobić niespodziankę, prawda? Natalia skinęła głową, wodząc wzrokiem po kuchni. Ewelina widziała, że dziewczynka nie wie jak się zachować, choć w głębi serca pewnie cieszyła się, że może spędzić te kilka godzin w oderwaniu się od szarej

rzeczywistości. Z minuty na minutę robiła się coraz weselsza, a gdy Ewelina ubrudziła jej twarz mąką, dziewczynka zaczęła się głośno śmiać. Po tak spędzonym wieczorze, ciasno owinięta białą, tanią kołdrą zasnęła, z głową wypełnioną marzeniami. W takich chwilach rodziła się w niej nadzieja, że Mikołaj jej wysłucha. Że wysłucha prośby, której nie ma odwagi wypowiedzieć na głos.

Święta czuć już było w powietrzu. Sklepowe witryny oferowały wszelkiego rodzaju prezenty, zachęcając potencjalnych klientów niską ceną. Na ulicach wrzało od ożywionych rozmów i spieszących się ludzi. Mimo, że powinien to być czas na kontemplacje wśród ukochanych, coraz mocniej przypominało maraton, w którym największą wartość ma jakość prezentu, a nie atmosfera ciepła. Ewelina nie mogła tego zrozumieć. Sama kochała święta, zdawało jej się, że od zawsze i starała się tą radością dzielić z innymi. Gdy widziała przystrojone drzewka stojące na ulicach, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Słuchanie kolęd sprawiało jej nie mniejszą radość, niż pichcenie dla ukochanego męża, którego zaraziła swoim entuzjazmem już przy pierwszym spotkaniu. Ewelina robiła właśnie zakupy świąteczne, gdy zobaczyła kobietę idącą z córką za rękę. Wyglądały na szczęśliwe. Rozmawiały o czymś, ożywione, i z daleka było słyhać ich śmiech. Ewelina pomyślała o tym, że sama chciałaby móc to robić. Już dawno o tym postanowiła, teraz tylko czekała na spełnienie swojego marzenia. Usilnie wierzyła, że ma szansę, musi mieć. W chwilach zwątpienia, Marek – jej mąż – pocieszał ją, że wszystko ułoży się po ich myśli, a ona ufała mu najbardziej na świecie. Dlatego nie poddawała się, z determinacją wyganiając z głowy

smutne myśli i przykre obrazy. W końcu ruszyła dalej, w poszukiwaniu odpowiednich podarków dla swoich najbliższych.



24 grudnia mimo minusowej temperatury, okazał się słonecznym dniem. Ewelina nie mogła się doczekać spotkania z Natalią. Zmierzała do Domu Dziecka przepelniona szczęściem. Mijała uśmiechniętych ludzi, życzyła im wesołych świąt i w podskokach przemierzała zasypane śniegiem ulice. Gdyby mogła, zaczęłaby śpiewać na cały głos, zdawało się jej jednak, że nie jest to odpowiednie miejsce. Gdy znalazła się przed wejściem, zatrzymała się, z trudem łapiąc oddech. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, serce załopotało mocno. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym weszła do środka i gorączkowo zaczęła szukać Natalii. Znalazła ją w pokoju z zabawkami, gdzie siedziała przy sztalugach i malowała choinkę bez bombek. – Czemu nie ma świecidełek? – zapytała, klękając koło dziewczynki, starając się zapanować nad drzeniem głosu. – Bo Mikołaj znowu nie spełnił mojego życzenia. Jak zawsze – odparła cicho, nakładając na pędzel więcej zielonej farby. – Dlaczego tak myślisz? – Bo... – zaczęła, ale po chwili przestała i powróciła do swoich czynności. Zaciskała lewą rączkę na sukience i mięła ją w dłoni nerwowo. – Bo ja myślę, że pójdziesz ze mną do domu. – Popatrzyła na Natalię, a w jej oczach pojawił się wyraz skrywanej niepewności i drżącego oczekiwania. Natalia przez chwilę wpatrywała się w nią z osłupieniem. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. W jej brązowych oczach pojawiły się łzy. –

Przecież nie mogę – szepnęła. – Nie mam domu. Ewelina pogłaskała ją po włosach i przytuliła do siebie mocno. Przez kilka minut trzymała ją w ramionach. – Masz, kochanie. Już masz. Mikołaj chyba spełnił twoje życzenie, wiesz? – powiedziała Ewelina, nie wypuszczając małej z ramion. Poczowała jak jej małym ciałkiem wstrząsnął płacz. Wiedziała jednak, że to nie jest płacz smutku, a szczęścia. – Czy chcesz iść ze mną do domu? – Zapytała, mimo, że serce podpowiadało jej, jaka będzie odpowiedź. Natalia uniosła głowę, by spojrzeć Ewelinie w oczy. – Chcę... Bardzo. Bardzo chcę!

Kornelia Romanowska



Niespokojny rocznik '90. Studentka kulturoznawstwa, z zamiłowaniem zajmująca się grafiką. Typowa zodiakalna ryba, ze wszystkimi wadami i zaletami. Twierdzi, że w jej żyłach płynie rodowita, wolińska krew Słowian. W wolnym czasie lubi czytać i słuchać mocnych brzmień. Przygodę z pisaniem rozpoczęła siedem lat temu, publikując na forach internetowych wiersze. Należy do grupy poetyckiej Aurea Dicta. Laureatka kilku konkursów poetyckich, na swoim koncie ma wydane dwa tomiki, a w listopadzie tego roku ukazała się jej debiutancka książka *Puszka Pandory*. Miłośniczka zwierząt, zapalona fanka kawy z mlekiem, zakochana w życiu.

Antonina Kostrzewa

Opowieść wigilijna, czyli Święta nie istnieją

– Tato, a gdzie jest choinka? – Krzątała się po pokoju, ale on nic nie odpowiedział będąc nadal zajęty czytaniem gazety.

– Tato? – Ponowiła pytanie. – Tato!!

– Co cukiereczku? – Popatrzył na nią lekko zdegustowany widząc, że Kasia pościągała już wszystkie pudła z szafy, a ich zawartość rozrzuciła po pokoju. Mógł tylko wzdychać nie wiedząc, o co jej właściwie chodzi.

– Tu niczego nie ma. Nic. Kompletnie nic! – Była coraz bardziej zdenerwowana – Jakby tego nigdy nie było – powtarzała po czym wpadła w lekką zadumę. – Na pewno bombki będą w piwnicy. Tak! – Poparła się dodatkowo. Już po chwili z kluczami w ręce zbiegała po schodach. Klatka, jak w każdym dziesięciopiętrowcu nie zachęcała do dłuższego przebywania w niej. Jednak Kasia wołała ją, niż śmierdzącą windę. Schodek po schodku, piętro po piętrze i już po chwili znalazła się na parterze, a stamtąd tylko kilka kroków do piwnicy. Szczęk zamka w drzwiach i pełna nadziei otwierała swoją piwnicę, a raczej małą komórkę, do której nazwa piwnica w ogóle nie pasowała. Przeglądała kartony pod ścianą, później jakieś stare reklamówki, lecz nigdzie nie było niczego, co by jej przypominało święta. Żadnych bombek, ozdób, łańcuchów. Po prostu nic. Rozczarowana i z mętlikiem w głowie wracała powoli na górę. Sąsiad z szóstego, widząc jej

smutną minę nawet nie powiedział „Dzień dobry”, tylko minął ją bezgłośnie.

– Niech to szlag! – powiedziała na głos, co i tak było mocnym przekleciem, jak na trzynastolatkę. Jej krótkie spodenki, wymięty podkoszulek oraz krótko ścięte włosy robiły z nią prawdziwą chłopczycę. Jednak rzadko grała z innymi w piłkę, ani też z nikim się nie biła, zwłaszcza z chłopakami. Z dziewczynami raczej też nie przesiadywała. Uważała je za dziecinne. Ich problemy i zabawy były dla niej nudne. Ją samą bardziej pasjonowało życie dorosłych, a dokładnie to, co mogłaby robić, gdy już będzie duża. Pragnęła zostać inżynierem, a nawet i konstruktorem. Talent posiadała po ojcu, architekcie, lecz ją bardziej interesowało projektowanie samolotów. I właśnie w te święta wiedziała, że dostanie pod choinkę swój wymarzony model P-51 Mustang. Jednak działo się coś dziwnego. Dwudziesty czwarty grudnia był już dzisiaj, a nigdzie nie widać, by święta w ogóle się zbliżały. Żadnych dekoracji na lampach w mieście, żadnych wyprzedaży, żadnych reklam z Mikołajem, w domu nie było nawet choinki, a do tego żadnych ruchów w kuchni.. Po prostu nic. Z początku sądziła, że może w tym roku będzie trochę inaczej i promocje w sklepach mają wszystkich całkowicie zaskoczyć. Później zaczęła coś podejrzewać. Coś się nie zgadzało. Nikt nie czynił żadnych przygotowań. Wróciła do domu i trzasnęła drzwiami.

– I jak tam cukiereczku znalazłaś? – Spytał od razu ojciec.

– Mówiłam ci, żebyś nie mówił tak do mnie! – Przeszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi zostawiając zdezorientowanego ojca przy stole. Nie lubiła sobotnich poranków, bo ojciec wtedy od śniadania do obiadu

przesiadywał przy stole czytając gazety z całego tygodnia opowiadając mamie, co zdrożało, a co potaniało na świecie. Ją raczej to nie interesowało zbyt bardzo, lecz on dalej czytał.

– O kolejna wojna cenowa. Niesłychane – mówił z pełną pasją.

– Tak kochanie, tak – potakiwała mama.

Kasia po prostu tego nie znosiła i wołała nie wychodzić z pokoju. Myślała wciąż, gdzie mogą być święta. Postanowiła zrobić prywatne śledztwo. Święta nie mogły tak po prostu się ukryć. Na pewno można je znaleźć. Ona rozwikła tę zagadkę. Wyciągnęła z biurka notes, zatemperowała ołówek, wzięła jeszcze lupę, linijkę, dwa batoniki i paczkę chusteczek. To wszystko spakowała do swojego plecaka i była gotowa do drogi. Przebrała się stosownie do padającego na dworze śniegu i nic już nie mogło jej zatrzymać.

– Wychodzę, wrócę później.

– Dobrze – odpowiedzieli rodzice razem, nawet nie odrywając się od swoich zajęć. Ich w ogóle nie obchodziło, co się z nią dzieje. Mogła przecież zginąć, albo zostać porwana, a oni nawet nie pytają się, kiedy wróci. Wciągnęła buty, założyła kurtę i szalik. O czapce nawet nie pomyślała.

– Obiad będzie o trzeciej – rzuciła mama, gdy jeszcze miała otwarte drzwi – i załóż czapkę.

Nic nie odpowiedziała i zbiegała już po schodach. Siedem pięter w dół, później podwórko, jeszcze sąsiednie i po chwili stała na przystanku. Śnieg padał mocno przykrywając po chwili delikatną czapą jej włosy. Ona zaś patrzyła się na ludzi, którzy w ogóle nie zdawali sobie sprawy, że przecież powinni już myśleć o kupowaniu

prezentów czy o ubieraniu choinki. Nawet jadąc autobusem do centrum nie słyszała, by ktokolwiek się zastanawiał, co ma komu wręczyć. Nic, po prostu zero. Nawet autobusy jeździły normalnie jak w sobotę.

Wysiadła przy rynku. Ulice były białe i ludzie, jak zawsze przemykali szybko chodnikami schowani pod szalami i czapkami.

– O tak, tutaj zacznę – pokazała ręką kino i ruszyła w jego kierunku.

Przy kasach ścisk, jak zawsze. Sobota w wielkim mieście zawsze wygląda tak samo. Wzięła ulotkę i zaczęła czytać: „Szybszy niż śmierć pięć”, „Do zakochania jeden krok”, „Najsilniejszy – część druga”, „Zło, demony, powrót duchów”, „Nowy Rok w Texasie”.

Ulotkę włożyła do notesu i na pierwszej stronie zapisała:

„W kinie nie grają żadnych filmów świątecznych. Ani jednego!”.

Następnym przystankiem było centrum handlowe. Przechodziła obok ludzi i starała się zrozumieć, co musiało się stać, żeby zapomnieli o świętach? Dlaczego nie chcą ich obchodzić? Ojciec może coś widział w gazecie, ale nic nie powiedział na głos? Raczej nie, na pewno by się podzielił taką informacją. Gdzie ukrył się duch świąt? Gdzie te migające światełka na lampach, gdzie znikł Jarmark Noworoczny? Dlaczego nigdzie nie sprzedają jeszcze choinek, ani karpia? Może gdyby były te stoiska, to ktoś by sobie o nich przypomniał. I najważniejsze, dlaczego zniknęły wszystkie ozdoby z domu? Ostatnią myśl dopisała do notesu, by nie zapomnieć.

Weszła do centrum handlowego, zwanego potocznie galerią. W tej wspaniałej galerii panie pokazywały swoje

najnowsze kreacje, a panowie zawsze z podziwem je oglądali czasem przy niezadowoleniu swoich ubranych w zwykłe ciuchy partnerek.

– Ja mam jeszcze czas na taką swoistą rewię – pomyślała z uśmiechem i skierowała się do marketu. Przechodziła między regałami rozglądając się po półkach. Zaglądała także ludziom do koszyków. Brak grzybów, suszonych śliwek, bombonierek z Mikołajem, wspomnianego już karpia i ozdób. Tych ostatnich brakowało jej najbardziej. Żaden sklep nie był przystrojony. Nigdzie nie było Mikołaja, który siedział pod choinką, co roku dając dzieciom cukierki. W tle nie leciały kołеды. Tutaj nie znalazła niczego, co mogłoby przypominać o świętach. Wszyscy robili takie zwyczajne zakupy, jak w każdą sobotę.

– Takie to smutne – była całkowicie zagubiona i dezorientowana. Wtedy miała przebłysk: Punkt pakowania prezentów na drugim piętrze. Pobiegła tam, czym prędzej przedzierając się między ludźmi na schodach. Nadal tam był, a więc nie było, aż tak źle.

– Dzień dobry! – Krzyczała biegnąc do obsługującej pani – pakuje pani prezenty świąteczne?

– Witam cię dziewczynko. – ekspedientka poprawiała swoje włosy patrząc na nią, jak na zgubioną – Tak pakuje prezenty, ale dlaczego świąteczne?

– Bo święta zaraz się zaczynają, ot dlatego – To była Kasi cięta riposta.

– Tylko teraz nie ma żadnych świąt. Chyba, że chodzi ci o Nowy Rok?

– Nie! Chodzi mi o Święta Bożego Narodzenia.

– Takiego nie znam, to coś nowego?

– Grr... – zaryczała na nią Kasia i zdenerwowana

wróciła w stronę schodów nie chcąc jej tłumaczyć czegoś, czego i tak nie zrozumie.

– Jakaś dziwna, chyba się zgubiła – usłyszała za sobą jej głos.

Przed wyjściem z centrum handlowego Kasia wyciągnęła po raz kolejny swój notes:

Brak choinek, ozdób, wyprzedaży, jarmarku, świątełek – nie ma niczego, co by mogło ludziom przypominać o świętach. Resztę badań postanowiła przeprowadzić w domu, chociaż nie chciała za bardzo wypytywać rodziców, bo i tak już od dawna na nią dziwnie patrzyli. Znów przeszła przez rynek. Śladu po wielkiej choince, która stała tutaj, co roku w ogóle nie było. Zrobiło jej się smutno. Przysiadła na chwilę na ławce i zapłakała cichutko.

– Co się stało? – Zapytał siedzący nieopodal bezdomny z reklamówką zebranych, pustych puszek.

– Bo... bo nie będzie świąt w tym roku – ryczała już na całego.

– Nie wiem, co to święta, ale to na pewno coś przyjemnego, jak ciepły posiłek.

– Ty też nie wiesz? Już wszyscy zapomnieli o świętach – mówiła łkając. – To było coś pięknego. Coś wyjątkowego, gdzie wszystkie rodziny spotykały się na uroczystej kolacji, a później dawały sobie prezenty. Do tego była choinka, bombki, światełka, łańcuchy i ten nastrój. Prawdziwy nastrój świąt.

Bezdomny nic już nie odpowiedział. Wstał i poszedł w znanym tylko sobie kierunku zostawiając ją samą wśród ludzi, którzy jej w ogóle nie rozumieli.

Nie miała, co tu więcej szukać. Otarła łzy i wróciła do domu. Od razu usiadła przy stole z ojcem.

– Mogę zobaczyć program telewizyjny?
– Oczywiście córeczko. Nie zmarzłaś – nie podnosił nawet głowy znad gazety.

Wertowała strony jedną za drugą. Nie było nic. Po prostu zero. Żadnych kołęd, żadnych filmów religijnych, nie było Opowieści Wigilijnej, reniferów. Nawet nie było Kevina. To był spisek na najwyższym szczeblu.

Usiadła przed telewizorem. Zmieniała szybko kanały, aż zatrzymała się na reklamach. Jedna, druga, trzecia. Znowu nic. Żadnego Mikołaja, żadnych wyprzedaży zabawek, a ciężarówki Coca-Coli nie wyjechały w tym roku z garaży. Wyłączyła telewizor i patrzyła teraz w czarny ekran.

– Wszystko w porządku? – spytała mama. – Tak jakoś dziwnie dyszysz.

– I tak nie zrozumiesz.

– Opowiedz mi o tym, na pewno mogę ci coś doradzić.

– Chodzi o to, że.. – myślała, co może powiedzieć, by nie chcieli jej wysłać do psychologa.

– Że?

– Tato! Skąd masz ten sweter? – To był jej celny strzał.

– Ten? Mama mi kupiła.

– Dokładnie, nawet pomagałaś mi go wybierać. – wtrąciła mama.

– Ale z jakiej okazji? – nie ustępowała.

– Bez okazji, tak po prostu – ojciec odłożył zaciekawiony gazetę.

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam, to był prezent bez żadnej okazji.- dodał lekko podirytowany.

– A mamó, a ten szal, co dostałaś w tamtym roku, to też był bez okazji?

– Tato mi go kupił, bo zapomniał o naszej rocznicy w listopadzie.

– Tym razem pamiętałem – rzekł uradowany – już we wrześniu kupiłem rękawiczki.

– I nic nie pamiętacie? Choinki, ani bombek?

– Nie wiem, o co chodzi z tą choinką – strofował ją ojciec. – Kto chciałby trzymać w domu jakiegoś iglaka? Chyba ktoś z tundry.

– Nic nie rozumiecie, po prostu nic! – krzyczała na nich – Ukrywacie prawdę przede mną.

Po czym zamknęła się w pokoju zostawiając zdezorientowanych rodziców.

Wyciągnęła swój notes i zaczęła czytać swoje zapiski. Wychodziło z nich, że świąt nie ma, a co najgorsze nigdy ich nie było. Nikt o nich nie słyszał, a jak nie słyszał, to w jaki sposób mógłby je obchodzić. Poderwała się na równe nogi i złapała za biblię. Wertowała strony, ale nie było żadnych czystych. Jezus się urodził, byli Trzej Królowie. Wszystko się zgadzało, oprócz obchodzenia tego wydarzenia.

Zasiadła do komputera. Tam na pewno muszą być jakieś informacje. Wikipedia nie mogła kłamać, lecz świąt Bożego Narodzenia, ani Wielkanocnych nie było. Zagłębiała się coraz bardziej w sieć. Religia nadal istniała, ludzie wierzyli w Boga, lecz nikt po prostu nie obchodził świąt. Nie od pewnego czasu, nie obchodzono ich od zawsze. Tylko ona pamięta święta. Wspólne ubieranie choinki, szukanie prezentów, gdy rodzice poszli do pracy, zabawy z karpem w wannie, robienie zakupów świątecznych, zapach potraw i zapach ciasta. Nie mogła

tego nie zapomnieć. Jak mogłaby zapomnieć te chwile? Jak? Rozpłakała się na dobre, aż zaniepokojona mama przyszła do jej pokoju.

– Nie smuć się, pewnie jesteś zmęczona. Może się położysz do łóżka. Jak chcesz zrobię ci ziółka, a później możesz zjeść czekoladę. Co ty na to?

– Dziękuję ci mamo, ale nie wiem co się dzieje?

– To pewnie przemęczenie.

– Ale ty naprawdę nic nie pamiętasz?

– Czego mam nie pamiętać?

– No świąt.

– Nie dziecko. Nie pamiętam, bo nie ma czegoś takiego. Co miałabym świętować.

– I nawet, jak tak się mocno skupisz, to nic sobie nie przypomnisz?

– Nic, a nic mój cukiereczku. Połóż się, będzie ci lepiej.

Kasia położyła się do łóżka. Nie chciała spać, ale głowę schowała pod kołdrę. Mama wyszła z pokoju. Ojciec podniósł na chwilę głowę z nad kolejnej gazety.

– To chyba hormony – rzekła mama – zaczyna dojrzewać. Stąd te nastroje – i zamknęła drzwi od jej pokoju.

Kasia leżała w bezruchu myśląc o tym, że coś się dzieje z nią złego. Ona pamiętała wszystko dokładnie. Była sobie w stanie to przypomnieć. Tu już nawet nie chodziło jej o prezenty. Brakowało jej taty bez gazety i uśmiechniętej mamy. Teraz oni oboje byli jacyś obcy. W końcu przestała płakać i zamknęła oczy. Złość i zmęczenie przyniosły swoje skutki. Powoli zasypiała. Wszystko wokół zawirowało i zaczął się jej kolejny sen. Znalazła się w dziwnie jaskrawej krainie, gdzie wszystko

było sztuczne. Trawa była zrobiona z jakiegoś materiału, drzewa z pianki i waty, zaś przepływająca przez polanę rzeka z niebieskiej folii. Ptaki zawieszono na drutach, zaś przechadzający się drewniani ludzie byli marionetkami na sznurkach, których końce zniknęły gdzieś na namalowanym niebie rozświetlanym przez wielką żarówkę. Kasia popatrzyła na siebie – miała na sobie sandały, białe podkolanówki, białą sukienkę i duży kapelusz w tym samym kolorze w swojej ręce. Dotknęła jeszcze raz drzewa odłupując z niego kawałek pianki. Woda, a raczej folia wcale nie była zimna. W wiosce było tylko pięć domów, które też były tylko atrapą zbudowaną z pianki. Każdy był taki sam w środku. Plastelinowe stoły i krzesła. Nic więcej. Dopiero w ostatnim znajdował się kominek, a w nim duża zapalniczka. Nie wiedziała jeszcze do czego może jej się ona przydać, ale wzięła ją z sobą. Ludzie nie zwracali na nią uwagi. Próbowano szarpać ich drewniane ręce, wskakiwać na nich, ale bez skutku. Oni mieli własne życie. Podeszła do pierwszej marionetki:

– Jeśli mnie nie posłuchasz, to cię podpalę. Nie żartuję!

Drewniana lalka przeszła obok niej. Zdenerwowana Kasia odpaliła zapalniczkę pocierając ją o dom.

– Stój! – Krzyczała do marionetki nieskutecznie.

Odwróciła głowę do tyłu i przyłożyła zapalniczkę do marionetki. Ta od razu zajęła się ogniem. Upadła na piaskową ścieżkę i płonęła bezgłośnie niczym małe ognisko.

– A co tu się dzieje – powiedział nad jej głową głos starszej kobiety – kto by pomyślał palić moje lalki?

Przestraszona Kasia patrzyła w niebo, ale nikogo nie była w stanie dostrzec. Próbowano się schować, ale wprost

na nią spadła z góry wielka ręka i porwała ją ze sobą. Zostawiła za sobą sztuczny świat, który okazał się miniaturką umieszczoną w pudełku po butach i po chwili znalazła się w wielkim świetle, gdzie była wielkości krasnoludka. Ręka nadal ją trzymała, ale teraz zobaczyła do kogo ona należy. Twarz starszej pani trzy razy większa niż ona cała była na jej wyciągnięcie ręki. Jej siwe włosy i zmarszczki dodawały jej uroku, ale nie była taka miła na jaką wyglądała.

– No wprost niebywałe. Kto by się spodziewał? – Starsza kobieta położyła ją na talerzyku. – Skąd się tutaj wzięłaś?

– Nie wiem proszę pani, ja tylko zasnęłam.

– Tylko zasnęłam, dobre sobie – zaśmiała się głośno i donośnie – Jak się w ogóle nazywasz dziecko?

– Kasia – poprawiła się szybko. – Jestem Katarzyna

– Tak, Kasia. Pamiętam, pamiętam. Byłaś tutaj dokładnie rok temu.

– Ja rok temu?

– Milcz! Teraz ja mówię! – Ryknęła, po czym znów powiedziała łagodnym głosem – Wtedy pojawiłaś się podczas mojej kąpieli na gumowej kaczce. To dopiero przygoda.

– Kim pani jest? Ja nic nie pamiętam.

– Zwą mnie Matylda bosonoga, Czarownica Matylda

– Hyy... – przestraszyła się Kasia rozglądając się nerwowo wokół siebie. Znajdowała się na stole, na którym poukładana była praktycznie cała zastawa. Zaś starsza pani w ogóle się nią nie przejmując pieczołowicie czyściła teraz ścierką filizankę.

– Za każdym razem to samo. Co cię tutaj sprowadza

powiedz mi lepiej.

– Mnie nic. Znalazłam się tutaj przez przypadek. Jeśli pani może, to proszę mnie odesłać do domu.

– Przez przypadek. Odesłać – przedrzeźniała ją. – Do czego to doszło. Nic się nie dzieje przez przypadek. Na szczęście ja mam wszystko zapisane. Wszystko.

Matylda wstała i zniknęła w ciemni pokoju. Chyba gdzieś w drugim pokoju, bo hałasy dochodziły z daleka.. Kasia myślała o ucieczce, ale sama nie wiedziała, jak i gdzie. Nim się namyśliła, starsza pani była już z powrotem.

– Tak – oblizywała swoje palce obracając kartki w księdze z żółtymi stronami. – To było w tamtym roku. Wiktor, Ewa, Stefan, Kasia. Tak, to ty. Kasia Sawicka. To by się zgadzało.

– No w sumie zgadza się – odpowiedziała z niedowierzaniem – Tylko, co teraz?

– Równo rok temu przybyłaś tutaj z prośbą. Skoro jednak wróciłaś, znaczy, że coś ci się nie do końca podoba. Tak, jest tu i twoje życzenie: „Nie chcę by święta kiedykolwiek istniały”. I co ty na to młoda damo?

– To moje życzenie?

– Śmiesz twierdzić, że księga kłamie? Zresztą już jest twój podpis – obróciła książkę w jej stronę ukazując jej koślawe literki.

– To dlatego nie ma nigdzie choinek, ani nikt nie kupuje prezentów?

– Sama tak chciałaś. Twoje życzenie się spełniło. Powiedz mi lepiej, co robisz tutaj znowu?

– Bo ja bym chciała, żeby święta znowu były – rzekła bardzo cicho nie wydobywając prawie żadnego dźwięku.

– I myślisz moja droga, że tak łatwo wszystko cofnąć. Co ja wróżka jestem? Wróżka, dobre sobie – Roześmiała się prawie do łez Matylda.

Lekko zdezorientowana Kasia uroniła pierwszą łzę.

– Tylko mi tu nie płacz. – Pocieszyła ją wiedźma, jak tylko potrafiła – Lepiej powiedz, co ci w Świętach przeszkadzało?

– Nie pamiętam.

– Gdzieś w twojej głowie na pewno to siedzi. – Złapała ją za nogę i obróciła głową do dołu potrząsając.

– Przestań! Przestań! Co robisz?! Puść mnie! – Nim jednak skończyła krzyczeć, z jej ucha wyleciało coś małego i czarnego.

– O jesteś! – Rzekła Matylda – wiedziałam, że gdzieś tutaj się kryjesz – prawie upuściła Kasie starając się, by małe stworzenie nie uciekło – Oto i twoja czarna myśl, przypatrz się jej uważnie.

Kasia podnosząc się po upadku ledwo co dostrzegła coś czarnego na talerzyku, ale bała się podejść i zaniemówiła. Matylda znowu wyszła z pokoju i po chwili wróciła z wielką, starą tubą od gramofonu, której koniec wepchnęła sobie po drodze do ducha.

– A teraz mój mały przyjacielu, jeśli nie chcesz zniknąć zgnieciony w moich palcach, opowiedz mi, dlaczego ta młoda pani nie chce już świąt – zbliżyła się z końcem tuby do talerzyka.

Czarne stworzenie zapiszczało kilka razy podskakując przy tym.

– Interesujące – Matylda odłożyła tubę. Wzięła mały słoik i wrzuciła do niego czarną myśl. Słoik był już prawie pełen czarnej mazi. – Od dawna je zbieram. Takie moje hobby – dodała z uśmiechem.

– Ale, co ona powiedziała?

– Cóż, wychodzi na to, że uznałaś święta za nudne i tandetne, a otrzymane prezenty były dla ciebie, że tak powiem, badziewne.

– Wcale tak nie uważam. – Rzekła bardzo cicho – Chcę znowu święta, bo są ciekawe. Może i są tandetne, ale to nasza tradycja, a prezenty są badziewne, bo dają je mi rodzice, zamiast Mikołaja! – dodała krzyżąc.

– I cóż ja mogę teraz dla ciebie zrobić?

– Cofnij moje życzenie! – Rozkazała.

– Cofnąć się nie da. Przykro mi. Świąt już nie ma, ale tylko na Ziemi. Zobacz. Oto moja zastawa. Muszę ją wyczyścić, bo tutaj obchodzimy święta, a na czymś jeść trzeba. Twoja sukienka wygląda niczym jedwab, jeśli pomożesz mi wyczyścić porcelanę, to może coś wymyślę.

Nie czekając ani chwili Kasia zrzuciła z siebie sandały i kapelusz. Wskoczyła na talerz obok niej. Położyła się na brzuchu i odpychając się rękoma czyściła talerz. Matylda podsuwała jej następny i następny. Kiedy mała nie miała siły, ta wkładała ją do filiżanki, która kręciła na spodku robiąc Kasi karuzelę. Skończyły po godzinie, albo tyle się Kasi wydawało. Sukienka nie była już biała. Cała była pobrudzona i gdzieś tam przetarta.

– Dobrze się spisałaś. Myślę, że mogę coś dla ciebie zrobić.

Matylda znowu wyszła i po chwili wróciła ze zwykłą gumką. Otworzyła jeszcze raz księgę i po prostu wymazała jej życzenie.

– Nie mogłaś tak zrobić od razu?! – Krzyknęła oburzona.

– Oj dziecko, dziecko. Kto by mi pomógł wtedy wyczyścić zastawę?

– Wykorzystałaś mnie!

– Gdyby tak każdy mógł zmienić swoje marzenie, to nie byłoby o czym marzyć. A teraz idź już. Nie ma, na co czekać. Już prawie szósta.

– Ale dokąd mam iść? Którędy? – Nim jednak zdążyła się rozglądnąć Matylda przykryła ją filizanką i zrobiło się wokół niej ciemno. Kasia czekała, co się stanie, ale nie działo się nic. Próbowwała się wydostać, ze wszystkich sił starał się podnieść filizankę. Nagle zrzuciła coś z siebie. To była kołdra. Znajdowała się u siebie w pokoju.

Lekko zamroczona poszła do łazienki.

– Ale miałam dziwny sen – całkiem zaspana przeszła obok ojca nawet go nie zauważając – AAAA – krzyczała wybiegając po chwili z łazienki z opuszczonymi do kolan spodniami – Co tam robi ten karp?

– Pływa – odparł najspokojniej w świecie ojciec.

– To znaczy, że w tym roku będą święta?

– A czy któregoś roku nie było świąt? – Zapytała ją mama.

– Zawsze były – odparła wpatrując się w choinkę.

– Właśnie, a ty zawsze w święta symulujesz chorobę i leżysz pod kołdrą, zamiast mi pomóc. Lepiej byś się ubrała, to jeszcze zdążysz do sklepu po margarynę.

– Tak mam – podskoczyła i rzuciła się mamie na szyję – jak dobrze, że są święta. Tak się cieszę.

– Teraz się nie dziwię, czemu ci się taki dziwne rzeczy śnią – powiedział pod nosem ojciec wałkując ciasto.

Kasia znów wybiegła z domu i znów po schodach zbiegła na parter. Nie myślała już o swoim modelu samolotu, który od kilku dni leżał w szafie, ani też o tym, że znów zostawiła czapkę. Cieszyła się, że znów wszystko

wróciło do normy. Powiedzą sobie sztuczne życzenia, dadzą prezenty, których i tak się spodziewali, a na koniec oglądną Kevina z ciężarówkami Coca-Coli w trakcie reklam. Wiedziała, że nie obchodzą tych świąt tak, jak powinni, ale cieszyła się, że w ogóle cokolwiek robią. To był czas jej i jej rodziny. Mogli ze sobą nie rozmawiać, ale najważniejsze, że czuła, że są obok.

Nie pobiegła jednak do sklepu. Wsiadła do autobusu i pojechała do miasta. Wiedziała, że tam będzie ktoś, kto nadal nie wiedział, co to święta i wciąż marzył o ciepłym posiłku.

Antonina Kostrzewa



Urodzona 25 marca 1973 we Wrocławiu, absolwentka tutejszej Akademii Rolniczej. Nazywa siebie: „Początkującą pisarką”, chociaż z pisaniem związana jest od lat młodości. Zadebiutowała w kwietniu 2010 roku książką: *Zawstydzeni, czyli skazani na.. Samotność* wydaną przez wydawnictwo Astrum. Obecnie pracuje nad kolejną książką angażując się również w liczne inicjatywy wydawnicze. Nie lubi mówić o sobie, ani pokazywać się publicznie, więc wciąż ukrywa swoją prawdziwą twarz. Samotnie wychowuje swoją córkę – Julię.

Oficjalny blog autorki:

www.antoninakostrzewa.blogspot.com

Ewa Bauer

Polowanie

– A teraz poprosimy Magdę, żeby opowiedziała nam o swoich świętach. Proszę, Madziu, podejdź na środek i powiedz, jak to u ciebie wygląda – Pani nauczycielka wskazała na mnie palcem. Trochę się bałam stać przed całą klasą, ale można było dostać za to szóstkę. Miałabym wspaniały prezent dla rodziców, a poza tym inni już przede mną występowali i wcale nie było tak źle. Przygotowywałam się do tej lekcji przez cały tydzień, wystarczyło teraz tylko wyjść z ławki, podejść do Pani i zacząć opowiadać o moim ulubionym dniu w roku. – Nie wahaj się, Madziu, jesteśmy ciekawi twojej opowieści – delikatnie ponagliła mnie Pani z uśmiechem.

Wyszłam na środek i rozpoczęłam swoją historię:

– Uwielbiam święta Bożego Narodzenia, bo to czas, który mogę spędzić razem z rodzicami, nie chodzi się wtedy do szkoły, a mama i tata nie pracują. Czasem przyjeżdża do nas babcia, ale często jesteśmy tylko we trójkę. Mama przygotowuje pyszne potrawy, przez kilka dni bardzo ładnie pachnie w domu, a potem obżeramy się jak baki i śmiejemy z tego. Wtedy gdy mama gotuje i sprząta, tata zabiera mnie na polowanie. O, nie jest takie prawdziwe polowanie, on tylko tak to nazywa. Chodzi o to, że idziemy kupić choinkę, świeżą i pachnącą oraz jemiolę, którą wieszamy przy wejściu do domu. Kupujemy też karpia i zawsze jakąś niespodziankę dla mamy. Nie jest to zwykły prezent kupiony w sklepie, tylko coś wyjątkowego. Tata ma mnóstwo pomysłów i zawsze mówi, że jak się

kogoś bardzo kocha, to takie fajne pomysły same przychodzą do głowy. W zeszłym roku tata kupił mamie specjalną skrytkę na kolczyki. Była to szafka na klucze, taka z drzwiczkami i haczykami w środku, ale tata wykleił ją naszymi zdjęciami i dorobił specjalne zaczepy, zamiast kluczy mama może tam wieszać całą swoją biżuterię. Bardzo się z tego ucieszyła i podobało jej się to, że nikt nie będzie miał takiej samej. Ja w tym roku postanowiłam, że zrobię niespodziankę osobno dla mamy i osobno dla taty, ale nie powiem wam jaką, bo to tajemnica. – Na chwilę zamilkłam, zastanawiając się, o czym miałam opowiadać dalej. – Aha. Jak już wrócimy z tatą z polowania, to przygotowujemy choinkę, ubieramy ją w różne ozdoby, które wcześniej robiliśmy razem. Uwielbiam nasze drzewko, bo wiszą na nim zasuszone plastry pomarańczy, złote orzechy włoskie, kolorowe cukierki, łańcuch papierowy i aniołki z ciasta, które piekłyśmy z mamą. W całym domu pięknie pachnie świeżym drzewkiem i makowcem. Potem idziemy się przebrać do kolacji. Zawsze w tym czasie pod choinką pojawiają się prezenty. Koleżanka mówiła mi, że to rodzice je podkładają, a nie Aniołek czy Gwiazdka, ale ja sama nie wiem, bo przecież oni też w tym czasie przebierają się na Wigilię... – W tym momencie dzieci zaczęły się śmiać, co trochę mnie speszyło, ale przecież wiedziałam, o czym mówię. Pani gestem ręki uspokoiła klasę, a ja mogłam kontynuować: – Zawsze jestem ciekawa tych prezentów, ale mama powtarza, że przyjdzie na nie pora, na razie dzielimy się opłatkiem i siadamy do stołu. Rodzice długo składają sobie życzenia, przytulają się i całują pod jemiola, a ja uwielbiam na nich patrzeć. Potem oboje ściskają mnie i życzą mi, żebym była zdrowa, uśmiechnięta i miała dobre stopnie.

Następnie jemy te pyszności, co przygotowała mama, a jak już nie możemy nic zmieścić, to śpiewamy kolędy. Po Wigilii czekam do północy, żeby posłuchać jak mój chomik mówi ludzkim głosem, ale zawsze jestem tak zmęczona, że nie daję rady i zasypiam wcześniej. Rano mama opowiada mi, że chomik mówił, że mnie kocha i cieszy się, że się nim opiekuję. – Widząc reakcję dzieci, które znów zaczynały się śmiać, szybko zmieniłam temat – Zapomniałam, że zanim pójdę spać, oglądamy prezenty. Zawsze są super, ja dostaję ich najwięcej. To chyba tyle... czy dostanę szóstkę? – To ostanie pytanie skierowałam do nauczycielki.

– Jak myślicie – pani zwróciła się do klasy – czy Magda zasłużyła na szóstkę?

– TAAAK!!! – krzyknęła chóralnie klasa, a pani z uśmiechem na twarzy pochyliła się nad dziennikiem. Zadowolona wróciłam do swojej ławki, żeby wysłuchać historii Pawła, jedyne go jeszcze kolegi z klasy, który nie występował.

Był to ostatni dzień szkoły. Wróciłam do domu w podskokach, pomimo gęstego śniegu, który zalegał na drodze. Zastałam mamę oglądającą jakiś program w telewizji, co trochę mnie zdziwiło, bo o tej porze zawsze przygotowywała już jakieś ciasta. Kiedy zapytałam ją, co robi, powiedziała, że musi chwilę odpocząć, a potem zabiera się do pracy.

– A tata kiedy przyjdzie do domu? – Zapytałam, bo nie mówił mi rano, że będzie później.

– Tata wyjechał na delegację, nie wiadomo kiedy wróci – odpowiedziała mama i wyłączyła telewizor.

– Ale jak to wyjechał? A kiedy pójdziemy na polowanie? Gdzie pojechał? – nie spodobało mi się to, co

usłyszałam. Mama pokręciła tylko głową i wyszła do kuchni. Udałam się do swojego pokoju, żeby przygotować zaplanowaną dla rodziców niespodziankę. Trudno, najwyżej zapolujemy na choinkę w ostatnim momencie, zdarzało się w innych latach, że tata miał dużo pracy i wszystko robiliśmy w pośpiechu, zawsze jednak był na czas, dlatego i tym razem z pewnością tak będzie. Zamknęłam drzwi od swojego pokoju i wywiesiłam karteczkę „proszę nie przeszkadzać”. Nie musiałam się zbytnio martwić, że mama nagle wejdzie do pokoju, wiedziałam, że ma dużo pracy w kuchni i na pewno woli, żebym zajęła się swoimi sprawami. Kiedy już upewniłam się, że mój sekret nie wyjdzie na jaw, wyjęłam z górnej szuflady biurka szklaną butelkę po soczku, jaki kiedyś dostałam do szkoły, oraz mały słoiczek po majonezie, wykradzony mamie z kuchni. W kolejnej szufladzie znalazłam farbki do malowania na szkle, na które wydałam część swoich oszczędności, ale nie chciałam prosić o ich zakup rodziców, bo wyszłoby na jaw, do czego zamierzam je wykorzystać. Planowałam przygotować dla mamy pięknie przyozdobiony flakon na kwiaty, a dla taty pojemnik na spinacze, które wiecznie walają mu się po biurku. Praca zajęła mi dwie godziny, mama w tym czasie ani raz nie zajrzała do mnie, również mnie nie wołała.

Wieczorem taty nie było nadal. Męczyłam mamę pytaniami o niego, ale nie umiała mi nic powiedzieć. Wciąż powtarzała, że dużo pracuje, że wyjechał w delegację i że na pewno wróci. Widziałam, że jest bardzo smutna, ale przecież miała jeszcze tyle pracy, nie było więc z czego się cieszyć. Za to w Wigilię, jak wszystko już będzie gotowe, będziemy się znów w trójkę śmiać, śpiewać i objadać smakołykami, a ja będę patrzeć, jak rodzice tulą się do

siebie i szepczą miłe słówka.

W dzień Wigilii, rano, mama zawiozła mnie do babci, która potrzebowała pomocy przy lepieniu pierogów. Nie bardzo mi to wychodzi, ale skoro babcia prosiła o pomoc, to pojechałam to zrobić. Przynajmniej nie musiałam siedzieć w domu i czekać na tatę. Nie wiadomo, kiedy wypuszczą go z tej delegacji, ale miałam nadzieję, że wkrótce, musieliśmy przecież pójść na polowanie i zdobyć piękną choinkę i karpia. Już koło południa chciałam wracać do domu, tata na pewno na mnie czeka i się denerwuje, że nie zdążymy ubrać choinki, babcia jednak ciągle wymyślała nowe prace, przy których nie może się beze mnie obejść. Nie podobało mi się to, chciałam do domu, wszystko w tym dniu było nie tak, tata już pewnie dawno sam kupił choinkę i ją ubrał, nie wiem też jaką niespodziankę wymyślił dla mamy. Marudziłam i marudziłam, aż babcia w końcu zgodziła się zawieść mnie do domu. Przy okazji powiedziała, że będzie w tym roku u nas na Wigilii. To dobrze, im więcej, tym lepiej, pomyślałam sobie.

Przyjechałyśmy do domu około piętnastej. W progu przywitała nas mama. Miała na sobie fartuch kuchenny ubrudzony mąką, w domu czuć było zapach smażonej ryby, a nie makowca i choinki.

– Jest tata? – zapytałam od progu, niestety mama pokiwała przecząco głową. Chciałam zadać jej jeszcze jedno pytanie, ale dziwnie odwróciła się i wybiegła do kuchni.

– Madziuniu, zdejmij butki i kurtkę, nie zawracaj mamie głowy. Widzisz przecież, że jest bardzo zajęta. – Babcia próbowała wytłumaczyć zachowanie mamy.

– Ale ja chcę wiedzieć gdzie jest tata! – krzyknęłam,

a do oczu napłynęły mi łzy. – Dlaczego nikt mi nie chce powiedzieć, gdzie on jest? Chcę do niego zadzwonić! – sięgnęłam po słuchawkę telefonu.

– Uspokój się, kochanie, tata jak będzie mógł, to przyjedzie albo zadzwoni. Jest na delegacji, widocznie ma dużo pracy – babcia wyjęła mi słuchawkę z ręki i lekko popchnęła mnie do salonu – popatrz, ile nas czeka roboty, musimy ubrać choinkę.

Spojrzałam na badył stojący przede mną i oniemiałam.

– To ma być choinka? Przecież to jest sztuczne. Kto to kupił? – byłam bliska płaczu. – A gdzie pierniki i ciasteczkowe anioły? Mamo, upiekałaś?

– W tym roku nie było czasu na kupienie prawdziwej choinki, ani na ciasteczka,. Zobacz, mamy tu ładne bombki, gwiazdki i... o, jest nawet twój zeszłoroczny łańcuch – babcia zbyt szybko wyciągnęła go z pudełka. W kilku miejscach papier rozdarł się i na podłoże wylądowały kawałki.

– Zniszczyłaś go – rozplakałam się na dobre. – Nie chcę szklanych baniek, nie chcę sztucznej choinki, jest obrzydliwa. Ja chcę do taty.... – wybiegłam zrozpaczona do swojego pokoju. Położyłam się na łóżku i przytuliłam ukochanego pluszowego króliczka. *Co się dzieje? Czy to jest sen? Gdzie jest tata? Dlaczego wszystko jest na opak?* Nie wiedziałam, co mam myśleć o całym tym zamieszaniu. Tatusz był gdzieś daleko, nie pozwalano mi do niego zadzwonić, a może on czeka na telefon ode mnie, przecież byliśmy umówieni na polowanie. Zawsze tak było, zawsze....

Do drzwi zapukała babcia:

– Madziu, chodź skarbie, pomóż mi nakryć do stołu.

Posłuchaj mnie – przysiadła na moim łóżku i wyciągnęła do mnie rękę, ale ja odwróciłam się do niej plecami – mamusia jest smutna, kiedy tak się zachowujesz. Nie martw się, tata na pewno się odezwie, a ja będę z wami w święta. Zaśpiewamy kolędy, poczekamy do północy, a może nawet pójdziemy na Pasterkę?

– Nie chcę iść na Pasterkę, nie chcę świąt, a dla ciebie nie mam prezentu, tylko dla taty. JA CHCĘ TATE!!! – wykrzyczałam i znów zalałam się łzami – Idź sobie, nie chcę cię, idź... – przykryłam się kołdrą razem z głową, a nogami spychałam babcię z łóżka. *Niech sobie idzie.. po co w ogóle przyjeżdżała.* – To przez ciebie nie ma taty! – krzyknęłam jeszcze za nią, kiedy zamykała drzwi. Nie mogłam opanować płaczu. *Tatusiu – wołałam w myślach – tatusiu, wracaj do mnie, nie chcę żyć bez ciebie, tatusiu kochany, ja umrę, jak nie wrócisz. Tatusiu, nie zostawiaj mnie, proszę...*

Nie wiadomo, kiedy zasnęłam. Gdy otworzyłam oczy, nadal czułam się bardzo zmęczona, ale zaraz zobaczyłam pięknie wystrojoną mamę i usłyszałam dźwięki kolędy z płyty, którą czasem puszczaaliśmy, więc szybko zerwałam się z myślą, że zasnęłam i nie jestem jeszcze gotowa. Mama podsunęła mi świeże ubranie i poprowadziła do łazienki.

– Wiesz, mamusiu, miałam okropny sen. Muszę go wam opowiedzieć, zaraz się umyję i przebiorę, a wy z tatą na mnie zaczekajcie – obmyłam zapłakaną twarz, przebrałam bluzkę i spódnicę i przyczesalam włosy.

– Jestem gotowa! – wbiegłam radośnie do salonu, ale po kilku krokach znieruchomiałam. Stół, owszem, przybrany był jak zwykle, serwis obiadowy, który używaliśmy tylko od święta błyszczał na czerwonych

serwetkach, sztuce pięknie wypolerowane równiutko ułożone obok, złota świeca przybrana gałązkami i sianem znajdowała się na środku, ale... nakryć było tylko trzy. Zawsze zostawialiśmy dodatkowe, dla zbłąkanego wędrowca, który, choć nigdy się jeszcze nie pojawił, mógł zawitać w nasze progi. Brak miejsca dla niespodziewanego gościa nie byłby jeszcze taki straszny, gdyby nie to, że przy jednym z miejsc siedziała babcia. W takim razie nakryć powinno być co najmniej cztery...

Następnie spojrzałam na choinkę, choć ładnie przybrana i kolorowa, niczym nie przypominała tej naszej, co rok innej, upolowanej przeze mnie z tatą na placu targowym, udekorowanej ręcznie robionymi ozdobami.

Widziałam, że babci bardzo zależy na uznaniu, powiesiła nawet kolorowe cukierki, żeby choć trochę było jak dawniej, ale ja nie dałam się oszukać. Poczułam, że łzy znów napływają mi do oczu, ale wtedy mama objęła mnie mocno i powiedziała:

– Skarbie mój. Tata wyjechał. Dzwonił, kiedy spałaś i prosił, żeby przekazać ci najlepsze życzenia świąteczne. Te święta spędzimy osobno, ale nie martw się, na pewno wszystko się ułoży. Zobacz, ile prezentów pod choinką. Sporo z tego jest dla ciebie – mama mówiła spokojnie, ale jej głos brzmiał ciszej i jakby niepewnie. Patrzyłam jej w oczy i czekałam, żeby powiedziała, że żartuje, że tata zaraz wejdzie do domu i spędzimy święta jak dawniej. Nic takiego nie usłyszałam.

Odmówiliśmy szybko modlitwę, połamaliśmy się opłatkiem, ale nastroje nie były wesołe. Jedzenie mi nie smakowało, barszcz był za słony, ciasto pierogowe twarde, a ryba przypalona. Czułam jak w mojej głowie rodzi się złość na mamę. Nie postarała się, to na pewno przez nią

tata nie przyjechał z delegacji. Choć miałam dopiero osiem lat, wiedziałam, kiedy mama nie mówi prawdy. Zawsze, kiedy chciała powiedzieć mi coś, co nie było prawdą, ściszała głos, lekko jej drżał i kuliła się w sobie. Dlaczego teraz coś ukrywała przede mną, nie wiedziałam. W mojej głowie powstał za to plan. Jeśli tylko będzie ku temu okazja, przepiszę z mamy notesu numer telefonu komórkowego taty, a potem do niego zadzwonię. Nawet najbardziej surowy szef musi pozwolić mu porozmawiać w Wigilię z córką. A tata z pewnością wszystko mi wyjaśni. Od razu poprawił mi się humor, zaśpiewałam nawet z babcią jedną kolędę, a potem pobiegłam do mojego pokoju.

– Magda, a prezenty? Zapomniałaś? Nie wierzę, przecież nigdy nie możesz się doczekać – mama podążyła tuż za mną. – Chodź, już czas zobaczyć co też Aniołek nam przyniósł. – Wtedy przypomniałam sobie, że nie włożyłam pod choinkę prezentów dla mamy i taty, które własnoręcznie przygotowałam.

– Zaraz przyjdę, daj mi chwilę. – Wyciągnęłam z biurka opakowane już przedmioty i delikatnie przeniosłam je pod choinkę. – Tego najmniejszego nie ruszajcie, jak tata przyjedzie, to sam sobie otworzy, to dla niego.

Mama ucieszyła się z flakonika, pogratulowała mi zdolności artystycznych. Byłam ogromnie dumna z mojego dzieła, kwiaty i biedronki, które wymalowałam na szkłe, wyglądały naprawdę dobrze. Zrobiło mi się trochę smutno, że nie przygotowałam niespodzianki dla babci, ale ona to zrozumiała i przytuliła mnie do siebie, mówiąc: – Twój uśmiech jest dla mnie największym prezentem, dlatego proszę, nie przestawaj się uśmiechać.

Jak co roku, najwięcej prezentów było dla mnie, dostałam wymarzone rolki, grę strategiczną i komplet przyborów do malowania na płótnie. Zwłaszcza ten ostatni prezent spodobał mi się bardzo, bo nie spodziewałam się go, a w ostatnim czasie dużą frajdę sprawiały mi zajęcia plastyczne.

Nareszcie nadszedł odpowiedni czas, żeby zrealizować mój sekretny plan. Mama zmywała naczynia, a babcia drzemała w fotelu słuchając orędzia prezydenta. Po cichutku wyjęłam z mamy torebki notes z telefonami, odszukałam odpowiedni numer i przepisałam na kartkę. Notes schowałam na miejsce, a sama ze słuchawką telefonu udałam się do mojego pokoju. Zamknęłam delikatnie drzwi i wykręciłam zapisany numer. Długo nikt nie podnosił słuchawki, ale po chwili usłyszałam dziecięcy głos:

– Halo – odezwał się jakiś chłopiec – Halo, jest tam kto? – milczałam, bo zapewne pomyliłam się przy przepisywaniu numeru telefonu – Tato, ktoś dzwoni na twoją komórkę i się nie odzywa – w tym momencie odłożyłam słuchawkę i pobiegłam do przedpokoju, by sprawdzić numer do taty. Tak, to był ten, widocznie źle go wybrałam na telefonie. Po chwili znów wybiłam odpowiednie cyferki i w napięciu czekałam na połączenie. Tym razem to był właściwy głos. W moim sercu zrobiło się ciepło, radość pojawiła się na twarzy, dodzwoniłam się pod właściwy numer, a szef taty pozwolił mu odebrać telefon.

– Tatusiu, to ja Magda. Kiedy przyjedziesz? Czekam na ciebie i pod choinką jest prezent... – wyrzuciłam z siebie z prędkością torpedy.

– Madzia? To ty? Dlaczego dzwo... to znaczy, skąd masz mój numer?

– Tatusiu, święta bez ciebie to nie to samo, wszystko

jest pokręcone, kiedy przyjedziesz?

– Córeczko, ciężko pracuję. Mama ci nie mówiła, że wyjechałem i że nie będę dzwonił, bo nie mogę? – w tle słyszałam jakieś głosy, pewnie szef taty każe mu pracować. Nie chcąc, żeby miał kłopoty, szybko powiedziałam: – Tak, mówiła, że jesteś w delegacji. Szkoda, że spałam, jak dzwoniłeś. A kiedy wracasz? – w tym momencie w słuchawce usłyszałam wyraźnie damski głos, mówiący: Bogdan, z kim rozmawiasz w Wigilię? Chodź już, kochanie, dzieci nie mogą doczekać się otwarcia prezentów.- *Ko to był? Co mówiła ta kobieta do mojego taty?* Nie zrozumiałam sensu.

– Tatuś, gdzie jesteś? Czy ta pani woła ciebie? To kiedy przyjedziesz? – niecierpliwiłam się, ale tata nie odpowiadał na moje pytania.

– Muszę kończyć. Kiedyś ci to wytłumaczę... – i odłożył słuchawkę. Nic z tego nie rozumiałam. *Czy szefem taty jest ta pani? Co to za dzieci? Czy w firmie też robi się prezenty pod choinkę?* Jak zwykle miałam tysiące pytań, na które sama nie znałam odpowiedzi. Musiałam zapytać o to mamę. Skończyła właśnie zmywać i wycierała ostatnie talerze, kiedy oznajmiłam jej:

– Rozmawiałam z tatą! – W kuchni rozległ się huk, z rąk mamy wyleciał jeden z talerzy ze świątecznej zastawy. – Jak to rozmawiałaś z tatą? – zapytała.

– Normalnie, zadzwoniłam. Ale nie mogłam rozmawiać, bo jego szefowa wołała go do otwierania prezentów, były tam jakieś dzieci, które nie mogły się doczekać. – Widziałam jak mama blednie i opada na stół.

– A powiedział, że jest za granicą..., żeby nie dzwonić, bo to drogo kosztuje..., że zarabia na życie, nasze życie.... – ledwie usłyszałam głos mamy, nie bardzo

wiedząc, do kogo ona się zwraca. Nic z tego nie rozumiałam. Do kuchni weszła babcia, objęła mamę, nie rozmawiały, a wyglądało, że rozumieją się bez słów. *Dlaczego ja wciąż nie wiem, co jest grane?*

Mama zaczęła szlochać, a babcia ją uspokajać. *Co się dzieje? Dlaczego mama płacze, skoro tata ma dobrą pracę i zarabia za granicą, żeby nam się dobrze wiodło?* Uciekłam do swojego pokoju. Chciałam, żeby ten szalony dzień się skończył, albo żeby ktoś wytłumaczył mi, o co chodzi. Tak bardzo chciałam być już dorosła i umieć porozumiewać się bez słów, tak jak babcia i mama. Może wtedy nie musiałabym dzwonić do taty, tylko intensywnie o nim myśleć, a on usłyszałby moje myśli. Wiedziałyby jak bardzo go kocham i jak bardzo mi teraz go brakuje.

Bawiłam się telefonem. Nagle przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, jaki numer wybrałam za pierwszym razem, kiedy dzwoniłam do taty, a odebrał jakiś chłopiec. To był ten sam numer, który wybrałam później. *A więc ten chłopiec mówił „tato” do mojego taty... Spędzali razem święta z jakąś panią, która mówiła, że czekają na otwarcie prezentów i powiedziała do niego ... chodź już ... kochanie... I wtedy zrozumiałam, że tata nie pojechał na żadną delegację.*

Spojrzałam na zegar, za minutę północ. Pierwszy raz w moim ośmioletnim życiu doczekałam do tej godziny. Za niespełna minutę mój chomik przemówi do mnie ludzkim głosem. Wyjęłam go i przytuliłam. Czekałam, ale on nie odezwał się. Mijały minuty, a ja pojęłam, że i w tej sprawie zostałam okłamana. Poszłam do salonu, gdzie na stole leżały otwarte prezenty. Wzięłam flakonik mamy, a następnie schyliłam się i wyjęłam spod choinki zawinięty w papier prezent dla taty. Odpakowałam go i obie

niespodzianki wyrzuciłam przez okno. Po chwili rozległ się dźwięk tłuczonego szkła na chodniku.

Marek Ścieszek

Dziecko

Wnętrze każdego śmiertelnika kryje zapadkę, której naciśnięcie sprawia, iż nawet najnędrniejszego gatunku bestia w ludzkiej skórze choćby na kilka chwil na powrót staje się człowiekiem. Problem w tym, że należało się wysilić, aby znaleźć to jedno jedyne coś, co działało na rzeczoną zapadkę. A nie wszystko ją aktywowało. Bowiem, jeżeli się było prawdziwą kanalią, nie wystarczyło wysłuchać byle apelu do poczucia człowieczeństwa, aby móc, choćby na krótko, się zmienić.

W przypadku Kuna Volkenburgha, który – mimo wszystko – nie należał do ostatnich łobuzów, nie chodziło o słowa. Okazało się, że wystarczył widok dziecka.

Chłopczyk, nie więcej niż sześć lat, stał na poboczu drogi i spoglądał na Kuna, niespecjalnie zadzierając głowę do góry, mimo że mógł mierzyć co najwyżej dwa i pół łokcia, zaś rycerz siedział na grzbiecie rumaka, Centaura. Mały uniósł tylko podbródek, zaś reszty dokonały jego szeroko otwarte, nienaturalnie spoglądające w górę oczy. Śnieg wprawdzie przestał padać jakiś czas temu, ale wcale nie zrobiło się od tego cieplej, a ten tutaj odziany był w jakieś niespecjalnie ciepłe szmaty.

Kuno pochylił się i nie schodząc z konia, zlustrował malca od stóp do czubka głowy. Jego poważna, nie pasująca do wieku mina sprawiła, że rycerz mało nie prychnął rozbawiony. Nie uczynił tego jednakże, jeszcze większe bowiem wrażenie uczyniła na nim usmolona sadzą buzia oraz wyraźne, podeszłe krwią pręgi na policzkach

oraz czole chłopca.

Wyglądało na to, że dzieciakowi przytrafiło się coś złego. Coś, co zmusiło go do błąkania się samemu po lesie, w środku zimy, kilka dni przed wigilią Narodzin Zbawiciela, z dala od ludzkich sadyb. Z daleka od domu i rodziców. Wprawdzie Kuno nie odczuwał pośpiechu, mimo to nie należał do ludzi, którym by zależało na przerywaniu drogi z przyczyny kogoś, kto ledwie odrósł od ziemi.

Wbrew samemu sobie pochylił się jednak jeszcze niżej. Opuścił owinięty wokół szyi kołnierz z wyprawionej wilczej skóry i skinął na dziecko palcem.

– Podejdz no, malcze – rzucił dobrotliwym tonem, buchając z ust kłębamii pary, niczym smok, z którym potykał się święty Jerzy.

Dzieciak nie wykonał ruchu.

– Głuchyś, czy głupi? – kontynuował Kuno tonem łagodnej łaskawości. Ponownie bez odpowiedzi. – Skąd jesteś? Jak cię zwą?

Widząc obojętność chłopca oraz ewidentny brak zainteresowania rozmową, Kuno odwrócił się w kierunku sługi, prowadzącego objuczonego osła. Ruchem głowy wskazał mu malca, każąc usadzić go wśród tobołów na oślim grzbiecie. Sługa zrozumiał polecenie bez słów. Nie zdążył jednak wcielić je w życie, bowiem mały odwrócił się i umknął pomiędzy drzewa. Na szerokim, głupawym obliczu pachółka uwidoczniła się konsternacja. Zerknął na rycerza z niepokojem, jakby spodziewając się kary. Kuno zaś wzruszył ramionami.

– W drogę, Honza – mruknął. – Nie mitrężmy.

Ruszyli. Przodem pan, w tyle sługa. Sto jardów dalej ponownie zatrzymali się, ujrawszy to samo dziecko, które

wyłoniło się tuż przed nimi spomiędzy pokrytych śnieżnymi czapami drzew. Najwidoczniej malec wyprzedził ich i czekał aż dotrą do jego kryjówki, by znów móc się ujawnić.

– Słuchaj, dzieciaku. – Kuno po raz pierwszy poczuł ukłucie zniecierpliwienia. – Jeśli się zgubiłeś, wskakuj na osła. Zawieziemy cię do najbliższej osady, z której pewnie pochodzisz. Bądź łaskaw nie marnować mojego czasu.

Dziecko nie wypowiedziało ani słowa. Stało tylko, patrząc rycerzowi prosto w oczy. Na jego małej, umorusanej buzi widać było nienaturalny spokój. Zdumiewające, ale nie robiło na nim żadnego wrażenia wszechobecne zimno. Równie dobrze Kuno ze swoim niemyym sługą mogliby natknąć się na wyrosłe na środku traktu drzewo, które można obejść i zostawić za plecami, ale którego nie sposób minąć z obojętnością.

– Honza, pomóż mu.

Służący ponownie ruszył w kierunku chłopca i raz jeszcze stanął jak wryty. Jego oblicze pokryła sieć zmarszczek. Na usta wypełził bezmyślny uśmiech. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stało dziecko, był już tylko pusty trakt.

Centaur, bojowy wierzchowiec Kuna Volkenburgha, na wyraźne życzenie pana ruszył przed siebie.

Gościniec kilkadziesiąt jardów dalej zmieniał kierunek na wschód. Kuno wiedział, że tuż za zakrętem znajdował się klasyczny czterokierunkowy rozjazd. Jedną z odnóg można było dotrzeć do odległego Landsberga, przeciwnie zaś prowadziła do pobliskiej Przytocznej. Oczywiście rycerz nie zamierzał odwiedzać landsberskiej siedziby margrabiego. Ktoś taki jak on – od lat zajmujący się rozbojem – nie mógł liczyć na łaskawość władz, jeśli

go pochwycono w grodzie założonym przez Albrechta de Luge. Zamierzał skorzystać z drogi na Przytoczną, skąd już niedaleko mu było do ukrytych w tutejszych lasach towarzyszy. Mimo to nie spodziewał się, że i tak nędzny wybór zostanie ograniczony do zera. I to przez kogoś tak mało istotnego jak ów smyk, bawiący się nim niczym syty kocur gryzoniem.

Mały stał na środku gościńca, za plecami mając rozstaje, zaś przed sobą zakręt, z którego jako pierwszy wyłonił się Kuno. Rycerz zatrzymał się, słysząc jednocześnie pełne zniecierpliwienia sapnięcie Honzy.

Służący Kuna Volkenburgha był opóźniony w rozwoju. Nieco inaczej reagował na bodźce. W sytuacjach, kiedy jego pan odczuwał smutek, Honza potrafił śmiać się jak małe dziecko. Zdarzały się jednak chwile, takie jak ta, gdy obydwaj doświadczali tych samych stanów. W momentach najwyższej próby Czech chwycił to, co akurat miał pod ręką, i z rykiem wściekłości szedł w bój bok w bok ze swym panem. Widok nacierającego barczystego młodzieńca o twarzy matołka, wykrzywionej dodatkowo bezmyślną nienawiścią, potrafił przejąć atawistycznym lękiem najmężniejsze serce.

Na pytające spojrzenie służącego Kuno odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Zeskoczył na ukryty pod śniegiem trakt i ciągnąc Centaura za uzdę, zbliżył się do malca na odległość nie większą jak dziesięć jardów. Mały nie poruszył się, nie wyglądało na to, aby zamierzał ponownie dać drapak. Mimo to Kuno się zatrzymał.

– Spokojnie. – Rycerz podniósł prawą dłoń w geście wyrażającym dobre zamiary. – Nic ci z naszej strony nie grozi. Jesteś z okolicy?

Nadal nie mogąc się doczekać odpowiedzi, Kuno uczepił się ostatniej nadziei. Uznał, że dzieciak może nie rozumieć niemieckiego rycerza, mówiącego w swojej ojczystej mowie. Możliwe, iż język niemiecki nie był rodzimą mową malca.

– Jesteś stąd? – zapytał po polsku, nieco kalecząc słowa.

Dziecko skinęło potwierdzająco głową. Nie wyrzekło ani słówka, mimo to Kuno uznał, że poczynił znaczny postęp.

– Znam te okolice – pochwalił się, ostrożnie wymawiając nienaturalnie dlań brzmiące słowa. – Oraz osady leżące wokół. Jesteś z Rokyt... Rokitna?

Mały bardzo powoli zaprzeczył, nie tracąc kontaktu wzrokowego z rycerzem.

– Zatem skąd? Z Nowej Niedrzwicy, Goraju, Krobielewa? A może z Przytocznej? To niespełna pół mili stąd.

Odpowiedź malca wciąż była identyczna. Kuno zastanowił się, tracąc na chwilę koncept. Pomoc nadeszła z najmniej oczekiwanej strony.

Honza zrównał się ze swym panem. Widząc, że mały przeniósł wzrok na niego, uśmiechnął się na swój charakterystyczny sposób i wyciągniętą ręką wskazał kierunek północny. Jego palec wskazywał tę odnogę gościńca, która prowadziła do Landsberga. Mały zaprzeczył, wówczas ramię Honzy jeło zakreślać powolny okrąg, bez pośpiechu wyznaczając kolejne kierunki, a co za tym idzie, możliwe miejscowości. Rycerz przyglądał się wszystkiemu z niemą fascynacją. Kiedy mały króciutko skinął głową, Kuno zerknął na dłoń swego sługi. Honza wskazywał idealny zachód.

Mniej więcej stamtąd przybyli. Za ich plecami, w kierunku południowo-zachodnim, znajdowało się Rokytno, czyli Rokitno – osada, której nazwa wywodziła się od pospolitego gatunku wierzby porastającej okoliczne pola. Kuno słyszał kiedyś od znajomych Polaczków, że było to również miano złego ducha, który jako miejsce zamieszkania szczególnie upodobał sobie zarośla rokiciny.

Niestety, palec sługi nie pokazywał Rokitna.

Kuno zamyślił się, spoglądając na mroczną ścianę prastarego boru. Albo dzieciakowi coś się pomyliło, albo rycerz nie znał tak dobrze terenu, jak to sobie wyobrażał.

W najbliższej okolicy osady znajdowało się duże jezioro, Gross Rokittner See. Karczmę – umiejscowioną niemal przy samym jego brzegu – prowadziło małżeństwo Koziellów, potomków osiadłych tu Polaczków. Zwykli oni przy byle okazji szczycić się tym, że w długiej, trwającej wiele dziesięcioleci karierze okolicznych karczmarzy, jezioro, ziemię i samo Rokytno pięciokrotnie zmieniało właścicieli. Panowali już tutaj feudalowie polscy, niemieccy burgmani, cystersi. Swoje roszczenia wniósł nawet zakon rycerzy Świątyni Pańskiej w Jerozolimie, czyli osławieni templariusze, gospodarujący przed laty nieco bardziej na północy, wokół Solentz, Nienborgha i Choszczna. Ci ostatni bardzo krótko wprawdzie, bowiem jeszcze na dobre się nie rozgościli, a już przyszło im zostawiać swoje włości oraz siedzibę główną w Chwarszczanach i kryć się przed świętym gniewem papieża Klemensa V, do strasznych czynów podpuszczonego przez nieposkromionego w rządy władzy Filipa – czwartego o tym imieniu króla Francji. Teraz Rokitno, jak i wszelkie inne dobra w Nowej Marchii, było własnością margrabiego Ludwika, zwanego Starszym,

kolejnego brandenburskiego Wittelsbacha.

Nie wglębiając się w historyczne i religijne zaszczości, Koziellowie byli jedynymi tutejszymi Polaczkami, z którymi Kuno zawarł w przeszłości bliższą znajomość. Znał ich, wielokrotnie bawił w Karczmie „Pod Szczupakiem”, niemalże u samego brzegu Gross Rokkitner See. Czy jednak widział u nich jakieś dziecko? Tego nie był już pewny. Tyle przeszedł dróg i w tyłu jadał gospodach, że zlewały się w umyśle w jeden wielki galimatias. Pamiętał co prawda twarze, wiele twarzy. Znał imiona właścicieli owych przybytków. Co do szczegółów nie miał już takich pewności.

Koziellowie nie należeli do najmłodszych. Można zatem przyjąć, że dzieciak, który nadal nie wypowiedział ani jednego słówka, nie był od nich. Zapewne w pobliżu mieszkali również inni Polaczkowie, Kuno w to nie wątpił. Jak również w to, że wśród nich byli rodzice tego tu małomównego malca.

Dobrym wyjściem mogły być odwiedziny w karczmie „Pod Szczupakiem”. Kuno zerknął jednak na dziecko i zmienił zdanie. Tyle było pewności w jasnych oczach chłopca, kiedy patrzył w kierunku wskazywanym przez Honzę, że raubritter nie miał serca, aby mu nie wierzyć.

– Dobrze zatem – rzekł, rozstając się na pewien czas z planami rychłego dołączenia do kamratów zapadłych w lasach po drugiej stronie Przytocznej. Ruchem głowy wskazał gęsty bór naprzeciw porosłej rokiciną, podmokłej łąki. – Mieszkasz w lesie?

Mały skinął głową.

– Kim są twoi rodzice? Bartnikami? Smolarzami? Kim?

Dziecko wzruszyło ramionami. Jego oczy wyrażały niezrozumienie, ale blask bijący od nich niemalże krajał serce Kuna. Rycerz westchnął, ostatecznie zmieniając zamiary.

– Kimkolwiek by nie byli, gdzieś tam jest ich chata, zaś ty boisz się wracać samemu przez las. Dziw, że się nie bałeś wcześniej, gdyś lał w tę stronę.

Uśmiech malca stał się na krótką chwilę grymasem małego psotnika. Kuno zaśmiał się.

– Mniejsza o to. Zaprowadź mnie tam.

Mały kluczył, często zmieniając kierunki. Dla Kuna jego popadające w brak rozeznania zachowanie mogło się wydawać normalnym, bowiem las był w tym miejscu pocięty wysokimi wzgórzami oraz porośnięty gęstym gąszczem wądołami. Niemożliwym było podążać prostą drogą, nie klucząc, ani nie zmieniając kierunków. Tym bardziej, że znów zaczął przyszyć śnieg, więc widoczność zdecydowanie spadła.

Jednak mały w pewnej chwili zatrzymał się jak wryty, obrócił wokół własnej osi, po czym jął ssać kciuk z miną odpowiednią do swego wieku, czyli cholernie płacziwą.

Raubritter westchnął z wielką, ale to wielką cierpliwością, po czym wyrozumiale uśmiechnął się do siąkającego malca.

– Zgubiłeś się – odgadł. – No cóż, każdemu może się zdarzyć. No już, nie maź się.

Próbował go pocieszyć, jednak sam odczuwał coraz większy niepokój. W lesie pozbawionym ludzkich ścieżek, za to obfitym w dróżki wydeptywane przez dzikie zwierzęta, znajdowali się już od blisko trzech kwadransów. Gdzie nie spojrzeć, otaczał ich dziki, niezgłębiony,

szumiący mnóstwem pierwotnych odgłosów bór. Mimo że biały, zimny i odludny, to wcale nie pozbawiony niebezpieczeństw innych niż zamrażanie. Jedynie ktoś obyty mógł w takim miejscu odgadnąć właściwy kierunek. Dzieciak rozglądał się, ssąc nieustannie kciuk, raz po raz zerkając z nadzieją na rycerza.

Nadzieja. Tego właśnie potrzebował Kuno. Bowiem on ją już niemalże utracił.

Jak się okazało, był wśród nich ktoś, kto nigdy nie rozstawał się z nadzieją. Honza wystąpił przed malca i jął węszyć niczym wyżeł. Szczególnie jeden kierunek upodobał sobie w owym zwierzęcym pociąganiu nosem. Czech uczynił jeszcze kilka kroków, podniósł wyżej brodę. Jego nozdrza poruszały się, wydymając niczym chrapy Centaura. Kuno oblizwał wargi. Jego sługa nigdy nie przestawał go zadziwiać.

– No co tam, Honza? – zapytał czule. – Cóżżeś wywęszył?

Honza uśmiechnął się doń znad ramienia, jego oblicze zmieniło się w labirynt zmarszczek. Wskazał ruchem głowy kierunek i zagaworzył niezrozumiale. Nie było sensu nakazywać mu powtórzyć rzecz składniej – Honza był niemy. Będąc jeszcze dzieckiem, pozbawiony został języka.

Kuno nawet się nie zastanawiał. Ruszył we wskazanym przez sługę kierunku. Po kilku krokach zatrzymał się.

– Na co czekasz, malcze? – rzucił w stronę sceptycznie obserwującego zajście chłopca. – Masz lepszy pomysł?

Mały widocznie nie narzekał na nadmiar dobrych pomysłów, bowiem wzruszył tylko ramionami i ponownie

wysforował się na przód pochodu.

Niezwykła zdolność Czecha do nieustannego zadziwiania swego pana nie mogła być czczym wymysłem. Upłynęło sporo czasu, nim tajemnicze węszenie oraz jego pewność co do kierunku wydostały się poza sferę niewiadomej. Stało się to w momencie, gdy nozdrza ciągnącego swego rumaka za uzdę Kuna Volkenburgha wylapały doskonale mu znajomy zapach spalenizny. Rycerz zatrzymał się, zdumiony, przede wszystkim zaś pełen uznania dla potencjału swego sługi.

Gdzieś niedaleko coś się paliło. Wyraźnie wyczuwalny był swąd spalenizny, ostry, drażniący zmysł powonienia.

Kuno oblizwał wargi, zaniepokojony. Jego niepokój nie był pozbawiony podstaw. Będąc raubritterem, czyli rycerzem – łupieżcą, znawcą ognia, którego wielokrotnie sam bywał animatorem, był wręcz zobowiązany na pierwsze pociągnięcie nosem rozpoznać rodzaj dymu. Tak nie dymiło zwykle leśne ognisko, rozpalone przez jakiegoś wędrowca. To był ciężki, kwaśny odór żywiołu pożerającego ludzkie siedliska. Kuno bez najmniejszego wysiłku wyobraził sobie czerwone macki ognia pochłaniającego grube sosnowe belki domostw, wywijającego szalone hołubce na słomianych strzechach, wydzielającego czarny jak smoła dym.



Zerknął na chłopca i zdumiał się. Dziecko emanowało nienaturalnym spokojem, na jego twarzyczce niepodobna było dostrzec śladu lęku. A przecież nawet ono musiało wyczuć swąd spalenizny. Rycerz po raz pierwszy

dokładniej przyjrzał się jego postaci, zwłaszcza śladom na policzkach oraz odzieniu. Czarne ślady doskonale kontrastujące z białym licem nie mogły być niczym innym jak sadzą. Nabiegłe krwią pręgi na czole malca również mówiły wiele. Jak też naddarty rękaw, spod którego wyzierała blada skóra ramienia.

Kuno miał dość.

– Nie mitrężmy – rzucił głuchym głosem. – Wartko za mną. Honza, trzymaj broń w pogotowiu.

Czech wykrzywił wargi w uśmiechu. Wypatrzył wbity w śnieg zwykły suchy kij. Szarpnął i wyrwał z zasy, po czym machnął, aż zawyło powietrze. Rycerz nie zgañił go za wybór broni. Znając swego Czecha, doskonale zdawał sobie sprawę, iż nawet kacze udko w jego garści stanowiło dla wroga śmiertelne zagrożenie.

Nie było w tym najmniejszej przesady.



Dzieciak rozpoznawał roztaczający się wokół teren. Znać to było po niecierpliwości, z jaką pokonywał leśne przeszkody. Kuno zmuszony był hamować jego zapędy. Dym już od jakiegoś czasu dominował nad wszelkimi innymi zapachami lasu, nakazując ostrożność. Rycerz nie zamierzał wpaść w biedę tylko dlatego, że małemu się spieszyło do domu.

Weszli w nieduży jar, dołem którego płynęła leniwie, żłobiąc w zwałach śniegu meandrującą koleinę, wąska na dwie stopy stróżka. Koń usiłował przystanąć, aby się napić wody. Ewidentnie nie spodobało mu się to, że rycerz nie pozwolił. Prychając oraz poruszając łbem, dał upust niezadowoleniu. Kuno poklepał go po boku szyi.

– Spokój, Centaurze – wyszeptał.

Rycerz wyczuwał bliskość niebezpieczeństwa. Krew coraz szybciej krążyła w jego żyłach. Nie musiał spoglądać do tyłu, aby wiedzieć, że Honza również odczuwał to samo.

Wdrapali się na przeciwny stok jaru. Pierwszy uczynił to mały. Ciągnącego Centaura za uzdę Kuna wyprzedzał zaledwie o kilka kroków. Rycerz otworzył usta, aby go zatrzymać, ale chłopiec uczynił to sam. Tuż przed grzbietem wzniesienia stanął i odwrócił się w kierunku reszty pochodu. Jego twarzyczka nie wyrażała emocji. W dużych, jasnych oczach czaiła się obojętność, zupełnie jakby malec myślami znajdował się wiele mil stąd. Jak gdyby nie zgubił się i nie trzeba go było odprowadzać do ukrytej w głębi boru rodzinnej chaty. Zupełnie nic nie robiąc sobie ze swądu spalenizny, spokojnie poczekał na Kuna oraz jego sługę, po czym dopiero ruszył dalej.

Stromizna była dość znaczna. Niepodobieństwem jawiło się wprowadzenie konia na szczyt wzniesienia, nie nadrabiając przy tym drogi. Rycerz prowadził Centaura po dużym skosie, brnąc niemalże po kolana w białym puchu, trzymając dłoń na uździe tuż przy wędzidle. Wierzchowiec chrapał i poparskiwał, słysząc uspokajający szept pana. Nieco w tyle znacznie większe problemy miał Honza, prowadzący objuczonego osła.

Raubritter był przekonany o istnieniu ścieżki, jeśli nawet nie traktu, prowadzącej do chaty malca, którą musiał znać również ich mały przewodnik. Co zatem musiało się wydarzyć, aby dzieciak wymazał z umysłu wiedzę o tym? Czy dokonało tego jakieś traumatyczne wydarzenie? Czy miał coś wspólnego z jego brakiem pamięci dym, wyczuwalny coraz wyraźniej, w miarę zbliżania się do szczytu wzniesienia? Kuno tego nie wykluczał. Nawet

jeśliby zamierzał zanegować tak oczywisty fakt, musiałby znaleźć solidne wytłumaczenie na stan dziecka. Na sinoczerwone pręgi na jego buzi. Na odzienie, będące niemalże w strzępach. Wreszcie na bierność, bijącą z jasnych oczu, które musiały oglądać coś tak straszego, że chłopiec zobojętniał nawet na mróz.

Mały stał na skraju wzniesienia, za plecami mając nie tylko sam jar, ale i sapiących z wysiłku mężczyzn. Zdawał się obserwować coś nadal pozostającego poza granicą widzialności rycerza. Kiedy Kuno wreszcie doń dołączył, stanął jak wryty. Jego oczom ukazał się widok, którego absolutnie się nie spodziewał. Mały zadarł głowę, aby móc spojrzeć na rycerza. Wyciągniętą prawą dłonią wskazywał obszar na wprost siebie. Niepotrzebnie.

Nie było żywiołu. Niczego pożeranego przez ogień. Nie było dymu. Jednak wyłącznie ślepiec nie dostrzegłby ruin, niezbyt dokładnie zakrytych płaszczem śniegu. Na dość rozległej polanie, tu i ówdzie pomiędzy krzewami wznosiły się szczątki pokrzyżowanych belek. Samotnie sterczała do góry wykonana z kamieni komin. Kuno zmarszczył brwi i zwrócił twarz w stronę chłopca. Ten się tylko uśmiechnął, po czym wykonał krótki gest dłonią, zaś rycerz poczuł nagle jak miękną mu nogi. W oczach zrobiło mu się czarno, opadł na jedno kolano, wsparł się oburącz o ziemię. Zanim pokulał się w dół stromizny, zobaczył jeszcze leżącego na szczycie skarpy Honzę. A potem świat utonął w ciemnościach.



Po pierwsze było mu ciepło. Co prawda koniuszki palców i policzki zaczęły go palić ogniem, gdy tylko wrócił

do rzeczywistości, ale skóra niedźwiedzia, którą właśnie na sobie odkrył, dawała mu komfort. Izba zdecydowanie nie przypominała komnat zamkowych. Była obskurna i panował w niej półmrok. Jednak najważniejszy był ogień łypiący nań z paleniska, dający więcej ciepła niż światła.

– Nie ruszajcie się, panie Kuno – usłyszał i mimo zaleceń obrócił głowę. Z ust wydarł mu się jęk. – Mówiłem przecie, co byście się nie ruszali. Słabiście jeszcze.

– Gdzie jestem?

Na skrzyni, przykrytej czymś przypominającym zwierzęce futro – choć nie bardzo było widać jakie stworzenie musiało za nie dokonać żywota – siedział człowiek. Kuno Volkenburgh poznał go natychmiast.

– Koziełło. Ale jak... Co z Honzą?

– Mówicie, panie, o swym słudze? Żyw. Jenó, tak jak i wy sami, osłabiony bardzo. Poleżeliście sobie tam, w lesie, zanim was znalazłem. Teraz jest wigilia Narodzin Zbawiciela. Dochodziliście do siebie ponad dwa dni.

– Chłopiec.

Karczmarz skinął głową.

– Dużo mówiliście. Wołaliście przez sen. Trochę się nasłuchałem. O kompanach, do których było wam spieszo, i do których na szczęście żeście nie dotarli. O chłopcu także. Ten chłopiec, panie, umarł.

Kuno westchnął i zamknął oczy.

– Nie zrozumieliście mnie, panie Kuno. To był syn jednego z bartników dogładających barci tutejszego rycerza. Chata poszła z dymem wiele lat temu pod nieobecność ojca, a dzieciak razem z nią. Nikt nie wie, co się stało, ani dlaczego. Kto podłożył kura. Ale chłopiec nadal tu jest, w okolicy. Wielu tutejszych go widziało. To on mnie do was zaprowadził. Inaczej byście tam zamarli

na śmierć.

Rycerz słuchał tego z rosnącym gniewem.

– Nie wierzycie mi.

Koziełło wstał ze skrzyni i podszedł do leżącego Kuna. Stojąc na tle paleniska, stał się ciemną postacią bez rysów – samym cieniem.

– To wiedzcie, że jeśli byście nie spotkali go na swej drodze, dzisiaj już by was nie było wśród żywych. Kompania, do której wracaliście, została wczoraj wybita do nogi przez drużynę landsberskiego margrabiego. Nie przeżył nikt. Ten dzieciak właśnie dlatego zatrzymał was w drodze, a potem przyprowadził mnie, byście nie skapieli w śniegu.

Kuno zacisnął powieki, mocno, z całej siły. Uwierzył. Chata w środku lasu. Ślady starego pożaru. Dziecko noszące je na sobie.

Kiedy otworzył oczy, był już sam.

Nowogródek Pomorski, 30 października 2011

Monika Knapczyk

Niebieskie oczy

Kalina przebudziła się, ale nie odmykała jeszcze powiek, rozkoszując się faktem, że nareszcie nie musi nigdzie pędzić. Zajęcia na uczelni skończyły się we wtorek, a wczoraj studenci spoza stolicy porozjeżdżali się do domów. Jeśli więc chciała, mogła wylegiwać się w łóżku nawet do południa. W końcu była Wigilia.

A potem westchnęła ciężko, uderzona nagłym wspomnieniem niby obuchem. Zaledwie kilka dni temu, bo w niedzielę, rozstała się z Adrianem, swoim narzeczonym. Wprawdzie ten związek od dawna wydawał się martwy, lecz jakoś trwał siłą przyzwyczajenia, dając dziewczynie złudzenie posiadania poukładanego życia. A teraz znów była w punkcie wyjścia. Rodzina i znajomi będą ją pewnie na wyścigi swatać, przerażeni wizją staropanieństwa Kaliny.

W takiej sytuacji dłuższe leniuchowanie nie zapowiadało się specjalnie obiecująco, zdecydowała się więc wstać. Kapsle, szlafrok, mycie zębów, obowiązkowa poranna kawa. Zastygła na chwilę nad filiżanką, wdychając aromat Jacobsa i zastanawiając się, co będzie robić przez resztę dnia.

No tak, była przecież Wigilia. Jak każda przyzwoita kobieta, powinna od rana krzątać się po kuchni, przygotowując tradycyjne potrawy, a wieczorem połamać się z najbliższymi oplatkiem i zjeść uroczystą kolację. Tak postąpi w tym dniu znakomita większość Polaków. Nawet ci samotni i bezdomni zasiądą wspólnie do stołów,

korzystając z dobroci rozmaitych instytucji charytatywnych i władz poszczególnych miast, organizujących na placach coroczne „choinki”.

Mogłaby pojechać do rodziców. Nie mieszkali przecież na drugim końcu Polski. Jeśli się spręży, za kilka godzin będzie w domu. W zasadzie już powinna tam być. Rodzice, a zwłaszcza mama, obrażą się, jeśli nie siądzie z nimi do wigilijnej wieszki. Gdyby miała własną rodzinę, sprawa byłaby rozstrzygnięta, a tak... A tak pozostawała wciąż, mimo swoich dwudziestu siedmiu lat i doktoranckiego stypendium, dzieckiem. Przynajmniej w ich oczach. Zbuntowanym dzieckiem, które pewnego dnia po prostu spakowało się i „uciekło” z domu w wielki świat Warszawy.

Tyle że nie miała najmniejszej ochoty tam jechać. Mogłaby przysiąc, że do samej nocy rozmowa będzie obracała się wokół Adriana i ich przerwanej relacji. Oboje tłumaczyliby jej, jak głupio postąpiła, odrzucając tak wspaniałego mężczyznę. Prawdopodobnie namawialiby ją, by zadzwoniła do chłopaka i spróbowała go przeprosić, wykorzystując magię świąt. Jej młodszy brat dzielnie sekundowałby im w tych zabiegach, rzucając swoje nieszkodliwe docinki. Cała sprawa mogłaby na końcu przerodzić się w awanturę, gdy usiłowałyby wyjaśnić rodzicom, dlaczego nie chce dłużej być z Adrianem. Jej punkt widzenia zawsze był dla nich czymś niepojętym. Pomimo pokrewieństwa dzieliły ich od dziewczyny, zwłaszcza ojca, całe lata świetlne.

Rok temu spędzała Wigilię z Adrianem u jego rodziców. Było miło, nie mogła zaprzeczyć. Wszyscy się cieszyli, uśmiechali się do siebie nawzajem i niczego nie udawali. Lecz szybko powróciła codzienność, znów

przynosząc nierozwiązane problemy. Już po paru dniach w jej rozmowy z chłopakiem na nowo wkradły się pretensje, błagania i łzy. Nie, nie miała ochoty do tego wracać. A gdyby nawet wykazała się tak daleko idącym masochizmem, powrót byłby bardzo trudny, jeśli nie niemożliwy. Przecież dała Adrianowi nieodwołalnego kosza.

Spędzi więc chyba ten czas w swoim wynajętym mieszkaniu, w jedynym pokoju i małej kuchni. Będzie oglądać familijne komedie, pochłonie górę słodczy i wypije w samotności całą butelkę czerwonego wina. Może coś przeczyta, coś napisze, trochę popracuje. Do diabła z Bożym Narodzeniem. To tylko kilka zwyczajnych dni w roku, podczas których ludzi ogarnia jakieś niewy tłumaczalne szaleństwo. Niech durne masy pozwalają porwać się szałowi zakupów i obżarstwa. Niech spotykają się na rodzinnych zjazdach z wujami i ciotkami, których nie widzieli od wielu lat, i dają się brać w krzyżowy ogień pytań. Ale ona, Kalina, będzie ponad tym wszystkim. Przeczeka w ukryciu ten najgłupszy czas, a potem wróci, jak gdyby nigdy nic, do swoich zajęć na uczelni, obsesyjnej nauki języków i barowych nasiadówek z innymi singlami. Do swojego prawdziwego życia.

To nawet lepiej, że zostaje u siebie. Wciąż męczyło ją przygnębienie i nie chciała nikomu pokazywać się w takim stanie. Była na etapie przekonywania otoczenia, a najmocniej samej siebie, że wcale nie potrzebuje Adriana. Może alkohol poprawi jej humor. Odbierze na pewno trochę esemesów z życzeniami i parę maili od znajomych. Dzięki nim nie będzie czuła się tak bardzo opuszczona. Bo na pogawędkę na forum dyskusyjnym nie ma co dzisiaj liczyć...

Nagle zamarła, w najwyższym stopniu zaniepokojona dobiegającymi z kuchni dźwiękami. Mieszkała sama, więc nikt poza nią nie powinien się tam kręcić. Nie miała nawet zwierzaka, który mógłby być sprawcą tych szmerów. Czyżby włamanie...? Lokal był położony na pierwszym piętrze, a tuż obok kuchennego okna stało dumnie rozłożyste drzewo, więc wysportowany złodziej mógłby, bez większego wysiłku, wspiąć się po jego gałęziach i wybić okno.

Ale przecież nie usłyszała hałasu, jaki musiałyby wydawać rozbijana w drobny mak szyba. Chyba więc jednak nie było to włamanie. Na wszelki wypadek rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju, szukając jakiegoś wystarczająco ciężkiego narzędzia. Bezskutecznie. Wszystkie noże, tasaki i podobne im urządzenia zostały w kuchni. A gdyby nawet miała coś pod ręką, mocno powątpiewała, czy ze swoją drobną posturą pokonałaby dobrze zbudowanego mężczyznę. Jej wzrok padł na leżącą na ławie komórkę. Może zdążyłaby przynajmniej zadzwonić na policję.

Tak, bez wątpienia ktoś chodził po kuchni i przekładał jej rzeczy. Serce Kaliny waliło ze strachu tak mocno, jakby miało za moment wyskoczyć z piersi. Nie, za nic w świecie tam nie pójdzie. Już prędzej skoczy w samym szlafroku i domowych bamboszach z balkonu, prosto w śniegową zaspę, która na pewno zamortyzuje upadek, a potem zacznie dobijać się do drzwi sąsiadów i prosić o pomoc. Nie pozwoli zamordować się albo zgwałcić we własnym, uczciwie wynajętym mieszkaniu.

Kiedy już niemal podjęła decyzję, w drugim pomieszczeniu zapadła nagła cisza. A potem usłyszała długie i miękkie westchnienie tamtego kogoś. Nie

wiadomo czemu, ten dziwny odgłos uspokoił ją, a nawet dodał otuchy. Jakoś w ogóle nie kojarzył się ze zbirem. Kalina, chociaż nie zdusiła jeszcze do końca niedobrych przeczuć, wielkim wysiłkiem woli przemogła się i drobnymi kroczkami, wstrzymując oddech i próbując uspokoić rozpedzone serce, skierowała się w stronę kuchni.

Wstrząs, jaki przeżyła, omal nie pozbawił jej przytomności. Krzyknęła głośno, jeden raz, jakimś cudem powstrzymując się przed wrzeszczeniem aż do zachrypnięcia. Rzeczywiście nie była w mieszkaniu sama. Przy kuchennym stole siedziała brązowowłosa dziewczynka, na oko dziesięcio-, może dwunastoletnia, i w zamyśleniu przyglądała się własnym paznokciom. Miała na sobie ubogą, niemodną, choć czystą i schludną odzież. Tylko jej proste włosy zwisały w tłustych strąkach, rozpaczliwie wołając o mycie. Był to chyba jedyny zgrzyt w raczej miłej aparycji ładnego dziecka.

Kalina poczuła, że ma w ustach tak sucho, jakby przed chwilą jadła piasek. Jej kolana dygotały z całej siły i musiała przysiąść na taborecie. Na szczęście stał tuż obok, bo dziewczyna nie była teraz w stanie zrobić nawet jednego kroku. A kiedy mała, która dziwnie jej kogoś przypominała, podniosła nagle głowę i spojrzała tamtej prosto w oczy, Kalina znów krzyknęła ze strachu. Wyszedł jej raczej żaloszny pisk, ale zupełnie się tym nie przejmowała.

Zdołała jeszcze pomyśleć, że przynajmniej nie będzie zgwałcona. Bo co do całej reszty, to nadal nie powinna czuć się bezpiecznie. Niewinnie wyglądające dziecko mogło lada chwila zamienić się w jakiegoś potwora i rzucić na nią z paszczą pełną ostrych zębów. Albo stać się czymś jeszcze ohydniejszym i spowodować,

że młoda kobieta umrze z samej niewypowiedzianej zgrozy.

– Nie bój się – odezwała się niespodziewanie dziewczynka. – Przecież mnie znasz.

– N-nie znam cię – wykrztusiła wreszcie Kalina nieswoim głosem. – Kim u diabła jesteś i jak się tu dostałaś?

A potem dodała, odzyskując troszeczkę rezonu:

– Jeśli zaraz się nie wyniesiesz, wezwę policję.

– Znasz mnie, Kalino – powtórzyła łagodnie mała. – Wiesz o mnie wszystko, a ja wiem wszystko o tobie. Przypatrz się uważnie.

– Skąd wiesz, jak...

... mam na imię, nie dokończyła. Prawda dotarła do niej tak nagle, że po raz drugi w tym dniu prawie zemdłała. Te włosy, zawsze przetłuszczone, bo myła je zbyt rzadko..., w tym wieku jeszcze z grzywką..., oczy, tak ciemne jak jej własne..., regularne rysy ładnej twarzyczki, stanowiące niemal dokładną, tylko młodszą kopię oblicza Kaliny... Ten sam wykrój ust..., znamię na odsłoniętej szyi... i to natręctwo, zajmowanie się własnymi paznokciami, gdy dziewczyna czuła się zakłopotana lub chciała udąć, że czegoś nie słyszy... Nie, takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Nie zdarzają się, a więc dziewczynka nie mogła być nią samą z przeszłości. A jednak nią była i zajmowała beczelnie kuchnię dorosłej Kaliny.

– Po co tu przyszałaś... zjawiłaś się? Po jaką cholere? – dziewczyna, zamieniwszy strach na niezrozumiałą dla niej desperację, prawie naskoczyła na Bogu ducha winne stworzenie. – Świetnie radziłam sobie bez ciebie. Całkowicie o tobie zapomniałam i ty doskonale o tym

wiesz! Nie potrzebuję cię!

Skierowała oskarżycielski palec w kierunku swojej młodszej wersji. Bezwiednie wstała i zbliżyła się parę kroków do dziecka, a w jej głowie pojawiły się niespodziewanie mordercze myśli. Nikt nie szukałby osoby, która od dawna nie istniała. Ale nie, to nie mogło być takie proste. Dziewczynka, która z całą pewnością nie należała do tego świata, wciąż mogła zmienić się w bestię. Lepiej było nie kusić losu.

– Owszem, zrobiłaś wszystko, by się mnie pozbyć – mała mówiła tak, jakby role nagle się odwróciły, jakby to ona była starsza, a dorosła Kalina jej dzieckiem. – A jednak nie osiągnęłaś swojego celu. Bo ja wciąż tkwię w tobie i kieruję całym twoim życiem.

– To bzdura! Sama kieruję swoim życiem! Ja i tylko ja! Nikt nie ma prawa mówić mi, co powinnam robić! A ty... Ciebie już nie ma!

– Częstka mnie przetrwała w twojej głowie. Nie umrę do końca, dopóki będzie żyło nasze ciało. Wiesz o tym dobrze, Kalino. Przecież czytujesz psychologiczne książki.

– No i co z tego? Zniknij, rozpuń się w powietrzu, kimkolwiek tam sobie jesteś, i daj mi święty spokój – w głosie Kaliny zabrzmiało coś na kształt groźby, choć zdawała sobie sprawę, że nie uda jej się nastraszyć dziewczynki. – Chcę żyć po swojemu.

– Dobrze, odejdę. Choćbym chciała, nie wolno mi z tobą zostać. Ale moja rola jeszcze się nie skończyła. Jestem duchem przeszłości i mam ci ją pokazać.

– Świetnie pamiętam swoją przeszłość. Nie musisz mi jej pokazywać – burknęła.

– Nie, pamiętasz tylko fakty – smutno pokręciła

głową mała. Również wstała, wyglądając dziwnie żałośnie ze swoim dziecięcym ciałem w porównaniu z bujną kobiecością dorosłej Kaliny. – Ale emocje zdusiłaś. Tyle że one wciąż istnieją, zamienione w coś znacznie bardziej groźnego. Moim zadaniem jest zawrócenie cię z drogi donikąd.

– Dobrze, niech ci będzie – odparła zrezygnowana Kalina. – Pokaż mi tę przeszłość.

– W takim razie zabieram cię w podróż – zjawa wciąż była zmartwiona. Młoda kobieta przypomniała sobie, że w rzeczywistości w tym wieku, też rzadko się śmiała. Różniła się od rówieśników tak bardzo, że trudno byłoby odmalować to w paru słowach. Oczywiście, zawsze zdecydowanie zaprzeczała własnej inności. – Ale ostrzegam, że to nie będzie przyjemne.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Co mam zrobić? Powinam przebrać się w strój bardziej stosowny do podróży?

– Nie, nie musisz – pokręciła głową dziewczynka. – Nasza podróż odbędzie się w wymiarze duchowym, nie w fizycznej przestrzeni. Nikt cię nie zobaczy, więc ubranie nie ma znaczenia. Idź za mną.

– Ale jak...

Tamta już jej nie słuchała, ponieważ właśnie wchodziła w ścianę. Dosłownie przez nią przeszła, a gładki mur zamknął się za jej sylwetką niby ściana mgły. Przed zniknięciem zdążyła jeszcze odwrócić głowę i spojrzeć na Kalinę ponagląjącym wzrokiem.

Dziewczyna zawahała się, lecz była na tyle rozsądna, by zdawać sobie sprawę, że nie uda jej się łatwo pozbyć nieproszonego gościa. Jeśli za nim teraz nie pójdzie, duch przeszłości na pewno wkrótce wróci, by na

nowo nękać swoją starszą wersję. Westchnęła więc przeciągle, zacisnęła mocno powieki i polecając się opiece wszystkich świętych, ruszyła w kierunku ściany.

Poczuła tylko, jakby rozstępowała się przed nią gęsta galareta. W lęku, że zaraz się udusi, wyciągnęła przed siebie obie ręce, jakby mogło jej to pomóc w znalezieniu się po drugiej stronie. Na szczęście tajemnicza substancja posłusznie wypuściła z uścisku jej ciało i Kalina stanęła pewnie na jakiejś twardej powierzchni, wciąż drżąc z emocji.

– Możesz już otworzyć oczy – usłyszała obok siebie dziecięcy głos.

Miejscem, do którego miała dotrzeć, okazało się mieszkanie jej rodziców. Ale nie to, które teraz doskonale знаła, lecz takie, jakie zamieszkiwali we czworo kilkanaście lat temu. Dziewczynka, wierna kopia przewodniczki Kaliny, zamknęła się w swoim pokoju, a z największego pomieszczenia dobiegały podniesione głosy dwojga dorosłych.

Nietrudno było zgadnąć, co się stało. Ojciec regularnie, kilka razy w tygodniu, wracał z pracy zalany w trupa, co doprowadzało mamę do szewskiej pasji. Urządzała mu wtedy głośne awantury, które niczego nie zmieniały. Kalina wiedziała, że nie dojdzie do rękoczynów. Wprawdzie parę razy miały miejsce, ale to było naprawdę tylko parę razy i nie stało się nic poważnego. Nigdy za to nie podniósł ręki na dzieci. Traktował je nawet jak czasowych „sprzymierzeńców” w wojnie z żoną, co mała Kalinka brała za autentyczne rodzicielskie zainteresowanie.

Z reguły tamci dwoje „ograniczali się” więc do kilkugodzinnej słownej przepychanki, w której temat alkoholu stanowił jedynie skromny wstęp. Potem zaś

następowała wzajemna wymiana pretensji i wyliczanie wad partnera. Gęsto padały wulgarne słowa, a na koniec oboje zwykle wyrażali żal, że w ogóle się ze sobą związali. Częściej rozwodem straszyla mama, co nie oznaczało, że naprawdę tego chciała.

Ale wcale nie o tej awanturze myślała ich córka. I to było najdziwniejsze. Młodziutka Kalinka właśnie układała w głowie kolejną opowieść o wymyślonym przez siebie świecie. Przechadzała się przy tym w tę i z powrotem po swoim malutkim pokoiku, który to zwyczaj został dziewczynie do dnia dzisiejszego. Ruch pomagał jej w twórczym myśleniu i pozwalał na odprowadzenie nadmiaru energii.

Kiedy obok walił się świat, mała uciekała w bezpieczną fantazję, gdzie wszystko układało się po jej myśli. Udawała wtedy, że „tamto” w ogóle się nie dzieje. Dwoje najważniejszych dla niej ludzi nie czuło do siebie nawzajem tak wielkiej nienawiści, jej dom nie rozpadał się. Nauczyła się być szczęśliwa ze swoimi nieistniejącymi „przyjaciółmi”. Pokój za ścianą, również zamknięty na głucho, należał do jej młodszego brata, który też udawał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nigdy nie rozmawiali ze sobą o zachowaniu rodziców. Każde z nich żyło własnymi sprawami, traktując domową atmosferę jak zło konieczne.

Duch przeszłości miał rację. Wiele z tamtej dziewczynki pozostało w dorosłej Kalinie. Do dziś w taki sposób radziła sobie z problemami, łaskawie ich „nie zauważając”. Potrafiła czuć się wspaniale nawet wtedy, gdy jej rzeczywiste położenie było dramatyczne. Notorycznie pozostawiała trudne sprawy własnemu biegowi, licząc na to, że w końcu same się w cudowny

sposób naprawią. Oczywiście nigdy się tak nie działo. A kiedy przychodziła nieunikniona katastrofa, miała pretensje do wszystkich wokół, tylko nie do siebie.

– Już pamiętam – szepnęła do swojej przewodniczki.
– Zawsze wiedziałam, dlaczego taka jestem. Ale nic nie mogłam na to poradzić. Byłam tylko dzieckiem...

– Wiem. To nie twoja wina. Zobaczyłaś już dość i nie musisz tu dłużej zostawać. Ale to nie koniec naszej wspólnej podróży.

Po raz drugi przeszła przez ścianę, a młoda kobieta podążyła za nią bez strachu. Wciąż znajdowały się w tym samym mieszkaniu, lecz teraz jej młodsze wcielenie było już dorastającą pannicą. Młoda Kalina wracała właśnie z kuchni, mijając po drodze pokój rodziców. Ponieważ drzwi do niego były otwarte, dziewczyna słyszała każde słowo matki i ojca.

Nie, tym razem się nie kłócili. Zwyczajnie rozmawiali, bez krzyków i wulgaryzmów. Komentowali jakiś program telewizyjny, w którym była mowa o roli kobiet w świecie. Końcówka wypowiedzi matki umknęła uwagi osiemnastoletniej Kaliny, za to słowa ojca rozległy się wyraźnie w jej głowie:

– No i wszędzie na świecie rządzą przeważnie mężczyźni. Bóg tak chce.

Zamknęła się w swoim pokoju, próbując nie myśleć o tym, co usłyszała. Starła się też stłumić emocje, które, jeśli dopuściłaby je do głosu, zepchnęłyby ją na samo dno rozpaczu.

Wiedziała doskonale, że jej ojciec ma takie właśnie poglądy. To była jeszcze jedna z rzeczy, nad którymi lepiej było się nie zastanawiać. Wróciła uporczywa myśl, która zawsze narzucała się jej w podobnych chwilach.

Bo ja będę pisarką. W ten sposób pocieszała samą siebie młoda Kalina. Bo ja będę pisarką. Zrobię błyskotliwą karierę. Będę sławna, będę „kims”, zarobię mnóstwo pieniędzy. To głównie ja będę utrzymywać rodzinę. Nie będę zależna od żadnego mężczyzny.

Jakie ty bzdury opowiadasz, dziewczyno, miała chęć krzyknąć dorosła Kalina. Co ty wiesz o pisarstwie? Dobre chęci nie wystarczą, przyzwoity warsztat też nie. Musisz umieć trafić do ludzi, mieć do opowiedzenia historię, której inni będą chcieli słuchać. Dopiero wtedy możesz liczyć na to, że renomowane wydawnictwo tę książkę opublikuje, a czytelnicy ją kupią. A ty, powiedzmy to uczciwie, żyjesz we własnym świecie i pisujesz tylko o swoich dziwacznych fantazjach.

Poza tym, pisarstwo nie jest zawodem. To hobby, przynajmniej w tym kraju. Tutaj ludzi nieźle żyjących z pisania książek można policzyć na palcach obu rąk. Cała reszta wegetuje na granicy przetrwania lub wykonuje równolegle inne zajęcie. Naprawdę myślisz, że jeśli będziesz pisać, to świat padnie ci do stóp? Że będziesz otoczona podziwem, że wszyscy będą ci zazdrościć? W takim razie ogromnie się mylisz. Świat mocno cię zrani i poczęstuje głównie obojętnością, a niekiedy również niechęcią. Bo komu przysłuży się twoja pisanina, którą będziesz się zajmowała głównie dla własnej przyjemności?

A co więcej, ty po prostu nie masz talentu. Bądź szczerą sama ze sobą i wreszcie się z tym pogódź. Masz tylko to, czym podobno wybrukowane jest piekło. Uwierz mi, bo wiem coś o tym. Wiem, bo sama jeszcze próbuję i chyba nie będę umiała przestać.

Ha, może osiągnęłabyś coś ciężką pracą. Ale na to potrzebowałabyś czasu i wsparcia rodziny. Wiedz już teraz,

że nie będziesz miała ani jednego, ani drugiego. Zawsze znajdzie się coś pilniejszego, czym będziesz musiała się zająć. Studia, praca, dzieci... Czas na pisanie będzie czasem ukradzionym. Twojej prawdziwej karierze, kochającym cię dzieciom... Włożysz w to gigantyczny wysiłek i uzyskasz mierny efekt. Zawsze będziesz „początkująca”.

Bardzo chciałyby powiedzieć to wszystko młodej. Ale nie mogła, bo w tym czasie i miejscu była tylko duchem. Tamta Kalina nie zobaczy jej ani nie usłyszy. Będzie musiała zdobyć doświadczenie na własnych błędach. Zgorzknieje przy tym i straci entuzjazm, ale taką cenę płaci się za życie.

Wybiegła jeszcze myślą ku matce. Jej rodzicielka próbowała czasami postawić na swoim. Broniała praw kobiet i sprzeciwiała się patriarchalnemu systemowi wartości ojca. Także córce tłumaczyła, że powinna kierować się w życiu przede wszystkim troską o własne dobro. Ale sama niedaleko zaszła na drodze do niezależności. Przez wiele lat nie pracowała zawodowo, a nawet gdy wróciła już do pracy, jej dochód zawsze był sporo mniejszy od zarobków ojca. Nie można było mieć do niej o to pretensji, bo trafiła ze swoim powrotem do zawodu na czasy, kiedy większość Polaków zarabiała za mało bądź tkwiła latami na bezrobociu.

Następny epizod, który pokazała Kalinie przewodniczka, związany był właśnie ze stosunkiem mamy do pracy zawodowej kobiet. Stosunkiem niejednoznacznym i często zmieniającym się wraz z okolicznościami. Dla córki oczywiste było, że będzie pracować, skoro postawiła na kształcenie. Musiała w jakiś sposób zdradzić się ze swoim poglądem, bo matka odparła:

– Jak urodzisz dziecko i twój mąż powie: Kalinko, teraz jest nam dobrze, może posiedziałybyś ze trzy lata w domu, to trzeba się zgodzić. A nie gadać: ja muszę pracować, bo ja mam ambicje!

Ostatnie słowa wypowiedziała zmienionym tonem, przybierając przy tym quasi-dumną postawę kobiety z ambicjami. To wszystko miało oczywiście na celu wykpić taki tok myślenia. Matka często odgrywała tego rodzaju pantomimę, naśladowując wymowę Kaliny bądź innej osoby. Takie postępowanie raniło uczucia córki, lecz znów niewiele mogła na to poradzić.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Bo i co miała powiedzieć? Że nie zgadza się z radą matki, że i tak postąpi po swojemu? Nie, to nie miałyby sensu. Sprowokowałyby awanturę, której raczej nie wygrałaby i po której jej uczucia byłyby jeszcze bardziej zdeptane. Zostałaby całkowicie, nieodwołalnie pokonana. Podświadomie przysięgła sobie tylko w duchu, że ona NIGDY, PRZENIGDY nie znajdzie się w opisywanej przez mamę sytuacji i nie będzie musiała dokonywać takiego wyboru.

Którego zresztą dotyczyła następna rozmowa, także z matką. Kalina nie ukrywała się zbyt wiele ze swoimi życiowymi planami. Chciała rozwijać swoje zainteresowania, chciała pracować zawodowo, coś osiągnąć. Kochała poszerzanie wiedzy i nie wyobrażała sobie, że kiedyś będzie musiała odsunąć tę pasję na drugi plan. W tym wszystkim nie było już miejsca na dzieci, a nawet na małżeństwo. Chociaż to ostatnie nie musi być takie złe.

– Mogłabym wyjść za mąż – oświadczyła. – Ale nie chcę mieć dzieci.

– Nie byłoby wam dobrze – pokręciła głową mama.

– Tylko we dwoje, bez dzieci, to jest tak smutno... Taka rodzina jest niepełna. Nie, dzieci trzeba mieć.

A kiedy indziej matka sama zagadnęła ją w tej kwestii:

– Przeczytałam ostatnio w gazecie historię pewnej kobiety. Najpierw mówiła tak jak ty teraz. Chciała mieć ciekawą pracę, więc nie założyła rodziny. A teraz ma czterdzieści lat i uważa, że jej życie jest puste. Kiedy przychodzi po pracy do domu, nie ma co ze sobą zrobić.

Z tym nie dało się dyskutować i Kalina wcale nie próbowała. Tamta kobieta mogła mieć rację, a już na pewno nie myliła się co do swoich odczuć. Była w końcu od Kaliny sporo starsza i posiadała życiowe doświadczenie, którego dziewczynie na razie brakowało. Chyba więc to właśnie wtedy Kalina po raz pierwszy powzięła niepewność co do słuszności własnych przekonań. Ta wątpliwość miała wracać co jakiś czas, uporczywie tłumiona i rozmywana w nawale codziennych wrażeń.

Oczywiście nie zawsze było tak źle. Najczęściej mama wspierała ją w procesie kształcenia i nie protestowała, kiedy Kalina mówiła o swojej przyszłej pracy. Jednakże wspomnienie tych kilku zdarzeń i jeszcze innych, których przewodniczka jej nie pokazała, sprawiło, że po twarzy dorosłej Kaliny popłynęły łzy. Powróciły wszystkie dawne emocje: złość, rozpacz, poczucie krzywdy, poczucie niesprawiedliwości, lęk przed utratą tego, co kochała i czemu chciała poświęcić życie. A jedynym powodem miała być jej płęć.

– Nie chcę więcej – wyszeptała. – Już dość, proszę. Pozwól mi wrócić.

– Niech tak będzie – kiwnęła głową dziewczynka. – To jest to, z czego wyrosłaś. Tym nasiąkałaś od

maleńkości. Tym wciąż jesteś. Przypomniałam ci przeszłość, Kalino, i niczego więcej nie zdołam cię nauczyć.

Kolejne przejście przez najbliższą ścianę. Wylądowała w ciasnej kuchni, skąd rozpoczęła się podróż. W wynajętym mieszkaniu, które dziewczyna z dumą nazywała pierwszą własną przystanią.

– Posłuchaj, czasami było tam całkiem fajnie... – zaczęła, spoglądając na krzesło, na którym spodziewała się zobaczyć dziewczynkę. Ale mała zniknęła, a przy stole siedział już ktoś inny.

Osoba ta wyglądała jak siostra bliźniaczka dorosłej Kaliny. Różnica polegała jedynie na tym, że ta nowa prezentowała się, przynajmniej chwilowo, o niebo lepiej. Makijaż, biżuteria, nienaganna fryzura, szpilki, ciuchy jakby prosto z butiku – dziewczyna musiała przyznać, że jej kopia ani trochę nie odbiega wizerunkiem od pewnej siebie kobiety sukcesu. Takiej kobiety, jaką prawdziwa Kalina dopiero miała się stać.

– Hej, witaj – rzuciła nieco kwaśno. – A tym kim jesteś? Pewnie duchem terażniejszości?

– Zgadłaś – odparła tamta przyjaźnie, nie zwracając uwagi na ten sarkazm. – Jestem nim i zamierzam pokazać ci w nowym świetle to, czym żyjesz w chwili obecnej.

Jej własny głos, po raz pierwszy w życiu dobiegający z zewnątrz, spoza ciała, wydawał się początkowo Kalinie wyjątkowo brzydki i piskliwy jak u małej dziewczynki.

– I pewnie nie będzie to przyjemne, co?

– Nie powinnaś poczuć bólu. Teraźniejszość rani mniej niż przeszłość, która tak przemożnie odciska na nas swe piętno, i mniej niż przyszłość, która z reguły jest

niepewna i budzi lęk. Wydaje się nam, że całkowicie panujemy nad naszą chwilą obecną, ale nawet to jest iluzją.

– No dobrze, koleżanko, przejdź już przez tę ścianę. Chcę mieć to wszystko jak najprędzej za sobą, chociaż pewnie długo nie będę mogła się po tych wycieczkach pozbierać. Rozumiesz, nie na co dzień spotyka się duchy... – zachichotała nieco nerwowo.

Druga Kalina wstała i niespodziewanie położyła wypielegnowaną dłoń na ramieniu tamtej. Prawdziwa Kalina zadrżała i z trudem powstrzymała się od strząśnięcia tej ręki.

– To nie będzie potrzebne. Znam lepszy sposób. Podejdź tu.

Poprowadziła ją w kierunku okna, na którym mróz wymalował wspaniałe wzory. Pochyliła się i dmuchnęła na szybę, która natychmiast zaparowała, a następnie, tak szybko, że prawdziwa Kalina nie zdążyła nawet krzyknąć ze zdumienia, powstało na niej coś w rodzaju ruchomego obrazka. Przypominało to nieco telewizję. Malutkie postaci poruszały się i mówiły, nie mając pojęcia, że właśnie są podglądane. Ich głosiki z początku wydawały się dziewczynie zbyt odległe i ciche, by można je było zrozumieć, ale po krótkim czasie jej zmysły dostosowały się do tej nowej perspektywy.

– Popatrz i zastanów się – szepnęła zjawa, stając za plecami swojego oryginału.

Młoda kobieta oglądała więc film o swoim własnym życiu. Widziała siebie, jak bierze udział w uczelnianych seminariach i prowadzi zajęcia ze studentami, a potem, w wolnym od pracy dydaktycznej czasie, mozolnie pisze rozprawę doktorską. Wieczorami udzielała korepetycji, które pozwalały jej jakoś związać koniec z końcem. Dwa

razy w tygodniu goniła zaś na lekcje angielskiego. No cóż, taka była moda. Każda wykształcona osoba musiała mieć w dzisiejszych czasach przynajmniej blade pojęcie o języku angielskim. Ale Kalina naprawdę lubiła uczyć się języków i czerpała z kursu prawdziwą przyjemność. To było jej hobby, nie kwestia przymusu.

Skończyła studia polonistyczne i po kilkumiesięcznym bezskutecznym poszukiwaniu pracy, głównie w szkołach, postanowiła zapisać się na dzienne studia doktoranckie na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kiedy powiedziała o tym rodzicom, ojciec stwierdził:

– Jak chcesz. Wiesz, że masz u nas utrzymanie. Gdzie wyżywi się troje, tam starczy i dla czworga.

– Ale to nie tak – odparła. – Będę miała stypendium prawie w wysokości pensji. To nie będą dla mnie studia, tylko praca. Bo jeśli mam pracować w tym mieście za minimum socjalne, to już wolę doktorat.

I tak właśnie myślała o swoich studiach doktoranckich. To jest praca, równie dobra jak każda inna. Skoro jej płacą, dlaczego ma wybrzydzać? W tych czasach szalejącego bezrobocia i tak miała wiele szczęścia.

Przez półtora roku dojeżdżała do Warszawy, a potem postanowiła się tam przeprowadzić. Głównym powodem takiej decyzji była chyba chęć uniezależnienia się od rodziców, z którymi coraz trudniej było jej wytrzymać. Najczęstszym tematem rozmów stał się bowiem ostatnio wolny stan Kaliny i pytanie, kiedy wreszcie pozna jakiegoś chłopaka. Dopiero to, narzeczeństwo i zamążpójście, uważali za start w dorosłe życie. Cała reszta była bez większego znaczenia.

Zdawała sobie sprawę, że stypendium, z którego

była tak dumna i które pozwalało jej, singielce na utrzymaniu rodziców, mieszkającej w mieście średniej wielkości z wyjątkowo wysokim bezrobociem,żyć na całkiem przyzwoitym poziomie, w stolicy będzie stanowiło zaledwie kroplę w morzu potrzeb. A jednak zacisnęła zęby i postanowiła nie brać pieniędzy od rodziców. I rzeczywiście dała radę. Wynajęła małą i stosunkowo tanie mieszkanie, nauczyła się oszczędzać i zaczęła dorabiać korepetycjami dla uczniów szkół średnich. Była bardzo zadowolona ze swojej zaradności i szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Wkrótce po przeprowadzce poznała Adriana. Chłopak niedawno skończył studia i był na etapie rozpoczynania pierwszej płatnej pracy. Pochodził z małej podwarszawskiej miejscowości i codziennie dojeżdżał pociągiem do Śródmieścia, gdzie znajdowała się siedziba jego pracodawcy. Wpadli na siebie pewnego wieczoru w jakiejś kafejce, którą oboje lubili odwiedzać ze znajomymi. Wkrótce potem stali się parą.

Czy się w nim zakochała? Chyba nie. Zdawała sobie doskonale sprawę, że oni dwoje pochodzą z zupełnie różnych bajek. A jednak inwestowała w ten związek mnóstwo czasu i energii, dusząc w zarodku błąkające się po jej głowie przekonanie, że postępuje wbrew własnym interesom. Ale przecież rodzice byli tacy szczęśliwi. Od razu zaakceptowali Adriana i traktowali go jak syna. Ona sama też poczuła, jak ogromne, ledwo uświadomione napięcie opadło, zamieniając się w bezbrzeżną ulgę. Oto, nareszcie była w stałym związku, miała chłopaka. I to w wieku, w którym mnóstwo kobiet zostawało po raz pierwszy lub kolejny matkami. Nie była już nieudaną, bezwartościowym istnieniem, kandydatką na starą pannę.

MIAŁA CHŁOPAKA. I tylko to się liczyło.

Za to on zakochał się w niej do szaleństwa, co dziewczyna wykorzystywała bez poczucia winy. Jego głębokie uczucie było gwarancją tego, że Adrian na pewno nie odejdzie. Bo nie chciała znów przeżywać niepewności życia w pojedynkę i gorączkowego wypatrywania na horyzoncie jakiegokolwiek rozsądnego partnera.

Dzieliła więc czas pomiędzy studia, pasje, życie towarzyskie i randki z Adrianem. Była na razie całkowicie zadowolona z takiego stanu rzeczy i nie chciała niczego zmieniać. Oświadczyn mężczyzny wyczekiwała z lękiem, nie radością. Gdyby mogła, bez końca przedłużałaby okres swojej młodości i niezależności. Wiedziała jednak, że tak po prostu się nie da. Pewnego dnia będzie musiała stanąć przed ołtarzem, a potem urodzić dzieci.

A na razie... czasami siadywała wieczorami do komputera i pisała powieści. Bo wciąż próbowała. Tworzyła „dzieła”, które poważni wydawcy zgodnie odrzucali, lecz nawet to nie było w stanie zniechęcić jej do pisania. Bo nie wyobrażała sobie życia bez książek.

Tak, te wszystkie obrazy nie sprawiły jej bólu. To było prawdziwe życie Kaliny, które uwielbiała i którego nie miała ochoty zamieniać na nic innego. Ale nagle sceneria uległa zmianie. Widziała znów swój pokój w mieszkaniu rodziców, siebie samą, młodszego brata i Adriana. Zdarzenie pochodziło sprzed zaledwie paru miesięcy. Wybierali się właśnie we troje, jak co roku, na odbywające się w jej rodzinnym mieście pokazy lotnicze. Mężczyźni o czymś rozmawiali, a ona się przysłuchiwała, wtrącając coś od czasu do czasu. Ta pogawędka miała raczej żartobliwy wydźwięk, jak wszystko, w czym maczał palce jej braciszek, i nic nie zapowiadało ponurego finału.

–...bo teraz jest równouprawnienie – zakończył jakąś dłuższą wypowiedź jej brat.

– Równouprawnienie to anarchia – odparł natychmiast Adrian, a na jego twarzy pojawiał się znów ten dziwny, sarkastyczny wyraz, połączony z pionową bruzdą między brwiami.

Nic nie odpowiedziała. Nie chciała psuć zabawowego nastroju, który miał im towarzyszyć przez cały dzień. Udała więc, że nic się nie zdarzyło. Znów precedziła rzeczywistość przez filtr własnych oczekiwań i wołała po raz kolejny „nie zauważyć” niebezpieczeństwa, niż stanąć przed koniecznością podjęcia trudnych decyzji. Ale tak naprawdę nie zapomniała o tych słowach.

Wiedziała, a raczej przeczuwała, że poglądy Adriana są tak samo patriarchalne jak poglądy jej ojca. Przeczuwała, bo nigdy na ten temat nie rozmawiali. Potrafiła całymi godzinami opowiadać mu o drobiazgach, lecz starannie omijała poważne sprawy. Nie planowali więc wspólnego życia, ilości dzieci ani podziału ról w domu. Kalina odsuwała te rzeczy na nieokreślone „potem”, podświadomie wierząc, że wszystko „jakoś” się ułoży. Bo gdyby zaczęli rozmawiać, nie mogłyby już zamknąć oczu na niewygodne dla niej fakty, jak przywykła to czynić od wczesnego dzieciństwa. Musiałaby się do tej nieprzyjemności jakoś ustosunkować. A to mogłyby skończyć się nawet rozstaniem, które stanowiłoby dla dziewczyny ostateczny cios.

Naturalnie, zastanawiała się czasami nad takim rozwiązaniem. Tym bardziej, że właśnie to doradzała jej spora część koleżanek, a czasami także mama, gdy widziała, w jak okropny stan psychiczny „ukochany” wpędza jej córkę. Ale potem mówiła coś całkiem innego.

Pewnego dnia, w mieszkaniu rodziców Kaliny, gdy rozmawiały tylko we dwie, dziewczyna stwierdziła:

– Może faktycznie powinnam się z nim rozstać i poszukać kogoś innego.

– Ale kogo będziesz szukać? – odparła natychmiast matka. – Nigdy nie znajdziesz takiego mężczyzny, z którym życie byłoby idealne. Każdy będzie chciał nad tobą panować.

KAŻDY. Nie warto więc podejmować tego ryzyka, bo i tak nie spełni swoich marzeń. Każdy mężczyzna, którego spotka, okaże się prędzej czy później jej panem i władcą, a nie partnerem. W sumie Adrian nie jest taki zły. A ile słyszy się historii o facetach maltretujących swoje kobiety? U niej przynajmniej tego nie ma i nigdy nie będzie.

Wybierała więc iluzję, bo tylko ona dawała jej poczucie szczęścia. A jednak w końcu coś pękło w Kalinie. Po którejś z kolei awanturze i dwutygodniowym milczeniu obrazonego Adriana podjęła decyzję. Koleżanki miały jednak rację. Wszystko było lepsze od tego.

Nieodwołalnie postanowiła wyjść z tego związku i właśnie wtedy zły humor chłopaka w końcu minął i Adrian zapowiedział się przez telefon, że po pracy do niej wpadnie. Chciała wyjaśnić mu wszystko w cztery oczy i rozstać się po ludzku, na pewno nie za pośrednictwem esemesa bądź czegoś podobnego. Ale bała się, że narzeczony jak zwykle przekona ją do zmiany zdania i w rezultacie będzie tkwić w tym koszmarze do samej śmierci. Zaczęła więc mówić bez wstępów i owijania w bawełnę, gdy tylko zobaczyła go w progu, trzymającego w dłoniach jakieś siatki:

– Chciałabym zakończyć nasz związek.

Miała zamiar wytłumaczyć się z tej decyzji, lecz Adrian na to nie czekał. Rzucił jej tylko jedno spojrzenie, które nie wyrażało niczego, odwrócił się bez słowa i ruszył do windy. Tego dnia już nie próbował się z nią kontaktować.

Kiedy wyszedł, Kalina nie płakała. Siedziała tylko do samej nocy na kanapie, nie jedząc i nie przygotowując się do jutrzejszych ćwiczeń ze studentami, i bez końca myślała o swoim krótkim, lecz burzliwym związku. Być może popełniła właśnie poważny błąd, lecz mleko się rozlało i dziewczyna nie zamierzała go z powrotem zbierać.

Następnego dnia z samego rana przysłał jej esemesa.

Czy jesteś tego pewna?

Zastanawiała się przez chwilę nad swoimi uczuciami, a potem napisała:

Adrian, najbardziej chciałabym, aby między nami było zupełnie inaczej. Bo tak, jak jest teraz, to nie może się ciągnąć. Jest mi bardzo ciężko, ale chyba już nic nie mogę dla Ciebie zrobić.

Jego odpowiedź była znacznie bardziej zwięzła:

I tylko tyle. Kropka. Koniec i kropka. Od tamtej chwili minęły już całe trzy doby, a ona nie miała od niego więcej wiadomości. Chyba zrozumiał, że nie ma już żadnego „my”.

I wtedy zobaczyła coś całkiem innego. Zobaczyła siebie, odrobinę starszą. Miała teraz trzydzieści lat i od zerwania z Adrianem nie spotykała się z nikim. Ale jej życie nie było puste ani niespełnione. Obroniła niedawno doktorat i została zatrudniona na stanowisku adiunkta. Pieniądze, jakie zarabiała, były nadal niewielkie, lecz pozwalały już na przetrwanie w takim mieście jak

Warszawa, choć wciąż musiała wynajmować to ciasne mieszkanie. Pracowała na pełnym etacie i miała swoją największą miłość – literaturę – stale na wyciągnięcie ręki. W poniedziałki i czwartki chodziła do pobliskiej szkoły na angielski, a we wtorki i piątki na niemiecki. Zaczęła uczyć się tego języka już bardzo dawno temu i po latach postanowiła do niego wrócić. Miała przecież prawo dysponować według własnego uznania całym wolnym czasem. W weekendy widywała się ze znajomymi lub oddawała słodkiemu lenistwu. A czasami jeździła do rodziców, którzy powoli zaczęli akceptować jej styl życia.

Odkryła też możliwości, jakie daje Internet, odkryła e-booki. Twórczością dziewczyny zainteresowało się niedawno całkiem przyzwoite wydawnictwo i postanowiło wypuścić jej powieści na rynek w formie elektronicznej. Pieniądze z tego miały być żadne, ale przynajmniej zrobiła w swojej karierze pisarskiej znaczący krok. Pocieszała się przy tym myślą, że te e-booki to tylko wstęp do czegoś poważniejszego. A nocami pisała nowe książki, wciąż marząc o sławie.

Czuła się nadal młoda i pełna entuzjazmu jak nigdy wcześniej. Całe życie było jeszcze przed nią, a jej czas miał być nieskończony. Niczego, ale to absolutnie niczego teraz Kalinie nie brakowało. Inni ludzie powinni jej tylko zazdrościć.

Nigdy nie myślała o sobie jako o starej pannie. Nigdy nie zastanawiała się nad starością ani przemijaniem. Była niewiarygodnie szczęśliwa w swojej niby-nieśmiertelności i sama nie potrafiła czasami nadziwić się swojemu szczęściu.

Druga Kalina wyciągnęła niespodziewanie rękę

i starła mgłę z szyby. Pokaz dobiegł końca i przyszedł czas powrotu do rzeczywistości. Odstąpiła nieco od „bliźniaczki” i uporczywie się w nią wpatrywała. Prawdziwa Kalina dojrzała w tym wzroku nieme pytanie i poczuła się w obowiązku odpowiedzieć na nie:

– No co? Sama widzisz, że dobrze zrobiłam, pozbywając się Adriana. Przecież wszystko doskonale się ułożyło. Robię to, co lubię, odnoszę sukcesy i mężczyzna wcale nie jest mi do szczęścia potrzebny.

– Dlaczego chwalisz dzień przed zachodem słońca?

W głosie ducha terażniejszości był ogromny smutek, który wzbudził w dziewczynie dreszcz przerażenia. Koniecznie musiała dowiedzieć się więcej.

– Co masz na myśli? – bąknęła.

– Ja ci tego nie powiem. Nie wolno mi zaglądać w odległą przyszłość. To jest przywilej twojego następnego gościa.

I nagle zaczęła się zmieniać. Zmaląła, przygarbiła się i jakby zapadła w sobie, a jej włosy stały się całkiem siwe. Przed Kaliną stała zgrzybiała staruszka, w której twarzy dziewczyna z pewnym wysiłkiem rozpoznała własne rysy.

Ta istota, tak stara i zmęczona życiem, wydawała się tylko dalekim, niemal nieuchwytnym echem pięknej, młodej Kaliny. A jednak to wciąż, to zawsze była ona.

Krzyknęła po raz kolejny w tym pełnym dziwów dniu. Lecz tym razem krzyczała o wiele dłużej i mocniej. Ta przemiana była tak koszmarna, tak bardzo urągająca zdrowemu rozsądkowi, że najłatwiej byłoby nie uwierzyć własnym oczom. A kiedy duch przyszłości wyciągnął pomarszczoną dłoń, by dotknąć jej głowy, odruchowo szarpnęła się do tyłu. Mogła jakoś znieść dotyk ładnej

dziewczyny, ale nie tej wstrętnej baby.

– Spokojnie – szepnęła staruszka. – Pokażę ci, dokąd zawiodła cię wybrana przez siebie ścieżka.

Położyła jedną sękatą dłoń na oczach Kaliny, a drugą dotknęła jej skroni. I nagle dziewczyna, bez żadnych magicznych sztuczek, znalazła się w innym miejscu i czasie. Tym razem nie oglądała swojego życia z zewnątrz, lecz była sobą z przyszłości. Tamta zabrała ją nie do swojego czasu, lecz znacznie wcześniej. Kalina miała teraz około pięćdziesięciu pięciu lat i wciąż była atrakcyjną kobietą. Jej sylwetka i stroje były tak samo nienaganne, farbowała tylko włosy, by zamaskować siwiznę. Miała za sobą dwie operacje żyłaków, po których jej nogi odzyskały perfekcyjny wygląd. Poza tym cieszyła się doskonałym, jak na jej wiek, zdrowiem.

Wciąż pracowała na uczelni. Uzyskała stopień doktora habilitowanego i została zatrudniona na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Kupiła sobie w końcu niewielkie mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią, i regularnie spłacała raty kredytu. Bez przeszkód rozwijała się zawodowo i intelektualnie, a studenci wprost uwielbiali swoją panią profesor.

No i oczywiście, nadal była sama. Przez te wszystkie lata ani razu nie pomyślała na poważnie o ułożeniu sobie życia z mężczyzną, chociaż miała paru adoratorów. Nie potrzebowała przecież zrzedliwego typu, który życzyłby sobie, żeby jak najwięcej siedziała w domu i gotowała mu smaczne obiady. Nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować ze swoich pasji, wolności i tych wszystkich atrakcji, w jakie obfitowała jej codzienność. A przede wszystkim nie potrzebowała kilkorga rozwrzeszczanych dzieciaków, które skutecznie

uniemożliwiłyby jej dalsze wspinanie się po szczeblach akademickiej kariery.

Ale... Jej rodziców nie było już wśród żywych, co wyzwoliło u kobiety krótkotrwałą, na szczęście, depresję. Brat miał własną rodzinę, dzieci i wnuki, i niespecjalnie interesował się jej sprawami. Przyjaciele też powoli się wykruszyli, gdy na każde z kolei przychodziła pora ożenku bądź zamażpójścia i życiowej stabilizacji. Pozostało wprawdzie kilkoro równie zatwardziałych jak ona samotników, lecz ci zdziwaczeli w mniejszym lub większym stopniu i ich towarzystwo nie sprawiało już Kalinie tak dużej przyjemności.

Przynajmniej coś innego zmieniło się u niej zdecydowanie na lepsze. Gdy rozdzwonił się telefon, odebrała natychmiast. To mogła być ta wiadomość, na którą czekała od kilku tygodni.

– Dzień dobry – odezwał się w aparacie męski głos.
– Czy rozmawiam z panią Kaliną Stępień?

– Tak, przy telefonie. Dzień dobry, kto mówi?

– Tu Artur Dobkowski z Wydawnictwa Ars Nova. Mam przyjemność zawiadomić panią, że pani powieść „Świetlista ścieżka” weszła do naszego planu wydawniczego na kolejny rok.

Właśnie takiego wyniku się spodziewała, a jednak wypuściła z siebie głośne westchnienie ulgi. Ars Nova wydało już jej dwie poprzednie książki, ta miała być trzecia. Wraz z upływem lat udoskonaliła swój warsztat, nauczyła się pisać bardziej dojrzałe i spełniło się w końcu jej wielkie marzenie o prawdziwej pisarskiej karierze. Jej powieści dobrze się sprzedawały, a recenzje były wyłącznie pozytywne. Wyrobiła sobie już w świecie pisarskim rozpoznawalną markę i cieszyła się znacznymi wpływami

na konto bankowe. Nie osiągnęłyby tego wszystkiego, gdyby kiedyś obarczyła się obowiązkami małżeńskimi i rodzicielskimi.

– Bardzo się cieszę. Czy mógłby pan mi powiedzieć... to znaczy, czy książka się spodobała? Co zawierały recenzje?

– Proszę pani, wie pani przecież, że nie przekazujemy autorom treści wewnętrznych recenzji. Pani książka powinna ukazać się w trzecim kwartale roku. Poproszę panią tylko o wykonanie korekty autorskiej, a my zajmiemy się resztą.

– Dobrze. Rozumiem.

– Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

– Nie, chyba nie mam.

– W takim razie gratuluję i do usłyszenia.

– Do widze...

Rozłączył się. A przecież naprawę chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Była ciekawa, jakie wrażenie wywarła na członkach zespołu redaktorskiego jej najnowsza powieść. A może chciała po prostu pogawędzić z tym całym Dobkowskim. Bo miała dziś wolny od zajęć dzień, co oznaczało, że od rana nie wychodziła z domu i nie otwierała do nikogo ust.

Tymczasem tamten człowiek zachował się jak chłodny profesjonalista, ograniczając jedynie do przekazania informacji. Nie miał ochoty albo czasu, bądź jednego i drugiego, na rozmowę z podstarzałą kobietą, która przypadkiem wydawała u nich swoje wypociny. Tylko tyle mieli jej do zaoferowania ci, do których bram dobijała się przez większą część życia.

Zaczęła zastanawiać się, do którego z przyjaciół mogłaby zatelefonować i umówić się przynajmniej na

kawę. Nie mogła dłużej okłamywać samej siebie. Czuła się bardzo, ale to bardzo samotna. W jej mieszkaniu zawsze panowała cisza, chyba że włączyła któreś z grających urządzeń. W weekendy snuła się czasami przez kilka godzin po pokojach, szukając sposobów na zabicie czasu. Nadal żyła w świecie literackich fantazji, który nazywała swoim prawdziwym domem, lecz satysfakcja czerpana z przebywania wśród książkowych postaci była coraz mniejsza. Ogromnie bała się pisarskiego wypalenia, ponieważ wtedy jej życie naprawdę straciłoby sens. A niekiedy nawiedzała ją niepokojąca myśl, że chętnie zamieniłaby wszystkie swoje „wielkie” osiągnięcia na obecność jednego bliskiego, kochającego człowieka, którego mogłaby nazywać swoim mężem.

Może zapisze się na lekcje kolejnego, piątego już obcego języka. Albo odwiedzi jeszcze jeden kraj. Albo znajdzie jakiś kurs robótek ręcznych. Albo postara się o częstsze spotkania autorskie, lub będzie brała udział w jeszcze większej ilości kulturalnych wydarzeń. Da jej to przynajmniej powód do wyjścia z domu, w którym zwyczajnie się dusiła. Może wtedy nie zniknie do końca. Chodziła wprawdzie regularnie do psychoterapeuty i brała nawet jakieś tabletki, lecz stany lękowe wciąż wracały, niekiedy nie pozwalając zasnąć niemal przez całą noc.

Jej życie, kiedy nie pracowała, nie pisała i nie przebywała wśród tłumów, było puste i pozbawione blasku. Czuła się dokładnie tak samo jak tamta kobieta z gazetowej opowieści sprzed lat. I tej pustki nie mogli wypełnić studenci, przyjaciele, wydawcy, czytelnicy ani nawet przelotni kochankowie. Tęskniła za dziećmi, których nigdy nie miała. Gdyby urodziła je we właściwym czasie, dziś byłyby już dorosłymi ludźmi. Nie przeszkadzałyby jej teraz

w pracy zawodowej. A nawet więcej, stanowiłyby dla niej źródło inspiracji i najlepszy powód, dla którego warto tak bardzo się starać. Mogłaby wspierać ich własne kariery i pomagać w osiągnięciu rozmaitych celów. Miałaby komu przekazać swój intelektualny i materialny dorobek. Tylko świeże, młodzieńcze głosy jej nie istniejących dzieci byłyby w stanie rozproszyć melancholię starzejącej się Kaliny.

Ale nie chciała ich urodzić, a teraz było za późno. Popęłniła błąd, którego już nie naprawi. Nigdy nie zostanie matką. Jej geny umrą wraz z nią, a jedynymi śladami jej pobytu na tej ziemi będą książki i naukowe publikacje.

Poczuła nagły wstrząs i powróciła do swojego czasu. Zjawa wreszcie zdjęła ręce z głowy dziewczyny i nieco się odsunęła.

– Rozumiesz teraz? – wyszeptała smutno. – Nie zwyciężysz na tej drodze. Tylko teraz tak ci się wydaje. Ale jeszcze nie jest za późno. Wciąż możesz coś zmienić.

Kalina nie była w stanie wykrztusić słowa. Oczy młodej kobiety wypełniły się gwałtownie łzami, które natychmiast zaczęły ściekać po policzkach. Nie wiedziała, czy ma być wdzięczna staruszce za ostrzeżenie, czy raczej powinna ją znienawidzić za zniszczenie jej wszystkich złudzeń.

I wtedy nastąpiła kolejna przemiana, a raczej cała ich seria. Duch przyszłości zaczął szybko młodnieć, przybierając wszystkie twarze Kaliny, aż do niemowlęcia. A potem równie nagle z powrotem się zestarzał, wracając do postaci zgrzybiałej staruszki. A jeszcze później stał się wszystkimi trzema przewodniczkami Kaliny naraz, dziewczynką, kobietą w rozkwicie młodości i starą jędzą. Z ust istoty w nieokreślonym wieku wydobył się głos,

który był jednocześnie dziecinny, młody i stary:

– Nie zrobiłam tego przeciwko tobie. Przecież wiesz, że nikt cię nie kocha i nigdy nie będzie kochał równie mocno jak ja. I będę cię kochać, nawet jeśli odrzucisz moje posłanie...

Głos stopniowo cichł, a postać stawała się coraz bardziej przezroczysta. W końcu zniknęła zupełnie. Kalina znów została sama w pustym i cichym mieszkaniu. Odruchowo spojrzała na wiszący nad drzwiami kuchni zegar. Było już po południu, co oznaczało, że czas nie stał w miejscu. Ubrała się w końcu, zjadła byle jakie śniadanie, nie mające nic wspólnego ze świątecznym przepychem, i snuła się w otępieniu przez następnych kilka godzin po tych paru pomieszczeniach, wciąż rozmyślając o tym, co niedawno zobaczyła i usłyszała.

Nawet nie przeszło jej przez myśl, by poddawać w wątpliwość prawdziwość wizji. Nie miewała przecież do tej pory halucynacji i na pewno nie zwariowała. Nie zmyśliła sobie tej podróży poprzez czas i nią samą. Niewiarygodne wydarzenia musiały więc rozegrać się naprawdę, pozostawiając Kalinę z pytaniem: czego chciały od niej duchy?

Bo wiedziała, że nie wolno jej zlekceważyć ostrzeżenia. Tylko co ma zrobić? Może powinna pogodzić się jednak z Adrianem? Ta możliwość przez chwilę ogromnie ją kusila. Sięgnęła po komórkę i uruchomiła spis numerów. Ale... Czy to naprawdę był dobry pomysł? Być może chłopak dałby się jakoś przekonać, że powinni kontynuować tę znajomość. A może wcale nie musiałyby go specjalnie przekonywać. Przez jakiś czas panowałyby nawet między nimi idealna zgoda. Lecz wkrótce wpadłaby na nowo w zaklętą spiralę żalów, podejrzeń, kłótni

i łzawych pojednań, zakończanych nieodmiennie w łóżku. Zawsze po takim seksie miała wstręt do samej siebie. W końcu, wyczerpana psychicznie do cna tą huśtawką nastrojów, płaczami i bezsennymi nocami, stałaby się wrakiem człowieka. A co byłoby po ślubie, gdyby do niego doszło? Wiedziała, że Adrian, z jego przekonaniem na temat roli kobiety, zmusiłby ją dość szybko do rezygnacji z pracy zawodowej i porzucenia pisarstwa. Wymógłby pewnie na niej, by urodziła mu pięcioro lub sześcioro dzieci i całkowicie się im poświęciła. A przecież ona chciała mieć dzieci, lecz nie więcej niż troje. I nie zamierzała, nawet dla nich, przekreślać całej reszty swojego życia.

Nie powinna wchodzić z powrotem do tej samej cuchnącej rzeki. Nie po tym, jak z wielkim trudem wydostała się na brzeg. Musi być konsekwentna. Ze złością rzuciła komórkę na ławę, aż pośliznęła się po blacie i spadła na dywan. Nie.

Po kilku głębokich westchnieniach pochyliła się i sięgnęła po zmaltretowany aparat, by zadzwonić do rodziców, złożyć życzenia i odebrać ich niezadowolone z powodu swojej nieobecności. Nie miała ochoty tego teraz robić, ale nie mogła przecież całkowicie ich zignorować. A potem chyba spróbuje wprosić się na Wigilię do kuzynki, która też mieszkała w Warszawie i miała już swoją rodzinę. Bo nagle bardzo nie chciała być w tym świątecznym dniu sama jak palec.

Nie zdążyła wybrać numeru, bo niespodziewanie usłyszała pukanie do drzwi. Mając nadzieję, że tym razem będzie to człowiek z krwi i kości, przeszła do przedpokoju i popatrzyła przez wizjer. Za drzwiami stał młody mężczyzna, którego czasami mijała na schodach. Po

krótkim namyśle – a co tam, jest przecież Wigilia, dziś wszyscy są dla siebie mili i ten chłopak na pewno nie zrobi mi krzywdy – zdecydowała się otworzyć.

– Cześć – zaczął głosem, którego brzmienie sprawiło Kalinie dziwną przyjemność. – Jestem sąsiadem z dołu i mam na imię Bartek. Widziałem cię parę razy, jak wchodziłaś do klatki.

– Jestem Kalina – odparła automatycznie. – O co chodzi?

– Bo wiesz, dziś jest Wigilia i wszystkie sklepy są już pozamykane, a nam zabrakło soli. Mogłabyś trochę pożyczyć? Obiecuję, że oddam po świętach.

Tym razem prawie się nie wahała. Nie zostawi przecież człowieka bez pomocy w takim dniu. Odsunęła się, robiąc mężczyźnie przejście.

– Nie ma sprawy. Zaraz przyniosę. Wejdz.

Zamknęła za nim drzwi, przy okazji lustrując go otwarciem wzrokiem. Bartek był blondynem i miał najbardziej niebieskie oczy, jakie widziała w całym swoim życiu. Te oczy były jak niezapominajki, jak dwa dziewicze jeziora, w których mogłaby pogrążyć się bez reszty. Do tej pory nie znosiła ludzi o takim typie urody. Sama brązowowłosa i ciemnooka, mająca śniadą, podatną na opalanie karnację, interesowała się podobnymi do siebie mężczyznami. Ale ten chłopak od razu stał się wyjątkiem od reguły.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie zaczęła przesypywać sól z dużego pojemnika do mniejszego. Słuchała przy tym wesołej opowieści Bartka o wigilijnej wieczerzy, którą właśnie przygotowywała jego mama. Próbował jakoś usprawiedliwić swoje najście, ale ona nie miała mu wcale tego za złe. Zauważyła w duchu, że

chłopak wiedział naprawdę sporo o kuchni, stając się przez to wśród płci męskiej jedną z niewielu cennych pereł.

Podobał jej się również sposób, w jaki Bartek mówił o swojej matce. Od pierwszych słów jasne było, że kocha ją i szanuje. To też było wielką zaletą u mężczyzny, ponieważ podobny stosunek będzie miał prawdopodobnie do przyszłej żony.

– Jesteś dzisiaj sama? – zapytał nagle.

Czemu o to pytał? I co ma odpowiedzieć? Kaliną targnęło nagle złe przeczucie. Ale chyba jest już za późno na kłamstwa. Nikt nie uwierzy, że w tym mieszkaniu przebywa ktokolwiek oprócz niej.

On ci nic nie robi, idiotko, powiedziała sobie w myślach. Przestań wymyślać zagrożenia, których nie ma.

– Tak, mieszkam sama. I postanowiłam zostać na Boże Narodzenie w stolicy.

Stał tuż obok, więc zebrała się na odwagę i spojrzała mu prosto w twarz. Znów te intensywnie niebieskie oczy. Znała Bartka właściwie dopiero od dzisiaj, lecz już teraz czuła się przy nim całkiem inaczej niż w towarzystwie Adriana. Tam zawsze było napięcie i podskórny strach, i zawsze te niedopowiedzenia, te tajemnice, te sprawy przemilczane w obawie przed reakcją narzeczonego. Nowy znajomy od samego początku sprawiał, że czuła się bezpiecznie. Jego przystojna twarz miała przyjazny i zrelaksowany wyraz, bez śladu sarkastycznego ściągnięcia, a w oczach nie dostrzegała nic oprócz ciepła.

– Więc jeśli nie masz innych planów, to może wpadłabyś do nas na kolację? Mama i siostra na pewno się ucieszą. Nikt nie powinien być dzisiaj sam.

Namyślała się tylko przez jedno uderzenie serca.

– Oczywiście. Dziękuję za zaproszenie. Przebiore

się i zaraz do was przyjdę.

Pojemnik z solą stał na stole, nagle straciwszy wagność. Młodzi patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę, a Kalina poczuła dziwne ciepło w piersiach.

Monika Knapczyk



Z d. Kubiak, urodziła się w 1977 r. w Radomiu. Pisze od siódmego roku życia i mniej więcej wtedy postanowiła sobie, że w przyszłości będzie pisarką. Jako nastolatka pisywała dla przyjaciół, potem zaczęła publikować na internetowych serwisach literackich, zdobywając wiele pochlebnych opinii. Długo poszukiwała wydawcy, aż w 2011 r. jej twórczością zainteresowało się Wydawnictwo Nowy Świat, proponując jej wydanie czterech e-booków. Są one obecnie w przygotowaniu. Na wydanie papierowe wciąż czeka, wierząc, że los musi się uśmiechnąć także do niej. Oprócz czytania książek lubi uczyć się języków obcych, dziergać na drutach i gotować. Jej szczególną miłością jest kuchnia chińska. Lubi też koty, jazdę na rowerze i spacerowanie. Prywatnie jest mamą ślicznej córeczki.

Mój blog autorski:

www.blog-lorany.blog.onet.pl

Karolina Dyja

Różnice kulturowe

– Nie dożyjesz jutra. Ja cię uduszę, przysięgam!

Magda uśmiechnęła się, słysząc groźbę Kseni. Siła napędowa domu widocznie miała już serdecznie dość. Właściwie ta irytacja nikogo nie dziwiła – Wigilia, dochodzi piętnasta, a oni w lesie. Podłoga brudna, potrawy niegotowe, dzieci bawią się w Armagedon, potrzebnego cynamonu brak. Istna katastrofa.

Na pomoc rodziny Ksenia liczyć nie mogła. Ojciec wyruszył na wojnę z galopującym kapitalizmem i najwyraźniej utknął w kolejce – gigancie po ten nieszczęsny cynamon, matka miała dyżur do późna, a brat snuł się po domu, doprowadzając ją do czarnej rozpacz. Właściwie tylko Magda, mimo tego, że była tu gościem, nie przejmowała się niczym i działała. Mieszała w garnku, mając nadzieję, że to, co wyjdzie, da się zjeść. Nadzieja matką głupich, ale, z drugiej strony, głupio jej nie mieć.

– Jasna cholera – mruzczała Magda, spoglądając krytycznie na wytworzoną przez siebie breję. – Czy ja zawsze muszę mieć jakieś problemy w kuchni? Zaraz normalnie...

– A mówiłem ci – wtrącił mentorskim tonem Władimir, zaglądając do kuchni – nie eksperymentuj. Naprawdę nie obejdziemy się bez tego kiślu?

– Kisielu, idioto, kisielu – skorygowała chłodno. – To jedno z tradycyjnych dań, no nie? Ksenia ma mi pokazać jak NAPRAWDĘ wygląda wasza Wigilia...

Wołodia Marnotrawny wrzucił ramionami

i poszedł sobie. Na swoje szczęście: bardzo niewiele brakowało, żeby naczynie wylądowało na jego głowie.

– Nikt mnie nie docenia – poskarżyła się dziewczyna, chociaż nikt nie mógł jej usłyszeć. – Ja mu pokażę!

Zabrała się do mieszania z jeszcze większą energią niż przedtem. Może coś z tego wyjdzie. Jeśli nie, nieudaną robotą nakarmi się Władimira. Magda zdążyła już zauważyć, że ten facet jest jak śmietnik. Poza tym za bardzo załazł jej za skórę swoimi złośliwościami, żeby odmawiać sobie słodkiej – dosłownie – zemsty.



W tak zwanym międzyczasie pozostawione bez dozoru dzieci stroiły choinkę. To znaczy, sześciolatek Misza wyrabiał normę za siebie i siostrę, przywieszając ozdoby na niższych partiach drzewka. Małeńka Nastia śledziła z zainteresowaniem jego wysiłki, jednocześnie usiłując wepchnąć sobie do buzi sporą bombkę.

– Głupia jesteś – orzekł w końcu Misza, spoglądając na nią z wyższością – Pomogłabyś trochę, a nie...

– O? – Zielone oczy małej zrobiły się wielkie jak talerzyki deserowe.

Chłopiec westchnął ciężko. Być może pomyślał, że rodzice nie zachowali się rozsądnie, uszczęśliwiając rodzinę tym dzieciątkiem.

Nagle wpadł na genialny pomysł. Wziął siostrę na rękę, podsadzając ją do choinki.

– No, zawieś bombkę...

Nastia spojrzała na niego ze zrozumieniem. A więc jest nadzieja.

– Bam! – Oświadczyła dobitnie, upuszczając trzymaną w pulchnej łapce bombkę na ziemię. Ozdóbka rozbiła się z głośnym brzękiem.

– Co się dzieje?

– Głupie dziecko – podsumował Misza ze stoickim spokojem.

Władimir przewrócił oczami. W takich chwilach zaczynał cieszyć się z tego, że nie ma własnych dzieci. Osiwiałby przedwcześnie, a to postarza. Zbyt sobie cenił swój urok osobisty, żeby się go dobrowolnie pozbywać.

– Po pierwsze, postaw ją na ziemi – pouczył siostrzeńca. – Po drugie, zaginaj do kuchni i poproś mamę o miotłę i szufelkę.

– Bam!

– Anastazjo Iwanowna, z destrukcją koniec. Rozumiemy się?

– Nie.

Od pewnego czasu Nastia na swój sposób się buntowała, na większość pytań odpowiadając „nie”. Władimir wolał nie myśleć, co go czeka, kiedy siostrzenica podrośnie i przedstawi rodzinie pierwszego amanta. Jeśli odziedziczyła po matce charakter, mogli spodziewać się namiętnie ćpającego malarza – erotomana lub kogoś w podobnym guście.

– Proszę, proszę, nasz heros niańczy dzieci! – Zakpiła sobie Magda. – A tak się zarzekał, że babskich robót nie tknie palcem!

Chichocząc perfidnie, zniknęła za drzwiami pokoju Kseni. Władimir posłał za nią mordercze spojrzenie i westchnął ciężko.

– Zabiję cię! – Zawołał groźnie.

Odpowiedział mu perlisty śmiech.

– Ja też cię kocham, Wołodieńka!

– „*Izwiestnyje nauki, czto baby eto suki...*”¹ – zanucił teatralnym półgłosem, udając, że wcale nie fałszuje.

– Słyszałam!

Do salonu zamasyżycie wkroczyła Ksenia z miotłą w ręku. W oczach miała szaleństwo i żądę mordy ze szczególnym okrucieństwem.

– Gdzie mi z takim słownictwem przy dzieciach?! – Zdenerwowała się. – Romantycy, a niech was cholera. Końskie zaloty skutecznicie po świętach! Teraz macie być dla siebie mili. To rozkaz!

– Ksiusza, wyluzuj! Wiadomo, że my tak z miłości. Przecież się uwielbiamy!

– Mów za siebie – odburknął Władimir.

A koledzy mówili, że Polki to najpiękniejsze i najmilsze istoty pod słońcem... Nie poznali żadnej Magdy, to pewne.



Co kojarzyło jej się ze świętami? Reklamy Coca-Coli. Sprzątanie. Wiecznie zirytowana matka. Nieziemskie kolejki w sklepach. Makowce, które nigdy się nie udawały. Wielkie obżarstwo, *Kevin sam w domu* i pasterka, na której zawsze przysypiała, choćby nie wiem jak starała się skupić.

Boże Narodzenie już od dawna nie cieszyło. Oł, tradycja, którą zachowywała, bo tak wypada. W tym roku naprawdę chciała dać sobie spokój z tym całym szaleństwem – gdyby nie Ksenia, przesiedziałyby święta w domu z kilkoma piwami, a o północy pogadałyby ze

1 *‘Izwiestnyje nauki, czto baby eto suki?’* (ros.) – Znane nauki, że baby to suki. Fragment utworu *Lajf is fak* zespołu Leningrad.

swoim Azorem.

Nie żałowała, że dała się namówić, chociaż na każdym kroku napotykała różnice kulturowe. Wtedy postanowiła niczemu się nie dziwić. Nie zdziwiła się więc, kiedy zobaczyła Ksenię i Władimira poszczących. Rozpieszczony samiec marudził co prawda jak rozkapryszony małolat, ale dzielnie nie jadł nic. Magda milcząco podziwiała ich determinację. Ona nie potrafiła sobie odmówić nawet mięsa i słodyczy.

Podczas nabożeństwa w cerkwi czuła się jak dziecko. Po prostu stała, podziwiając nieznaną obrzędowość. Wcale się nie nudziła, jak to bywało na pasterce. Raczej głęboko się wzruszyła. Czuła się taka... dobra i szlachetna. Jakby odkryła nagle w sobie kilka dobrych cech.

Najważniejsze było to, że nie widziała w tym wszystkim komercji, która w Polsce nieodmiennie ją drażniła. Tutaj nawet Dziadek Mróz nie był tak ważny jak wspólny posiłek, modlitwa i radość. Prosta radość z bycia razem.

– O czym tak myślisz, śliczna?

Zajęta rozmyślaniami, nawet nie zwróciła uwagi, że Władimir nazwał ją „śliczną”. Jeszcze kilka godzin temu zarobiłby za to kilka „przyjacielskich” kuksańców.

– Wiesz co, Wołodia?

– Co?

– Świetnie tu u was. To... to chyba najlepsze święta, jakie przeżyłam. Takie... inne.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To pewnie dlatego, że spędzasz je ze mną – zażartował.

Magda westchnęła. Nagle spojrzała najpierw na

sufit, potem na Władimira. Tak się złożyło, że stanęli pod jemiołą. Zawiesiła ją osobiście, tak dla zrównoważenia różnic kulturowych i „wymieszania” tradycji. Nagle, niespodziewanie nawet dla samej siebie, pocałowała tego złośliwca w policzek.

– To znaczy, że zgadzasz się ze mną?

– Nie. Stoimy pod jemiołą – wyjaśniła. Po chwili parsknęła śmiechem. – Wiesz, u nas jest taka tradycja, że kiedy stoisz z kimś pod jemiołą, musisz go pocałować.

– Rozumiem. Różnice kulturowe?

– Tak.

Władimir nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Dopiero wtedy Magda po prostu się zdziwiła.